

Stefan Cieśliński

GEOLOGIA MOJĄ PASJĄ



*Stowarzyszenie Emerytowanych Pracowników
Państwowego Instytutu Geologicznego*

Warszawa 2014

***Stowarzyszenie Emerytowanych Pracowników
Państwowego Instytutu Geologicznego
Wspomnienia***

- Nr 1. Janusz Uberna, 2012, Gobijska przygoda, Warszawa.
Nr 2. Stefan Cieśliński, 2013, Sahara moich wspomnień, Warszawa.
Nr 3. Janusz Uberna, 2013, Życie pełne podróży, Warszawa.
Nr 4. Aleksander Jeliński, 2013, W środku Europy, Warszawa.

Stefan Cieśliński

GEOLOGIA MOJĄ PASJĄ

*Stowarzyszenie Emerytowanych Pracowników
Państwowego Instytutu Geologicznego
Wspomnienia Nr 5*

Warszawa – 2014

Redakcja: Maciej Podemski

Projekt okładki: Stefan Cieśliński i Maciej Podemski

W książce zamieszczono zdjęcia z archiwum Stefana Cieślińskiego

ISBN 978-83-62989-57-7

© Copyright by Stefan Cieśliński, Warszawa 2014.

Druk i oprawa: ACAD, tel. 22 789-4-789

Zdjęcie na tytułowej stronie:

Stefan Cieśliński na Gołoborzu, Góry Świętokrzyskie, 1950

Motto

Przemijania czasu nie da się powstrzymać.

Można go tylko przedłużyć w pamięci.

Rzecz niezapisana, nie istnieje.

Pierwsze związki z geologią: studia i koledzy.

Na początku o geologii nie wiedziałem prawie nic. To, co uczono przed geografią fizyczną, czyli wstęp do geologii, było dla mnie strasznie nudne. Nigdy nie przypuszczałem, że będzie to moją pasją. Pierwsze związki z tą dyscypliną naukową pośrednio wiążą się jeszcze z liceum Władysława IV w Warszawie. Był tam bardzo wysoki poziom matematyki, z którym nie bardzo dawałem sobie radę. Następnym roku, to klasa maturalna. Byłem wystraszony. Postanowiłem zmienić liceum na inny profil i przenieść się tam, gdzie poziom matematyki będzie znacznie niższy. To zadecydowało o mojej dalszej przyszłości.

Przeniósłem się więc do liceum Adama Mickiewicza, do klasy przyrodniczej. Mieściło się ono na Saskiej Kępie. Musiałem jedynie zdać dodatkowo geografię, biologię i chemię. Matematyka była tam na moim poziomie, więc nie miałem już z nią specjalnych kłopotów. W tym czasie do programów szkół o typie przyrodniczym wprowadzona została geologia. Podręcznik opracował późniejszy mój profesor, Jan Samsonowicz. Książkę tę potocznie nazywaliśmy „Małym Samsonowiczem”, by ją odróżnić od wcześniejszego dorobku profesora. Geologię wykładał u nas młody geograf, Tadeusz Szczepanik. Przedmiotem potrafił tak zainteresować, że słuchano z przyjemnością jego wykładów. Któregoś dnia w klasie powiedziałem, że przedmiot ten jest bardzo ciekawy. Wtedy jeden z kolegów pożyczył mi książkę prof. Edwarda Stenzy pod tytułem „Ziemia”. Zrobiła ona na mnie wielkie wrażenie. To spowodowało, że zacząłem po księgarniach szukać różnych popularnych wydawnictw z serii nauk o ziemi. Im więcej na ten temat czytałem, tym bardziej byłem tym tematem zainteresowany.

Od tej pory nie miałem już wątpliwości, co chcę studiować. Gdy powiedziałem to rodzicom, wpadli w przerażenie. Już dawno wybrali dla mnie zawód. Miałem być prawnikiem i to adwokatem. Jeszcze by się godzili na lekarza, lecz geologiem? Z czego będę żył? Mój przyjaciel Henryk wybierał się na politechnikę. Namawiał, bym i ja tam składał papiery. Obiecował

pomoc z matematyki. To mnie jednak nie ciągnęło. Wcześniej myślałem o wojsku. Byłem pokoleniem wojennym i wojsko mi imponowało. Było to jednak dla mnie niemożliwe. Medycyna jak zwykle, była bardzo obstawiona. Bez poparcia ZMP o dostaniu się na studia nie było co marzyć.



*Dyrektor Dadlez wręcza świadectwo maturalne Stefanowi Cieślińskiemu,
Liceum im. Adama Mickiewicza, Warszawa, 1948*

W maju 1948 r., po zdaniu matury, złożyłem dokumenty na Uniwersytet Warszawski i po zdaniu egzaminów wstępnych zostałem przyjęty na geologię. W mojej rodzinie krok ten dał początek całej linii geologów. Ja byłem pierwszy. Chcąc się czegoś bliższego dowiedzieć, wybrałem się z poznaną właśnie koleżanką, Alusią Borkowską, do Zakładu Geologii. Mieścił się on w tym czasie w gmachu Chemii, przy ulicy Pasteura na Ochocie. Przyjęli nas tam asystenci: mgr Witold Cezary Kowalski i mgr Henryk Makowski. Oprowadzili po Zakładzie i przedstawili prof. J. Samsonowiczowi. To z jego podręcznika uczyłem się geologii w liceum. Poznaliśmy wtedy również światowej sławy paleontologa, prof. Romana Kozłowskiego. Byliśmy bardzo zaszczyceni i ujęci ich uprzejmością.

Nasz rok nie był liczny. Bardzo szybko nawiązaliśmy przyjaźnię. Był

to ostatni rok nauczania według programu przedwojennego. Nawet indeksy otrzymaliśmy przedwojenne, z pierwszą stroną w języku łacińskim. Nie obowiązywała nas wprowadzana wtedy dyscyplina studiów. Nie było sprawdzanych list obecności na wykładach. Na początku otrzymaliśmy przygotowany dla nas program obowiązkowych wykładów, egzaminów, seminariów, pracowni i ćwiczeń. Każdy wiedział, jakie należało zdać egzaminy i kolokwia, by uzyskać absolutorium. Kolejność mógł wybrać sam zainteresowany. Był to okres bliskich więzi profesorów ze studentami. Kadra naukowa doskonale nas знаła. W Zakładzie byliśmy ciągłymi gośćmi. Z każdą sprawą można było zawsze przyjść na dyskusję. Na każde pytania otrzymywaliśmy wyczerpujące odpowiedzi. Nasz rok dopędził inne, wcześniejsze lata. To znaczy te osoby, co zaczynały studia jeszcze przed wojną, lub zaraz po jej zakończeniu.

Studia geologiczne należały do bardzo przyjemnych. Geologii nie można się uczyć tylko z podręczników. Potrzebne są zajęcia terenowe, których mieliśmy bardzo dużo. Częste wyjazdy w zaprzyjaźnionym gronie były wielką atrakcją. Zajęcia w Górach Świętokrzyskich, Karpatach, Tatrach, Sudetach czy innych regionach były czymś zupełnie normalnym. Byliśmy młodzi i pełni zapału. Był to jeden z najpiękniejszych okresów naszego życia. W 1952 roku zakończyłem studia z tytułem magistra filozofii z zakresu dwóch specjalności: geologii i paleontologii. O przyszłość nie musiałem się troszczyć. Od 1949 roku pracowałem już na etacie w Instytucie Geologicznym. Instytut automatycznie wyreklamował mnie z obowiązkowego nakazu pracy. Nie musiałem się obawiać, że nie znajdę zatrudnienia w swoim fachu. Wiedziałem też, że nie będę skierowany daleko od Warszawy, na przykład, jako geolog kopalniany gdzieś na Dolny czy Górny Śląsk.

Z okresu studiów będę zawsze z serdecznością wspominał nasze koleżanki i kolegów. Było nas mało, mogliśmy się dobrze poznać i z wieloma żyć. Zajęcia terenowe bardzo temu sprzyjały.

Na moim roku studiowali: Alicja Borkowska, Jadwiga Brykalska, Stanisław Ciechański, Stefan Cieśliński, Jan Czermiński, Franciszek Dembowski, Zygmunt Gil, Tomasz Horn, Bogumił Jaworski, Barbara Jęczmyk, Bartłomiej Kinle, Krystyna Korejwo, Leszek Koter, Ewa Linde, Włodzimirz Łachnik (nie skończył studiów), Danuta Łapińska, Ewa Niepielska, Zbigniew Należyty, Antoni Nowakowski, Maria Pajchel-Szelażek, Otylia Panek, Jerzy Piwowarczyk, Hanna Sadowska, Śniegocki (nie skończył studiów), Henryk Tomczyk, Helena Tomko, Adam Urbanek (paleontologia), Janusz Włodkowski, Andrzej Wyrzykowski (nie skończył studiów), Bogu-

miła Zalewska i Eugenia Zimnoch.

W sumie, w 1952 r., łącznie ze starszymi rocznikami i przeniesionymi z innych uniwersytetów, zakończyła studia niewielka ilość osób. Pełen spis absolwentów opublikowany został w Księdze Pamiątkowej Wydziału Geologii UW. Na naszym roku, jak wspominałem wcześniej, panowała atmosfera przyjaźni i koleżeńskości. Pasją była geologia. Może się wydawać dziwnym, co w takim razie można po latach wspominać. Były jednak pewne wyjątki.

Jednym z pierwszych kolegów, których na uczelni poznałem, był Śniegocki. Jego imienia nie pamiętam. Chwalił się nam, pierwszakiem, że jest już na III roku studiów. Patrzyliśmy na niego z podziwem, jako na człowieka pełnego wiedzy, której mu zazdrościliśmy. Podczas następnych lat zaczęliśmy go dopęczać. Gdy otrzymywałem absolutorium, to już go na studiach nie było. Został wyrzucony z Uniwersytetu za brak postępu w nauce, czyli moja zazdrość w stosunku do niego była przedwczesną.



Eugenia Zimnoch, Jan Samsonowicz i Zbigniew Należyty, 1950

Z kadry dydaktycznej, która zachowała się w mojej pamięci, mogę wymienić najważniejszych: profesora Jana Samsonowicza, profesora Romana Kozłowskiego i młodą wtedy asystentkę paleontologii, późniejszego profesora, Zofię Kielan. Poza tym, z zoologii profesora Wiśniewskiego i jego asystentów, dr Neumana i dr Kazimierza Tarwida. Ten ostatni oskarżo-

ny był o zamordowanie żony, a naszej koleżanki, Biesiekierskiej. Była to wtedy wielka sensacja, szeroko nagłaśniana przez media. Botanikę wykładał nam, co też w tamtych czasach komunistycznych było niezrozumiane, ksiądz Szuleta. Bardzo miłe wspominałem wykładowcę mineralogii i petrografii, prof. Marię Turnau-Morawską. Ona zastąpiła wcześniej aresztowanego, prof. Łaskiewicza, który siedział w więzieniu około ośmiu lat tylko za kontakty filatelistyczne. Prof. Turnau miała fantastyczną pamięć. Pamiętała nie tylko nazwiska, lecz i imiona studentów, którzy u niej przed laty zdawali. Żaliła się mi, że wiele osób teraz jej nie poznaje i tu wymieniała jako przykład kolegę Ryszarda Dadleza. Pamiętała też, na jakie pytania zdający u niej nie potrafił odpowiedzieć. To było stresujące.

Na specjalną uwagę zasługiwał właściwie tylko jeden z naszych kolegów. Pamięci jego chciałem poświęcić trochę więcej miejsca. Był on bowiem, w odróżnieniu od innych, postacią nieprzeciętną, niestety, niekoniecznie wzorową. W latach pięćdziesiątych był na Wydziale Geologii bardzo popularny. Krążyły o nim całe legendy. Teraz jest już zapomniany, a nazwisko jego znane jest tylko najstarszemu pokoleniu. Andrzej Wyrzykowski, bo to o nim mowa, był jakby żywcem wzięty z opowiadań Wiecha. Nie wiem, czy dzisiaj znajdzie się wielu ludzi o podobnym uroku i fantazji.

Andrzej należał do najbardziej barwnych postaci naszego roku. Przyszedł do nas na jesieni 1949 r., gdy zaczynaliśmy drugi rok studiów. Przeniósł się z leśnictwa, które wcześniej studiował na SGGW. Miał tam jakieś kłopoty i wołał zmienić kierunek na geologię. Niestety, studiów tych też nie ukończył. Przez pewien czas uczył się jednak razem z nami na wykłady i ćwiczenia. Andrzej był wysokim, przystojnym, młodym człowiekiem, nadzwyczaj sympatycznym i koleżeńskim. Duszą każdego spotkania. Matka jego była z domu Kwiek (z królewskiego rodu cygańskiego). Ojciec był legionistą. Urodę Andrzej wzięł po matce. Miał wyraźne cygańskie rysy.

Głównym jego mankamentem był alkohol. Lubił wypić. Rodzice jego, by utrzymać się podczas wojny, pędzili na sprzedaż bimber. Andrzej w tej produkcji pomagał i degustował. To zakończyło się nałogiem. Z początku nie wiedzieliśmy o jego skłonnościach. Zresztą to nam nie przeszkadzało. Każdy z nas w tym czasie dla szpanu lubił się napić, lub tym chwalić. Najważniejsze, że Andrzej był koleżeński, wesoły i lubiany. Geologią, jak my wszyscy, bardzo się pasjonował. To nam zupełnie wystarczało, by go w pełni akceptować. Uroku dodawał mu jeszcze zgrabnie uszyty mundur leśnika, w którym zwykle chodził - pamiątka po studiach z SGGW.

Andrzej, niestety, nie skończył studiów. Nie miał zupełnie czasu na

naukę. Wolał pracować, by mieć pieniądze na przyjemności. Ożenił się, urodziła mu się córka, miał więc już rodzinę, o którą powinien się troszczyć. Rozpoczął najpierw pracę w Instytucie Geologicznym jako technik nadzoru wierceń. Po 2 tygodniach został jednak z hukiem wyrzucony. Wiercenie, które dozorował, nie wierciło, tylko piło. On w tych pijaństwach brał czynny udział i przewodził.



Andrzej Wyrzykowski, Adam Urbanek w pumpach, Zbigniew Należyty, okolice Kazimierza, 1951

Od tego okresu Andrzej zniknął z mojego pola widzenia. Spotykałem już go dość rzadko. Zawsze jednak miał coś nowego do powiedzenia i to głównie o swoim pechu. Najpierw krótko pracował w Przedsiębiorstwie Geologicznym, ale z powodu zgubienia po pijanemu dokumentacji zwirow-

ni, budowanej w Pływi koło Łodzi, został z pracy wyrzucony. Następnie z powodu pijaństwa stracił dobrze płatną robotę przy budowie Petrochemii Plockiej, gdzie pracował przy obsłudze wierceń.

Później natknąłem się na niego w Anopolu. Pracował w tym czasie w Przedsiębiorstwie Hydrogeologicznym. Dozorował postawiony tam otwór za wodą. Pokazywał mi profil tego wiercenia do głębokości 150 m. Śmiał się do rozpuku. Patrz, od góry do dołu zaznaczone są tam same piaski z pokruszonych twardych piaskowców, a w środku występuje przewarstwienie granitów. To jest moje dzieło. Jak to? - byłem zdziwiony. Przecież tu w ogóle piasków, piaskowców, a tym bardziej granitów nie ma. Występują tu tylko wapienie i margle jurajskie, pokruszone udarem.

To wiem, odpowiedział. Lecz inni nie muszą tego wiedzieć. Granit, jak wiercili po pijaku, to wpadł im do rury. Nie będę ich poprawiał, by nie było zatargów, że mniej zarabiają. Załoga jest niezła i jest z kim wypić. Wiesz, że za wiercenie w piaskowcach, a tym bardziej w granicie, dostaje się znacznie większą stawkę. Inną, niż w wapieniach, czy marglach, a to się tu liczy. Dlatego skały, które tu występują, przeklasyfikowałem na lepiej płatne. Niestety, winą za ten stan rzeczy Przedsiębiorstwo obciążyło nie wiertaczy, a nadzór. Zrezygnowano z jego dalszych fachowych usług.

Andrzejowi działo się coraz gorzej. Kureczyła się ilość miejsc pracy związanych z geologią. Gdy gdzieś taką znajdował, to zaraz w kadrach zjawiała się jego żona. Robiła mu wstyd. W oparciu o przedstawiane dokumenty załatwiała wyłączne prawo odbioru jego ciężko zarobionych pieniędzy.

Raz, jak opowiadał, żona zachorowała i nie mogła osobiście jego wypracowanej krwawicy odebrać. Dała więc mu odpowiednie upoważnienia. Wymusiła ponadto przyrzeczenie, że zaraz po pracy zjawi się z forszą w domu. Chęci i intencje były na pewno dobre. Nie przewidział jednak, że po drodze spotka przyjaciół, których dawno nie widział. Spotkanie zakończyło się trzydniowym pijaństwem. Szefostwo za trzydniową absencję bez usprawiedliwienia, podziękowało mu za pracę.

Kontakty nasze bardzo się rozluźniały. Widywałem go coraz rzadziej. Raz pamiętam, przyszedł rano do Instytutu pożyczyć od kolegów trochę forsy. Robił to nie pierwszy raz. Nigdy i tak nie oddawał. Wszyscy go żalowali, bo miał ciągle kłopoty finansowe.

Gdy obszedł wszystkie instytucje związane z geologią i gdzie dał się dobrze poznać, szukał zajęcia w innych branżach, w tym i w rolnictwie. Zatrudniony został po znajomości jako traktorzysta. Znowu jednak zły los dał znać o sobie. Miał przykry wypadek. Nie wiadomo jak, lecz dostał się

pod koła swojego będącego w ruchu traktora. Oskarżono go, że po pijaku siadał za kierownicę. Odebrano prawo jazdy. Stwierdzono, że zawód ten nie jest dla alkoholików. Pozbawiono go możliwości zarobkowania na stanowisku traktorzysty - kierowcy. Była to, niestety, ostatnia jego praca zawodowa. Nie przekroczył wtedy jeszcze 30 lat. Został bezrobotnym na utrzymaniu żony.

Ostatni raz spotkałem Andrzeja na placu Unii Lubelskiej. Było to gdzieś na początku lat osiemdziesiątych. Zaczepiłem go, lecz mnie nie poznał. Był to już wrak człowieka.

W połowie lat osiemdziesiątych dowiedziałem się, że Andrzej nie żyje. Znalaziono go martwego pod barem, w Konstancinie. Odszedł tak, jak żył. Szkoda, był uroczym człowiekiem, wesołym i świetnym kumpłem.

Na naszym roku była jeszcze jedna barwna postać, Bartek Kinle, jednak nawet w części nie dorównywała Andrzejowi. Był dobrym studentem, lecz w pracy nie bardzo mu wychodziło. Stale się komuś narażał. Pracował najpierw w Instytucie, gdzie z dyrekcją wojował. Wszędzie, gdzie tylko usiadł i było miejsce, rysował pistolety, czołgi i samochody. To wskazywało, gdzie siedział. Następnie przeszedł do Muzeum Ziemi, gdzie naraził się kierownictwu Halickich. Zmuszony był odejść do jakiejś spółdzielni zajmującej się wyrobami z nefrytu. Tam nasz kontakt się urwał.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych spotkaliśmy się przypadkowo. Zaprosiłem go do domu. Zaproponowałem kawę lub herbatę i do tego zakupione wcześniej ciastka. Bartek z oburzeniem i zdziwieniem odpowiedział: „Wodę mam pić? Postaw coś odpowiednio mocnego”. Tego nie przewidywałem, ale zrobiłem, jak sobie życzył. Przyniosłem butelkę winianku i poszedłem przygotować kanapki. Ciastka bowiem do alkoholu się nadawały. Gdy wróciłem do pokoju, butelka była już prawie pusta. Gość był tak wstawiony, że nie było mowy o rozmowie. Bełkotał coś bez sensu, głośno przeklinając; palonymi papierosami nie trafiał do popielniczki i wypalał dziury w obrusie.

Mama była w tym czasie w domu. Znała go jeszcze ze studiów i chciała porozmawiać. Prosiłem, by nie wchodziła do pokoju, bo było mi wstyd. Dużo miałem trudności, by się go w końcu pozbyć. Ciągle chciał nowego alkoholu. Powiedziałem, że już nie mam; nie wierzył. Wprost ode mnie odszedł na poprawkę do baru „Zagłoba”. Ty mi żałujesz, to ja ci postawię. Zaciągnął mnie do knajpy. Tam, ze względu na stan upojenia, w jakim się znajdował, wódki ani piwa mu nie sprzedano. Był oburzony i obrażony. Nie chciał już dalszych ze mną kontaktów. Z ulgą wsadziłem go do

autobusu i na tym nasza znajomość się urwała.

Państwowy Instytut Geologiczny

Moje związki z PIG rozpoczęły się bardzo dawno. Na wiosnę 1947 r. byłem z wycieczką szkolną na wystawie „Przemysłu Ziemi Zachodnich”. Z wycieczki tej zapamiętałem jedynie motocykl „Sokół” i piękny budynek, w którym się ta ekspozycja mieściła. Nie wiedziałem wtedy, że był to gmach Państwowego Instytutu Geologicznego świeżo odbudowany po wojennych zniszczeniach. Tym bardziej nie przypuszczałem, że spędzę tu ponad pół wieku mojego życia.

Rozpoczynając studia geologiczne niewiele wiedziałem o tej dyscyplinie nauki i o możliwościach przyszłej pracy. Termin zakończenia dopiero co rozpoczętych studiów był strasznie odległy. Nie było się więc nad czym zastanawiać. Interesowałem się w tym czasie bardziej propagowaną przez naszego kolegę, późniejszego znanego profesora, Adama Urbanka, pseudoteorią "przepelzu fauny", usiłującą podważyć kanony biostratygrafii. Im ktoś z nas większą bzdurę wymyślił, tym bardziej pasowało to do naszej zabawy w naukę.

Po rozpoczęciu studiów w listopadzie 1948 r., podczas przerabiania ćwiczeń z fizyki doświadczalnej, które odbywały się w gmachu Instytutu Fizyki na Hożej, poznałem Stefana Rossę. Kończył on w tym czasie geomorfologię i musiał dodatkowo dorobić jeszcze ćwiczenia z fizyki. Zatrudniony był w Państwowym Instytucie Geologicznym. Tam poproszono go, by znalazł studentów geologii chętnych do pracy. Instytut miał wolne etaty i duże zapotrzebowanie na pracowników. Ja bardzo się do tego zapaliłem. Miałem jednak pewne wątpliwości. Dopiero co rozpocząłem studia i z tej dziedziny jeszcze niewiele umiałem. Na to otrzymałem odpowiedź, że na razie nie muszę nic umieć. Instytut będzie sam swoich przyszłych pracowników szkolił. To mnie przekonało i było to mądre posunięcie.

Gdy w domu oświadczyłem, że mam zamiar w najbliższym czasie iść do pracy, rodzice wpadli w panikę. „To będzie już po studiach. Nie dasz rady. Zastanów się. Studia są ważniejsze.” Dla mnie jednak i pieniądze miały wielkie znaczenie. Ojciec zarabiał słabo. Pracował w tym czasie w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej. Nie miał widoków na awanse. Był starostą z przedwojennego aparatu ucisku, co mu często wypominano. Mama nie pracowała. Na utrzymaniu był jeszcze mój starszy brat, Tadeusz. Stu-

diował już któryś rok medycynę w Łodzi i końca nauki nie było widać. Na żadne przyjemności nie było nas wówczas stać. Perspektywa zarabiania pieniędzy była dla mnie nie do odparcia. Wiedziałem, że to zwiększy mój wysiłek. Będą jednak z tego dodatkowe korzyści.

Wydział Złóż Surowców Skalnych.

W grudniu 1948 r. zgłosiłem się do Działu Kadr, wtedy jeszcze Państwowego Instytutu Geologicznego. Zostałem skierowany do Wydziału Złóż Surowców Skalnych. Szefem był inż. Władysław Bobrowski. Ze względu na wąsy był przez pracowników zwany „Foką”. Kandydatura moja została zaakceptowana. Koniec roku spowodował przesunięcie mojego zatrudnienia na I kwartał następnego roku. Uzyskałem zgodę prof. Jana Samsonowicza. Spokojnie więc czekałem na załatwienie wszelkich formalności. Zgodnie z umową, zatrudniony zostałem w niepełnym wymiarze godzin w charakterze „pomocy naukowo-technicznej”. Pierwsza umowa była na 3-miesięczny okres próbny. Następne były automatycznie przedłużane, aż do czasu otrzymania pełnego etatu. Moje wynagrodzenie wynosiło 8.500 zł. Średnie zarobki w tym czasie kształtowały się około 24.000 zł. Była to dla mnie i tak wielka suma. Czuję się bardzo bogaty. Instytut zwalniał mnie na ćwiczenia i część wykładów. Musiałem założyć zeszyt wyjść.

W dniu 10 marca 1949 r. rozpocząłem pierwszą w życiu zawodową pracę. Wydział Złóż Surowców Skalnych mieścił się w przybudówce, obecnym gmachu B (im. Ignacego Domeyki). Budynek A (im. Jana Wyżykowskiego) nie był nawet w planie. Tu, gdzie obecnie stoi, znajdowały się ogródki działkowe. Na rogu Rakowieckiej i Wiśniowej, pod numerem Rakowiecka 4, stał niepozorny drewniany barak, w którym mieszkał laborant pracujący w Instytucie.

Idąc do swojej pierwszej pracy byłem bardzo przejęty. Pamiętam jak rano, z duszą na ramieniu przekroczyłem próg Instytutu. Szefa w tym czasie nie było. Sekretariat prowadził nieznanym mi jeszcze mój rówieśnik - Janusz Majcherkiewicz. Z nim wszystko załatwiałem. Zdjąłem płaszcz i zapytałem się: „Co mam robić?” Odpowiedział uprzejmie: „Siąść i czekać.” Tak też zrobiłem. Po pewnym czasie głupio było mi tak siedzieć. Przecież ja już pracuję. Znowu poprosiłem o jakieś zajęcie. Usłyszałem już mniej uprzejmie: „Co to za dziwny człowiek; teraz nikt nie chce robić, a ten domaga się stale pracy.” Zrobił ponadto złośliwą uwagę: „Chce być pewno przodownikiem pracy, tak jak Wincenty Pstrowski” i dodał: „Komu śpieszno na sąd boski,

niech pracuje tak jak Pstrowski." Spojrzał na mnie nieprzychylnie. Gwałtownie zaprzeczyłem, trzęsąc się z emocji i strachu.

Następnie Janusz zwrócił się do mnie z pytaniem: „Kolego, czy należycie do ZWM (Związku Walki Młodych)?” W tym czasie organizacja ta przekształcała się w ZMP (Związek Młodzieży Polskiej) jako forpoczta partii. Były wielkie naciski i obietnice skierowane do młodzieży, by się zapisywała i walczyła z szerzącą się wokół reakcją. Bez poparcia ZMP nie była możliwa przyszła kariera, nawet zawodowa.

Odpowiedziałem mocno przestraszony, że nie należę. „A to, dlaczego?” - zapytał się dość ostro. Zacząłem się mętnie tłumaczyć, argumentując głównie nauką w szkole, maturą, zamieszkaniem w odległym Wołominie i związanym z tym brakiem czasu. Nic mądrzejszego nie przychodziło mi do głowy. On kręcił głową z wyrazami niezadowolenia i głośno do mnie mówił: „To nie jest wytłumaczenie” i powtórzył to parę razy. Bardzo się tym zdenewrowałem. Nie miałem innej wystarczającej argumentacji. Nie mogłem przecież powiedzieć, że organizacja ta mi nie odpowiada. O powojennej amnestii dla członków ruchu oporu podczas niemieckiej okupacji, którą również byłem objęty, bałem się wspominać. Nie napisałem przecież o tym w ankiecie personalnej, do czego pod groźną kary więzienia byłem zobowiązany.

Odczekałem, aż Janusz wyszedł z pokoju. Wtedy zapytałem się jednego z panów, który właśnie wszedł do sekretariatu. O ile pamiętam był to pracownik zakładu, Oleksiak. „Ten pan w sekretariacie, jest sekretarzem partii, czy przewodniczącym ZMP?” Oleksiak zaczął się głośno śmiać i powiedział: „Ta czarna reakcja? On i partia!” Zorientowałem się wtedy, że robił ze mnie balona. Gdy wrócił, to ja do niego z pretensją. Wtedy Janusz powiedział, że przeprasza. Musi jednak wiedzieć, kto będzie z nim razem pracował.

Z Januszem bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Był nadzwyczaj inteligentny, błyskotliwy i sympatyczny. Czasami potrafił być złośliwy, lecz o to nie mieliśmy pretensji. Cieszył się powszechną sympatią. W okresie Powstania walczył w szeregach AK, w batalionie Wigry, na Starówce. Podczas walk został ranny w katedrze warszawskiej i przy tej okazji stracił oko. Był powiązany z kołami kombatanckimi. Miał też duży talent. Jego wierszowana i rozprawdzona w maszynopisie krytyka pracowników zakładu dawała nam dużo radości. Nie wszystkim jednak opisanym tam osobom przypadła do gustu. Oburzone były zwłaszcza nasze skrytykowane koleżanki.

W Zakładzie pracowało w tym czasie wielu ciekawych i sympatycznych ludzi. Był chemik, Aleksander Jeliński, późniejszy wicedyrektor IG. Pracowała tu pani Łukaszek (technik chemik) i Olimpia Bobrowska - maszynistka. Ta ostatnia była żoną szefa. Ciągłe była podejrzewana, że kabluję mężowi. Powód: miała zeza i nie wiadomo było na kogo patrzy. Pracowały też Tereska Domaszewska, Bogusia Zalewska i Maria Lazarek. Niedługo doszedł Ludomir Mączka - przyszły żeglarz, który większą część życia spędził na morzu, opływając świat dookoła na jachcie „Maria”. Pracował również oryginał i dziwak, Łaszczyński. On i Mączka wyglądali jak przebiezańcy; dodzierali bowiem mundury różnych okupacyjnych armii.

Następnymi nabytkami Zakładu byli: Zbyszek Kozydra i Bartek Kinle. Ten ostatni wyróżniał się tym, że wszędzie malował samochody lub pistolety. Na ucho mówiono o jego skomplikowanej okupacyjnej przeszłości. Rozpoczął również pracę mój kolega i przyjaciel ze studiów, Andrzej Wyrzykowski, lecz już po dwóch tygodniach został z hukiem wyrzucony za pijaństwo.

Do starszych pracowników Zakładu należeli: dr Antoni Morawiecki i inż. Wiktor Zajączkowski. Obydwaj do Instytutu przyszli wprost z obozów. To było powodem częstych dyskusji o tym, które kaźnie były gorsze – niemieckie czy sowieckie. O tych ostatnich nie wolno było głośno mówić. Zaczynał się bowiem okres strasznego stalinowskiego terroru.

Zakład na początku lat pięćdziesiątych stale się powiększał o zgłaszających się studentów geologii. Ponadto dochodzili i odchodzili nowi ludzie do prac pomocniczych z tak zwanego „Zaciągu Guzika”. Robiło się ciasno. Czas, niestety, zatarł wiele nazwisk.

Atmosfera w pracy była bardzo koleżeńska. Zająć było dużo, lecz oprócz pracy robiło się wiele różnych kawałów. Mieliśmy rękawice bokserkie, by w przerwach toczyć zacięte walki. Nasz szef wszystko chciał trzymać w swoich rękach. Gdy nas widział boksujących się, zawałał nas robotą. Zależliśmy na to sposób. Uciekało się do piwnicy, gdzie byliśmy bezpieczni. Szef tam rzadko zachodził. Kupowało się wino i w miłym towarzystwie potrafiliśmy przesiedzieć tam nawet do późnego wieczora. Po wino zwykle chodził laborant Grajber. Był żołnierz II korpusu i uczestnik bitwy o Monte Cassino. Bardzo sympatyczny człowiek.

Jedno z pierwszych moich zadań, jakie mi szef zlecił, przerosło moje możliwości. Miałem wykonać przekroje geologiczne w oparciu o wiercenia surowcowe na złożu Żarnów. Nie miałem pojęcia, jak się za to brać. Korelację oparłem tylko na miąższościach i wyszedł z tego dziwoląg. Gdy ją odda-

łem, długo się temu przyglądał. Powiedział, że takiej interpretacji dotychczas nie widział. Chyba tak nie jest, lecz pewności nie miał. Od kierownictwa dostalem następane polecenie. Miałem nauczyć się pisać na maszynie i zrobić prawo jazdy na motocykl. Z wielką radością do tego się wziąłem.

Szefa na początku bardzo się bałem. Istniały wtedy dla mnie dwa autorytety w skali światowej: Naczelnik Kościuszko i Naczelnik Bobrowski. Nie wiedziałem, który był większy. Z czasem, po bliższym poznaniu, autorytet mojego szefa znacznie zmalął. Byłem bowiem często jego protokołantem. Zajęcie to bardzo mi odbrażawiało tą wybitną postać. Pamiętam, zabrał mnie na konferencję poświęconą glinom ogniotrwałym. Miałem tam protokołować wyniki spotkania. Upowiedzi, że wszystko jest bardzo ważne i bym czegoś nie pominął. Dyskusję rozpoczął przedstawiciel przemysłu, inż. Majewski z Gliwic. Na wstępie określił dokładnie miejsce, gdzie ma propozycje szefa i co o nim sądzi. Zdębiałem. Szef złapał mnie za rękę: „Niech pan tego nie pisze!”. Ta wypowiedź i inne, bardzo osłabiły moją wiarę w autorytety.

Sekcja żwirów i piasków.

Na początku 1949 r. zostałem przekazany do pomocy inż. Wiktorowi Zajączkowskiemu. Był to bardzo ciekawy człowiek, któremu wiele zawdzięczam. Z wykształcenia był rolnikiem i gleboznawcą, a z zamiłowania geologiem. Przed wojną opracowywał mapy gleb na Polesiu. W 1939 r. został powołany do wojska, gdzie przeżył Kampanię Wrześniową. Dostał się do niewoli, z której uciekł. W Krakowie, gdzie mieszkał, zaangażował się aktywnie w działalność konspiracyjną. Na skutek wyspy musiał uciekać. Skierowano go do oddziału partyzanckiego w białostockie. Ranny dostał się w ręce niemieckie. Był torturowany; usiłował popełnić samobójstwo. Przeciął o kibel nadgarstki rąk. Miał tam blizny. Niemcy wymienili go za swoich wziętych do niewoli żandarmów. Bolszewicy w 1944 r. zgarnęli go wraz z oddziałem i wywieźli w głąb Rosji. Siedział tam w obozie wiele lat, bez prawa korespondencji. Wypuszczono go dopiero w 1948 r. Po powrocie rozpoczął pracę w PIG.

Po powrocie z Rosji nie miał właściwie domu. Mieszkał w pokoju gościnnym. Jego ukochaną siostrę Niemcy rozstrzelali. Żona, sądząc że nie żyje (przez lata zesłania nie mógł pisać do domu) związała się z kimś innym; ciężko to przeżył. Po powrocie nie chciał nawet słyszeć o zejściu się. Dopiero po paru latach i namowach wrócił w końcu do żony.

Zajączkowski był tytanem pracy - pracoholikiem. Geologia była dla niego wszystkim. W Instytucie, w pierwszym okresie, zajmował się dokumentowaniem złóż piasków i żwirów, a potem glin ogniotrwałych. Pracowałem z nim w terenie przez parę sezonów lat 1949-1950. Od niego bardzo dużo się nauczyłem.

Z Warszawy odszedł do stacji Karpackiej IG, a następnie do Oddziału Górnośląskiego IG w Sosnowcu. Tam przepracował do emerytury. Do końca byłem z nim w częstych kontaktach i zawsze będę mile go wspominał. Na pogrzebie w Bielsku Białej żegnałem go w imieniu Instytutu.

Z okresu tego pozostały głównie wspomnienia ze wspólnych prac terenowych. Nie były one podobne do dzisiejszych, a znacznie trudniejsze. Dotyczyło to, po pierwsze, wysokości diet (bardzo niskie). Warunki transportu, to kolej, PKS, furmanka, lub nogi. O służbowym samochodzie trudno było nawet marzyć. Do tego dochodziły trudności z zakwaterowaniem i z wyżywieniem. Wiele osób broniło się przed wyjazdami służbowymi.

Pamiętam jedną z moich pierwszych delegacji w 1949 r. Wiązała się z poszukiwaniem piasków i żwirów budowlanych w rejonie Nowego Miasta nad Pilicą. Zajechaliśmy do wsi Łęgonice. Obok tej miejscowości występuje szereg pagórków morenowych. Na jednym z nich stoi bardzo ładny stary kościół pod wezwaniem św. Rocha. Góra nosi nazwę „Zgoda”. Nazwa ta jest historyczną i wiąże się z zakończeniem w tym miejscu rokoszu Lubomirskiego. Tu w XVII wieku miało dojść do zgody z Janem Kazimierzem. Na tę intencję wybudowano kościół.

Ja do św. Rocha mam specjalną sympatię. Wiąże się ona z górską legendą o tym właśnie świętym. Miał on się zajmować chorymi. Gdy Pan Bóg zsyłał na ludzi za grzechy „morowe powietrze”, to zaraz tam zjawiał się Roch. Tak Boga prosił, że Bóg przebaczał grzesznikom i cofał zarazę. Był on bardzo samotny. Za przyjaciela miał jedynie psa, z którym wędrował i dzielił trudami, niosąc pomoc potrzebującym. Jak Roch chorował, to pies się nim opiekował i odwrotnie. Tak wędrowali po święcie czyniąc ludziom dobro. W końcu Pan Bóg postanowił św. Rocha przywołać do siebie.

W bramie niebios zjawiał się więc święty ze swoim psem. Klucznik Piotr nie chciał ich razem wpuścić do raju, bo to nie miejsce dla zwierząt. Roch nawet za cenę nieba nie zgodził się opuścić swego towarzysza. Przyjaciel nigdy nie opuszcza się w potrzebie. Jeśli nie mogą wejść razem, to pójdą w siną dal i tak zrobili. Po pewnym czasie Bóg pyta Piotra: „Co jest z Rochem? Dlaczego jeszcze go tu nie ma?” Piotr odpowiada „Był, lecz go nie wpuściłem. Chciał wejść z psem.” Zmarł więc Bóg. Dla Rocha trzeba było

zrobić wyjątek. Wtedy Bóg kazał ich odszukać i sprowadzić do nieba. Jak to zobaczyli inni święci, zaraz zwrócili się z prośbami i żądaniem. Piotr pytał się „A mój kogut?” Jonasz prosił o wieloryba. Święty Franciszek chciałby mieć tu ptaszki, a Józef osiołka. Woził przecież Świętą Rodzinę. Wtedy Bóg pod taką presją powiedział: „Dzięki wstawiennictwu św. Rocha zwierzęta od tej pory będą również miały miejsce w niebie.” Było to wielkie ustępstwo na rzecz biednych zwierząt.

Jednakże nie zabytek, ani nie historyczne miejsce zrobiły na mnie wrażenie. Tam, na tym pustkowiu, w wykopanej ziemiance, mieszkał autentyczny pustelnik. Nazywano go Ignacy. Był to mężczyzna, wtedy w sile wieku, z wielką czarną brodą i długimi włosami. Ubrany był w brązowy habit przepasany sznurem. Żył tylko z datków za modlitwę. Opowiadał, że podczas wojny Niemcy brali go za Żyda i chcieli zastrzelić. Musiał udowodniać swoje pochodzenie. Wyglądał niesamowicie - relikwii średniowiecza, gdy go wtedy po raz pierwszy spotkałem. Egzystował pod tym kościołem bardzo długo, około 30 lat. Gdy w latach dziewięćdziesiątych odwiedziłem znów to miejsce, już go nie było. Zachował się jednak w ludzkiej pamięci.

Z okresu tego pamiętam nocleg w 1949 r. w Nowym Mieście. Było już ciemno, gdy dojechaliśmy do tej miejscowości. Naturalnie, hotelu nie było. Próbowaliśmy szukać noclegu w klasztorze, lecz tam już miejsca były zajęte. Dostaliśmy na koniec właściwy adres. Była to rudera w rynku. Właścicielka nosiła piękne księżęce nazwisko - Woroniecka. Niestety wygląd jej, profesja, jak i lokal do tego nazwiska nie pasowały. Nas razem z kierowcą było sześć osób. Gospodyni dysponowała jedynie trzema łózkami. Musieliśmy spać po dwóch. Teraz byłoby to raczej niemożliwe. Wtedy normalna. Mnie wypadło dzielić łóżko z Zenkiem Gajewskim, studentem będącym na praktyce. Wygodnie nie było. Najważniejsze, dach i miejsce do leżenia. Lepsze to, niż na dworze.

Byłem zmęczony i zaraz zasnęłam. Gdy się obudziłem, było jeszcze ciemno. Patrzę, nie ma mojego towarzysza w łóżku. Inne łóżka też są puste. Co się z nimi stało? Wyglądam przez okno, a tu wszyscy koledzy siedzą na ławce pod domem i gadają. „Spać nie możecie?” Okazuje się, że tak. Pluskwy nie pozwalają. Ja nie czułem, by mnie coś gryzło. Na nowo położyłem się, smacznie i wygodnie spałem do samego rana. Gdy było już widno podniosłem wiszącą nad łóżkiem makatkę, a tam, jak mrowisko. Pluskwa na pluskwie.

Nasz wytworny pensjonat u księżnej Woronieckiej nie miał łazienki, ani toalety. Wszystkie czynności odbywały się na podwórku. Myśliśmy się

przy studni, jeden drugiego polewał wodą z wiadra. Wszyscy, poza mną, byli jak po ciężkiej wysypce, w czerwone cętki. Zaczęto się ze mnie śmiać, że jestem niesmaczny nawet dla pluskiew. To mnie jednak nie zmartwiło. Dzięki temu nie przeżywałem niepotrzebnych nocnych stresów, jak większość moich przyjaciół w tych zapluskwionych czasach.

Nie zawsze kwatery były tak kiepskie. W wrześniu 1950 r. prowadziliśmy prace w Szwajcarii Kaszubskiej mieszkając wygodnie na poddaszu u dróżnika w Sulęczynie. Okolice tam była wyjątkowo piękna: lasy i jeziora. Następnie przenieśliśmy się na samo wybrzeże kwatując w Grand Hotelu w Sopotach. Mogło się wydawać: luksus za pieniądze państwowe, pełnia szczęścia. Jednak granica między komfortem, a prymitywem była bardzo cienka. Stołując się w Grand Hotelu zamówiłem raz jakąś zupę o nazwie francuskiej, która mi nic nie mówiła. Postanowiłem w okresie, kiedy będę tu mieszkał, próbować wszystkiego, co mają w karcie. Znaleźć nowe dobre potrawy, a nie jadać stale to samo.

Kelner o manierach światowca przyniósł zamówioną zupę. Nie była w smaku nadzwyczajna i nie mogłem się zorientować z czego jest zrobiona. Zwróciłem jednak uwagę, że pływa w niej duża śliwka. Pomyślałem - pewno węgierka. Mam taki zwyczaj, że każdą rzecz jem osobno. Najlepsze kąski zostawiam na koniec. Gdy zupę skończyłem, to zabrałem się za śliwkę. Zauważyłem, że od tej węgierki coś odstaje. Przekręcąc łyżką, a tu widzę nogi. To nie śliwka, a wielki i czarny karaluch. Wołam natychmiast kelnera i pokazuję. Robię raban. Przy następnych stolikach jedzący odsuwają talerze. Kelner przygląda się i pyta: „Co to jest i gdzie to było?” Odpowiadam, że w zupie, a to karaluch. Patrzy, przewraca łyżką i zaprzecza: „To nie może być karaluch, to szczypawka.” Zaczyna się dyskusja. Odpowiadam „Badań entomologicznych nie będziemy tu robić. Powinien ten stwór być w mojej zupie? Czy to zupa szczypawkowa, czy karaluchowa? Chyba nie?” Przelatuje kierownik sali, oględziny i narada. W końcu przepraszają i przynoszą inną zupę. Byłem nawet z tego zadowolony. Zapłaciłem za jedną, a zjadłem aż dwie. Proszono, bym o tym nikomu nie opowiadał. I tak by mi ludzie nie uwierzyli.

Z wygodnego lokum w Sopocie z końcem września 1949 r. inż. Zajączkowski wysłał mnie do Dzierzgonia. Małe miasteczko położone na wschód od Malborka. Wiozłem tam dokumentację dużej żwirowi, która miała być w tym regionie budowana. Dojazd był bardzo kiepski. Na miejsce dotarłem już po zmroku. Stacja kolejowa była oddalona parę kilometrów od miasta. Z dworca był transport konny. Woźnicy zapytałem się o hotel. Usły-

szalem, że jest, tylko zwykle miejsc tam nie ma. Trochę mnie to zdenerwoowało. Pogoda fatalna, ciemno i pada. Nikogo tu nie znam. Jest to koniec września. Gdzie znaleźć jakąś kwatere?

Jak się okazało, hotel był razem z knajpą. Wszyscy w sztok pijani. Dogadać się nie było jak. Recepcjonista, również pijany, po wielu prośbach dał mi pokój. Były tam jakieś rzeczy i rozgrzebana na łóżku brudna pościel. Zwróciłem na to uwagę. Twierdził jednak, że nikt tam nie mieszka i pokój jest do wynajęcia. Jak nie chcę, mogę go nie brać, lecz nic innego nie ma. Nie bardzo dawałem w to wiarę, ale co robić? Przesiedzieć w deszcz noc na dworze? Muszę brać co dają, albo na dwór. Nie widząc innego wyjścia, w końcu się zdecydowałem.

Gdy chciałem się położyć i odpocząć, przyszedł pijany właściciel pokoju i chciał mnie bić. Sądził, że jestem złodziejem. Wezwałem recepcjonistę. Wtedy przypomniał sobie, że mieszka tam traktorzysta z pobliskiego PGRu (Państwowego Gospodarstwa Rolnego). Dostałem inny pokój, lecz bez zamknięcia. Domagałem się, że muszę mieć zamykany, bo mam tajne rzeczy. Okazało się, że w całym hotelu zamek ma tylko ubikacja przeznaczona wyłącznie dla personelu. Tam jednak nie chciałem tych cennych papierów złożyć. Bałem się, że mogą być wykorzystane do innych, nie z geologią związanych, celów.

Poszedłem coś zjeść; w knajpie tylko pijani autochtoni mówiący głównie po niemiecku. Zaczęto mi składać życzenia, bo to było Waclawa. Może to solenizant i postawi? Ledwo się wyrwałem z objęć pijaków. Jeszcze jest wcześniej, co tu robić? Poszedłem do kina. Do początku programu ponad godzina. Siedzę i czekam. Grano jakiś film sowiecki i przyszły tylko dwie osoby. Pokaz więc odwołano; nie miałem szczęścia. Po powrocie do hotelu postanowiłem się już położyć. Drzwi niezamykane, stale ktoś wpada, kogoś szuka i to zwykle mocno pijany. Postanowiłem jakoś drzwi zablokować, ale jak? Otwierały się na korytarz. Pas z torby geologicznej przywiązałem do klamki i drugi koniec do łóżka. Zadowolony z pomysłu, mimo pijackich krzyków na korytarzu, spokojnie zasypiam.

Nagle czuję, że łóżko jedzie. Ktoś usiłuje się dostać do mojego pokoju i siłą otwiera drzwi. Wymyśla od najgorszych: „Czego taki, nie taki trzymasz?”. Zrywam się i z mordą na pijaka. Dochodzi do draki; wezwany recepcjonista uspakaja. Znowu się kładę. Pościel brudna. Śpię więc w ubraniu, bo się brzydzą. Nareszcie zasypiam, lecz nie na długo. Znowu ktoś drzwi otwiera i ciągnie łóżko. Teraz ja zrywam się z awanturą. Okazuje się to recepcjonista. Chce wziąć ode mnie koldrę, albo poduszkę. Ma nowego klien-

ta, lecz ten na samych sprężynach nie chce leżeć. Musi więc po pokojach pozbierać. Nic mu nie dałem i nerwowo roztrzęsiony do samego rana nie mogłem zasnąć. Z radością wyprowadzałem się nie tylko z hotelu, lecz i z Dzierzgonia. Tak w tym czasie mieszkano się na służbowych delegacjach.

Następne zadanie dostałem w rejonie Elku. Był to jeszcze rok 1949. Tam kwaterowałem w dość dobrym hotelu. Razem ze mną był mój przyjaciel, Janusz Kopik. Był on rok niżej niż ja i też rozpoczął pracę w PIG. Razem z nim uganiał się za żwirem i piaskami budowlanymi. Któregoś dnia pojechaliśmy pociągiem do Grajewa. Musieliśmy geologicznie spenetrować obszar moren czołowych. Teren okazał się bardzo perspektywiczny złożowo i zajęło nam to dużo czasu. Nie zdążyliśmy złapać jakiegś komunikacji do Elku. Okazało się, że pociągu też już nie mamy. Za to złapała nas burza, a my w polu. Trzeba było się gdzieś schować i myśleć o noclegu. Było późno i zbliżała się noc.

Okolice pusta, pod lasem stał jedynie samotny dom. Nie było wyboru. Zmierzcza, w strugach deszczu pukamy do drzwi. Otwiera nam jakieś ponure chłopisko. Prosimy, czy może nas przyjąć na noc. Złapała nas burza, zbliża się noc i nie mamy gdzie iść. Gospodarz popatrzył nieufnie i co nigdy nie miało miejsca, zażądał pokazania dokumentów. Wyjęliśmy delegacje. Wyraził zgodę, lecz powiedział: „Luksusów nie będziecie mieli. My mieszkamy w jednej izbie i tu miejsca nie ma. Możecie spać w drugim pomieszczeniu, ale ono jest puste.” Nie było wyjścia, trzeba brać, co dają. Przyniósł dwie wiązki słomy i rzucił na podłogę. Słoma z dworu była mokra.

Rodzina tego chłopca składała się z czworga małych dzieci i żony. W kuchennej izbie były dwa łóżka. Światła elektrycznego, naturalnie, nie było. Palila się tylko lampa naftowa, przy której niewiele było widać. Zaproponowano poczęstunek złożony z mleka i czerstwego chleba własnego wypieku. Usiedliśmy w kuchni, jemy i gadamy. Gospodyni zaczęła opowiadać, jakie są teraz niebezpieczne czasy. „Partyzanci” często tu chodzą i jak zobaczą kogoś obcego, to w nocy napadają i żądają pieniędzy. Mówiła, jak niedawno jej siostra sprzedawała wieprza. Jeszcze tej samej nocy przyszli i mówią, dawaj forszę. Ona nie chce oddać. Złapali jej dziecko. Oddaj, bo wybijemy mu oczy. Twarda kobieta, nie oddała. Co było dalej, bałem się pytać. Byliśmy tym przerażeni.

Po kolacji wpuścił nas do naszego ciemnego pomieszczenia. Drugiej lampy naftowej nie mieli. Jak tu na mokrej słomie spać? O rozebraniu się nie ma nawet mowy. Zdjąłem jedynie buty, by odpoczęły zmęczone marszem nogi. Po omacku szukając słomy, by się na niej położyć, wdepnąłem w coś

miękkiego. W pierwszej chwili myślałem, że to glina. Usiłowałem zetrzeć to z nogi. Jednak zapach wskazał, że nie była to glina. Gorzej, bo nie miałem gdzie umyć nogi, ani rąk. Zabiegi ograniczyły się tylko do wytarcie o wilgotną słomę z mojego barłogu. Burza szalała całą noc. Wiatr tłukł okiennicą. Co mocniej uderzy, to z Januszem zrywamy się na równe nogi. Może to "partyzanci"? Gorzej, jak zażądają pieniędzy. Nie uwierzą, że mamy tak mało. Znając ich metody wymuszania mogło to się dla nas źle skończyć. Z radością, lecz niewyspani, opuszczaliśmy gościnnie dom.

Sekcja glin ogniotrwałych

W 1950 r. zostaliśmy razem z inż. Zajączkowskim przesunięci na inne zagadnienia. Piaski i żwiry przekazane zostały ekipom, które się w tym wyspecjalizowały. Nas skierowano do prac na złożach glin ogniotrwałych w rejonie Opoczna. Temat okazał się bardzo ciekawy. Były to złoża dolnojurajskie - liasowe. Zadaniem naszym było przygotowanie dokumentacji pod budowę kopalni glin przeznaczonych do produkcji ceramiki budowlanej. Słynne opoczyńskie kafelki korzystały z tych złóż. Wcześniej na tym terenie, w XVII wieku, eksploatowane były rudy żelaza i ochry. W okresie powojennym metodami górnictwymi wydobywano na niewielką skalę jedynie wysokogatunkowe gliny. Cała produkcja oparta była na sile mięśni. Był to relikty chyba jeszcze średniowiecza. Urobek kopany ręcznie pod ziemią wkładano do dużych drewnianych kadzi. Górnicy pchali je do szybu głównego po deskach polewanych wodą. Tu urobek również ręcznie wyciągano na powierzchnię. Nie było żadnej mechanizacji. Ciśnienie plastycznych glin było bardzo duże, więc stale pękały stemple obudowy i musiały być często wymieniane.

Nasza kwatery mieściła się we wsi Rozwady, gdzie znajdował się zarząd kopalni. Okolica była bardzo piękna. Dużo wysokopiennych lasów. Z kwaterami, jak na wszystkich wsiach świętokrzyskich, nie było najlepiej. Ważne, że dostaliśmy osobne pomieszczenie. Mnie szef polecił mieć nadzór nad jedzeniem. Miałem wszystko uzgadniać z gospodynią, która podjęła się nas żywić. Jedną z pierwszych rozmów, jaką wtedy miałem, przedstawiała się następująco. Zapytałem się: „Co pani proponuje nam na obiad?” Ta odpowiedziała: „A co panowie chcą?” „Niech pani nagotuje zupy na mięsie z kartoflami.” „Kiedy nie mam mięsa.” „To niech będą jajka sadzone na kartoflach.” Okazuje się, że jajek też nie ma. „Może kluski ze słoniną?” Właśnie mąka się skończyła. Pytam, więc co będzie, a tu to samo: „Co panowie chcą?” Widzę, że tak się nie dogadam. Pytam teraz: „Więc co ma?” Okazało

się, że tylko kartofle, jabłka i cukier. Zamówiłem kompot z kartoflami, którym się wtedy przez parę dni żywiliśmy. Nie zadowolilem tym kolegów, lecz z funkcji oboźnego mnie nie zwolniono.

Na naszej kwaterze były straszne pchły. Koledzy przed spaniem łapali ich po kilkanaście sztuk. Rekordzista naliczył 50. Ja nie mogłem narzekać, bo mnie pchły nie lubiły. Nie miałem więc z nimi kłopotów. Ludzie w tym czasie mieszkali bardzo nędznie. Dostanie osobnego pomieszczenia było bardzo trudne. Wieczorami z braku elektrycznego światła siadało się na ławce przed domem i jak to było zwyczajem wiejskim, rozmawiało z sąsiadami. Naszą sąsiadką była panna Honorata. Była niebrzydka i bardzo sympatyczną dziewczyną. Dorobiła się nieślubnego dziecka.

W czasie, kiedy tu przebywałem, od czasów wojny grasował w tej okolicy samotny partyzant. Potem dopiero się dowiedziałem, że dowodził trzyosobowym oddziałem. Znany był pod pseudonimem „Draгал”. Były na niego ciągle oblawy. Milicja legitymowała wszystkie nieznanne twarze. Mnie też parokrotnie zatrzymywano. Często na noc przyjeżdżały grupy wojskowych i cywilnych funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Uzbrojeni po zęby patrolowali lasy i zarośla. Teren był wyjątkowo dziki.

Podczas Kampanii Wrześniowej w 1939 r. na krzyżówce Gielniowskiej blisko Rozwad zginął w zasadzce niemiecki generał Roettig. Niemcy urządzili za to pogrom ludności polskiej w pobliskich Końskich. W okresie wojny toczyły się tu walki partyzanckie. Złapanych partyzantów Niemcy potrafili wrzucać do starych górniczych zrobów, których w tej okolicy było bardzo dużo. Podobnie postępowali partyzanci z Niemcami.

Obok Rozwad zimował w Galkach Krzczonowskich major Henryk Dobrzański ze swoim oddziałem. Był to legendarny Hubal. Stworzył on na przełomie lat 1939-40 namiastkę wolnej Polski. Wielu okolicznych ludzi, z którymi się tu spotykałem, było z nim związanych, pomagało mu, lub służyło w jego oddziale. Tam też poznałem por. Marka Szymańskiego, który był jego zastępcą. Niedaleko, koło Anielina, było miejsce, gdzie 30.IV.1940 r. poległ Hubal. W krzakach młodnika, w którym zginął, leżały jeszcze kości szkieletu jego konia. Praca w tym regionie, to było prawdziwe spotkanie z historią.

Raz na obszarze starej i zarośniętej kopalni w Mroczkowie miałem następujące zdarzenie. Nanosiłem na mapę stare górnicze zrobry. Byłem sam w dużym wysokopiennym lesie. Nagle usłyszałem strzały. Najpierw dwa pojedyncze, a potem serię z pistoletu maszynowego. Nikogo nie widziałem, więc dalej robię swoje. Gdzieś po godzinie z lasu wyskakują jacyś wojskowi. Już

z daleka celując z broni krzycząc: „Ręce do góry”. Podnoszę. Żądają dokumentów. Opuszczam, by sięgnąć do kieszeni. Znowu krzyczą, by nie opuszczać rąk. Tak było parę razy. Przylatuje oficer. Patrzy na mnie i mówi: „To chyba nie ten”. Wtedy dopiero mogłem opuścić ręce i mnie wylegitymowano. Pytano, co ja tu robię i czy kogoś tu nie widziałem. Jak się okazało, z lasu, w którym byłem, ktoś strzelał do milicjanta. Uznano, że to pewno Drągal. I tak pewno było. Miałem szczęście. Mógłby i do mnie mieć pretensje, że pracuję dla komuny.

Prawie w każdą niedzielę jeździliśmy z inż. Zajączkowskim oglądać jakieś ciekawe geologiczne odsłonięcia. Okres ten bardzo wzbogacił moją wiedzę. Informacje czerpaliśmy z map geologicznych, z publikacji Instytutu, lub od dyrektora Jana Czarnockiego. W tej sprawie jeździliśmy parokrotnie na jego zaproszenie do Kielc. Rozmowy z nim na tematy geologiczne były wielkim przeżyciem. Współpracę z Zajączkowskim będę zawsze miło wspominał, lecz wszystko, co dobre, się kończy. Postanowił wynieść się z Warszawy, gdzie nie miał nawet mieszkania. Mieszkał w Instytucie w pokojach gościnnych, a tak na dłuższą metę się nie da. Wrócił do rodzinnego Krakowa. Ja też nie chciałem dłużej zostać w surowcach. Ciągnęła mnie paleontologia i stratygrafia.

W 1951 r., pod koniec mojej pracy w surowcach, szef kazał mi pojechać do Suchedniowa. Tam na Baranowskiej Górze prowadzone były prace dokumentacyjne glin ogniotrwałych. Pojechałem zobaczyć, jak postępują prowadzone przez Zakład roboty. Gdy tam dotarłem, włosy stanęły mi dęba. Dokumentowane pole rozwiercane było tylko wzdłuż granic mapy! Ani jednego wiercenia w środku. Były tam 3 aparaty przystosowane do pobierania próbek o strukturze nienaruszonej. Nie nadawały się one do celów surowcowych. Ten typ aparatów używany był dla potrzeb geologii inżynierskiej. Mogły one wiercić jedynie w skałach miękkich. Na 3 metrach występowały tu już piaskowce i trzeba było wiercenia przerywać. Z planów wynikało, że złoże miano dokumentować do 100 m. Widząc, co tu się dzieje, zamknąłem roboty. Napisałem raport i przekazałem Bobrowskiemu. Zapytałem się: „Kto tak zaplanował?” Szef się przestraszył i powiedział, że pewno jacyś praktykanci i to może z chemii. Bo i tacy w Instytucie mieli praktyki. Ja dodałem, że na pewno nie z geologii. Widać było, że szuka ofiary.

Gdzieś po roku, gdy już nie pracowałem w surowcach, zostałem wezwany do dyrektora, Jana Czarnockiego. Od samych drzwi zaczął mi wymyślać od gówniarzy. Trzymał w ręku tę nieudaną dokumentację i krzyczał: „Co to jest? Co znaczy ten plutek?” Zaczynam się tłumaczyć, że to nie moje

dzieło. Ja tylko wstrzymałem tam roboty. Dyrektor na to: „Bobrowski chyba nie byłby tak głupi?” Następnie pokazał odręczną adnotację mojego byłego szefa. Stało tam wyraźnie, że to ja prowadzę ten temat. Przeraziłem się. Odzukałem swój raport i to dyrektora uspokoiło. Przesłał na mnie krzyczeń. Zwał jednak gromy na Bobrowskiego, który był w tym czasie na rekonwalescencji w Rabce po pracach nad planem sześcioletnim. Natychmiast wysłał mnie do Rabki, by to swoje nieudane dzieło podpisał. Pojechałem, jednak nic nie załatwiłem. Bobrowski przestraszony zaczął wszystko zwać na Łaszczyńskiego, który już w Instytucie nie pracował. Gdy zakomunikowałem o tym dyrektorowi, to machnął ręką i na tym się zakończyło.

Bobrowski do Instytutu już nie wrócił. Przeszedł do CUGu, a potem na Uniwersytet, gdzie wykładał górnictwo. Ja natomiast w drodze przeziębieniem anginę, po której dostałem zapalenia stawów. Przez pewien czas nie mogłem chodzić. Bałem się, że będę inwalidą.

Z tego okresu wspominam jeszcze przygotowywanie planu 6-letniego. Instytut dostał zadanie, żeby przygotować plany perspektywiczne rozwoju geologii, chyba do 2000 roku. Miano przewidzieć, jakie złoża zostaną odkryte i ich zasoby. Żądano ilości prób, które należy pobrać, oraz na jakie metody mają być przebadane. Domagano się określenia wielkości kadry naukowej i technicznej potrzebnej do realizacji zadań. Ponadto chciano danych materiałowych (ilość papieru, ołówków, tuszu itd.) oraz drobiazgowych wyliczeń finansowych. Jedna bzdura. Zadanie to było tak pilne, że musieliśmy siedzieć w Instytucie od rana do późnej nocy. Nie obowiązywały godziny pracy. Mogliśmy jedynie wychodzić na krótko, by coś zjeść. Pod koniec roku 1950 zaczęto nas nawet na noc niechętnie wypuszczać do domu. Zmęczony tymi idiotyzmami parę razy spałem w Instytucie na biurku. Było bardzo niewygodne. Trzeba się było dodatkowo pilnować, by nie złapała nas kontrola nadzorująca wykonanie powyższych państwowo-twórczych zadań.

Ci, co podeszli do tego, jako do rzeczy absolutnie bzdurnej, zakończyli planowanie bezboleśnie. Natomiast ci, co wzięli to na poważnie, mieli kłopoty. Prof. Stanisław Sokołowski dostał ataku furii nad tymi planami i został zabrany z Instytutu do szpitala dla nerwowo chorych. Do końca miał potem kłopoty psychiczne. Dyrektor Guzik i mój szef Bobrowski byli tak krańcowo zmęczeni i osłabieni, że obaj zachorowali na szkarlatynę. W tym wieku jest to bardzo rzadka i ciężka choroba.

Jeden z inżynierów, późniejszy wicedyrektor Instytutu, Eugeniusz Wutzen, miał zapalenie gardła i gorączkę prawie 40 stopni. Nie mógł mówić, ale też nie dostał zwolnienia. Chciano nas nawet zatrzymać na okres Świąt

Bożego Narodzenia, byśmy zakończyli to dzieło. W ostatniej chwili tę bzdurę odwołano. Po chwalebny zakończeniu, całość materiałów została zawieszona samochodem ciężarowym do tak zwanej Mincówki - gmachu PKPG (Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego) na Placu Trzech Krzyży. Tam złożono je w piwnicach. Pewno nikt do tych materiałów już nigdy nie sięgnął. Tak wyglądało w tym czasie odgórne planowanie.

W tym trudnym okresie Instytut bawił się. Po strasznej wojnie i ciągłych kłopotach ludzie byli spragnieni rozrywki. W związku z tym organizowano parę razy do roku huczne bale, w których ja i moi przyjaciele również uczestniczyliśmy. Na jednej z takich imprez mój kolega, Ziutek Żuławnik, po premierze filmu „Młodość Chopina” był wzięty za aktora. Biedak musiał się tłumaczyć, że nie jest aktorem, ani Chopinem. Bobrowski nalegał, by się jednak przyznał, bo nie ma się co ukrywać, ani wstydzić.

Było gdzie takie imprezy urządzać. Instytut dysponował dużymi salami konferencyjnymi, potocznie zwanymi „okrągłakami”. Bale te w scenerii pięknych wnętrz były bardzo popularne i brała w nim udział, oprócz pracowników i gości z zewnątrz, także dyrekcja. Imprezy te zakończyły się gdzieś na początku lat sześćdziesiątych. Powodem była dewastacja pomieszczeń i zniszczenie tysięcy pudełek na okazy, którymi zasłaniane były wejścia z głównego holu do muzeum Instytutu. Do tego nałożyło się pobicie dyrektora administracyjnego, Jarży, przez zalanych kierowców. Tak pijani i nieobliczalni uczestnicy tych naprawdę przyjemnych imprez spowodowali zakaz ich urządzania.

Przez bal sylwestrowy z 1949 na 1950 rok mogłem i ja mieć duże przykrości, łącznie nawet z wyrzuceniem z Instytutu. Uczestnicząc w tej imprezie nie przewidziałem, że zaproszone przeze mnie towarzystwo jest mocno trunkowe. Mieliśmy stolik w pomieszczeniu, w którym obok nas siedział dyrektor Instytutu, Jan Czarnocki, i minister górnictwa, Ryszard Nieszporek. Po północy jeden z moich przyjaciół wstawił się do nieprzytomności. Mocno się zataczając podniósł się wodząc nieprzytomnymi oczyma, otworzył usta i o mało nie pobrudził ministra i dyrektora. Mój przyjaciel Heniek, który blisko siedział, w ostatniej chwili to zauważył. Złapał go i skierował głowę tego opilca w bok. Dzięki temu zakończyło się to dobrze. Niestety, gorzej dla jednej z naszych koleżanek, która akurat wtedy chciała coś wyjąć z torebki i ją zawartością swojego żołądka wypełnił. Miała o to uzasadnione pretensje do otoczenia. Jeszcze teraz włos mi się jeży. Co by było, gdyby tak nasi dostojnicy zostali zbezczeszczeni? Byłoby na pewno dochodzenie, czyj to był gość i dla mnie przykre konsekwencje.

Łącznie z podejrzeniem, czy to nie była prowokacja polityczna wymierzona w dostojników PRL. Ile razy w Instytucie spotykałem dyrektora Czarnockiego, ten bardzo mi się przyglądał, chociaż znał mnie przecież dobrze. Być może przypominał sobie tę sylwestrową zabawę.

W 1951 r. umiera dyrektor Jan Czarnocki. Trumnę z jego zwłokami wystawiono na specjalnym katafalku w holu starego gmachu. Zwłoki leżały tam całą noc. Ja wychodziłem późno z pracy. Niesamowicie wyglądała trumna z ciałem w wielkim, pustym i prawie ciemnym Instytucie. Ile razy tam jestem, to do dzisiaj stoi ten obraz przed moimi oczami. Następnego dnia rano zwłoki zostały uroczyście z orkiestrą górniczą zabrane do alei zasłużonych na cmentarz Powązkowski. Epoka jednego z naszych największych geologów została zakończona.

Pracownia Mikropaleontologii

W Instytucie poznałem jednego z najbardziej znanych wtedy geologów. Był nim członek Polskiej Akademii Nauk, profesor Władysław Pożaryski. Organizował on w Instytucie badania mikropaleontologiczne. Zapropnował, bym przyszedł do niego na etat. Bardzo się do tego zapaliłem. Pociągały mnie badania podstawowe, a nie prace złożowo-dokumentacyjne. Mój szef, inż. Bobrowski, nie bardzo chciał mnie wypuścić. Argumentowałem, że interesuje mnie biostratygrafia i paleontologia, a nie sprawy surowcowe. W tej sprawie chodziłem do dyrektora Jana Czarnockiego i uzyskałem w końcu zgodę.

Prof. Pożaryski ustawił mnie na zagadnienia mikropaleontologicznej stratygrafii kredy. Zabrałem się do tej pracy z wielką energią. Mój nowy szef bardzo interesował się tym, co robię. Udostępniał swoje kolekcje porównawcze. Zaczął zabierać mnie z sobą na wyjazdy służbowe. Stałem się jego prawą ręką i asystentem. W pierwszym okresie szczególnie dużo pracy poświęciliśmy na badania przełomu Wisły. Któregoś dnia zakomunikował, że szkoda mnie dla mikropaleontologii. To miejsce dobre jest dla kobiet, które nie chcą i nie bardzo mogą się ruszać z Instytutu. Mnie natomiast widzi w terenie, w geologii. Przeniósł mnie za moją zgodą do organizującego się właśnie Zakładu mającego zajmować się tematyką regionalną. Tak mnie ustawił, że byłem w dalszym ciągu do jego dyspozycji. Z rozszerzeniem tematyki na prace terenowe, co mi bardzo odpowiadało.



Urlop w Karpaczu, Stefan Cieśliński i Władysław Pożaryski, 1958

Zakład Zdjęć Geologicznych - Wydział Świętokrzyski

Otrzymałem zadanie opracowania mało znanych osadów kredowych rejonu Przedborza nad Pilicą. Temat ten, w uzgodnieniu z prof. J. Samsnowiczem, był zarazem moją pracą magisterską. W. Pożaryski, który był inicjatorem badań, w pierwszym okresie bardzo mi pomógł. Wskazał literaturę, na której powinienem się wzorować. Dał do wglądu swoje notatki wiążące się z tą tematyką. Instytut przydzielił mi do pomocy praktykantów. Były to dwie studentki z Uniwersytetu Wrocławskiego. O ile pamiętam, była to Euzachia Kleczkowska i Lankau. Zapomniałem już jej imienia.

W połowie czerwca obładowani bagażami ruszyliśmy w teren. Pociągiem dojechaliśmy do Radomska. Następnie PKS zabrał nas do Przedborza. Miasteczko małe i nieciekawe. Przed wojną mieszkali tu głównie Żydzi. Stąd miała pochodzić Estera, kochanka Kazimierza Wielkiego. Nad miastem górował stary, wczesnogotycki kościół, zbudowany z czerwonych miejscowych piaskowców. Robił on bardziej wrażenie zamku średnio-wiecznego niż kościoła. Hotelu naturalnie żadnego. Jedna licha knajpa, gdzie można się było od biedy stołować. Parę małych sklepików dopełniało całości. Największą trudnością było znalezienie jakiejś przyzwoitszej kwatery. Tu nic takiego nie mogliśmy znaleźć. Zbliżał się wieczór i coś należało postanowić, by nie trzeba było przesiedzieć nocy na pustym rynku. W ciągu dnia pasły się tam krowy.

Przeglądając mapy doszedłem do wniosku, że Przedbórz nie jest najlepiej usytuowany w stosunku do położenia terenu, który mam opracowywać. Idealnym miejscem wydała mi się położona wśród lasów leśniczówka zaznaczona na mapie. Postanowiłem tam poszukać lokum. Wynająłem wóz, by przewieść nas i rzeczy do położonej 10 km na południe od miasta ewentualnej naszej kwatery. Nie było pewności, czy nas tam przyjmą. Trzeba było ryzykować; jeśli tam nie będzie można, będziemy szukać w pobliskich wioskach. Okolica była tu piękna. Zaraz za miastem wjeżdżało się w lasy. Po wschodniej stronie ciągnęły się malownicze wzgórza pasma Przedborsko-Małogoskiego. To tu podobno podczas polowania miał napaść na króla Kazimierza Wielkiego niedźwiedź i złamać mu nogę. Co też było powodem jego śmierci. Woźnica, który nas wiozł, pokazywał nam starą kapliczkę związaną z powyższą legendą. Robiło to wrażenie. Wieczór i wspaniała ciepła pogoda dopełniały reszty. Byłem tym urzeczony.

Leśniczówka położona była na skraju dużej polany. Przed domem zauważyłem leśniczego w mundurze i jakąś panią z małym rocznym dzieckiem. Była to jego żona. Przedstawiłem się i prosiłem o wynajęcie jakiejś kwatery. Nie było problemu. Pytano się, ile potrzebujemy pokoi. Dostaliśmy dwa. Tyle, ile było nam potrzeba. Leśniczowie okazali się ludźmi wyjątkowo sympatycznymi. Widać było, że też bardzo się cieszą z naszego towarzystwa. Przyjaźń, jaką wtedy nawiązałem, przetrwała lata. Do dziś traktuję ich jak najbliższą rodzinę. Leśniczy, Stanisław Soborowski, wywodził się z Kopruszy koło Włoszczowej. Pochodził z rodziny ziemiańskiej. Ich leśniczówka, Wymysłów, to był stary dwór. Urządzony był również starymi zabytkowymi meblami, pamiętającymi jeszcze XIX wiek. Jak to w starych dworach, nie było tam światła elektrycznego, tylko naftowe. Naturalnie, w budynku nie było łazienki, ani ubikacji. Do mycia służyła umywalnia z miednicą i kubłem wody. Za potrzebą trzeba było wychodzić na zewnątrz, do stojącej w pobliżu drewnianej sławojki.

Sceneria starego dworu i okolica były urzekające. Byłem zachwycony. Moje dziewczęta wykazywały mniej entuzjazmu. Ciągnęło je tylko życie miejskie i męskie towarzystwo. Zajęły na piętrze jeden większy pokój, ja obok mniejszy, nad gankiem. Gorzej było z jedzeniem. Trzeba było szykować we własnym zakresie. Latać 10 km piechotą do knajpy w Przedborzu było za daleko.

Już na początku rozpoczęły się kłopoty z dziewczętami. Rano moje praktykantki zapytały się, po co wchodziłem do ich pokoju. Bo ktoś chodził u nich w nocy. Ja zaprzeczyłem. Następnego dnia to samo. Zacząłem się

śmiać. Do dwóch dziewczyn? Ja, to nie pułk ułanów. Oświadczyły, że nie tylko chodził, lecz słyhać było jakby uderzenia szpicrutą po cholewach. Butów z cholewami nie miałem, więc to nie ja. Przeszkadzało im również szczekanie i wycie sympatycznego psa Żolika. Co na to mogłem powiedzieć? Jesteście na miesięcznej obowiązkowej praktyce. Warunki mamy tu znacznie lepsze, niż byśmy kwaterowali w Przedborzu. Po latach będziecie ten okres na pewno mile wspominać. Byłem o tym przekonany i o zmianach nie chciałem nawet słuchać.

W tym okresie prace geologiczne prowadziło się inaczej niż teraz. Do dyspozycji miało się tylko pociąg, PKS, lub nogi. Jeśli był dalszy przejazd, a nie było innej komunikacji, na rachunek wynajmowało się wóz konny. Samochód był rzadkością. Jeśli się udało go dostać, to na bardzo krótko, tylko, żeby przywieść ciężkie rzeczy, np. próby. Dopiero pod koniec lat pięćdziesiątych zaczęto nam dawać rowery. To już był wielki postęp. Ja w połowie sezonu wyprosiłem taki wymarzony pojazd, niestety tylko jeden. Osobę towarzyszącą musiałem wozić na ramie. Dzięki temu mogłem zacząć stołować się w Przedborzu. Nie było innej rady. W tym czasie w sklepach rowerów w ogóle nie było. Jeśli się chciało kupić, to zwykle od kogoś. Trzeba było znaleźć okazję, lub trafić w komisie. Były to rowery stare, przedwojenne i drogie. Niewiele osób było stać na taki luksus. Poza tym, kto by też chciał kupować rower za własne pieniądze i niszczyć do celów służbowych?

Był to rok 1951, okres wzmożonego terroru stalinowskiego. Musieliśmy w ciągu 48 godzin, pod groźbą kary, zameldować się u sołtysa. Sołtys mieszkał w pobliskiej wsi Wymysłów, złożonej z paru nędznych chałup. Wieś, jak wszystkie w tej okolicy, nie była zelektryfikowana. Sołtys dał nam do wypełnienia ankiety. Były kłopoty, bo nie mógł ich znaleźć. Kuferek przeznaczony do przechowywania tak ważnych dokumentów syn zabrał do trzymania gołębi. Urzędowe papiery i służbową pieczętkę wetknął za piec, gdzie trudno było je znaleźć. Najważniejsze, że odnalazły się i zgodnie z prawem wszystko zostało dopełnione.

Sołtys zaczął się nas wypytywać, jak nam się tu podoba. Ja wyrażałem zachwyt, lecz panie dalekie były od entuzjazmu. Narzekały na szczekającego psa, który im spać nie daje. Poza tym, tu jest tak pusto i wszędzie daleko. Na to sołtys powiedział – „Panie chyba wiecie, dlaczego ten pies tak szczeka?” Zaczął opowiadać, jak to przed pierwszą wojną światową w dworze miała miejsce miłosna tragedia. Popelniono tam zbrodnię i od tego czasu tam straszy. Mówił, że dusze pokutują i o tym wszyscy tu wiedzą. Opowia-

dał, że gdy pan dziedzic wyjeżdżał, to pani dziedziczka bojąc się sama spać brała jego córkę na noc do pokoju. Już nie pamiętam całego opowiadania, lecz było ono bardzo krwawe i opowiedziane sugestywnie.

Moje dziewczęta bardzo wystraszone chciały się zaraz wyprowadzić. Pytam się, „Dokąd?” „Nieważne, aby nie zostać z duchami.” Są pewne, że w nocy je straszycie. „Jest już wieczór, gdzie teraz znajdziemy kwatery?” Proponuję, że pogadamy po powrocie na leśniczówkę. Wracając weszliśmy po zamówione mleko w gajówce. Panie zaczęły się pytać gajowej, czy to prawda, co mówił sołtys. Potwierdziła i wyraziła zdziwienie, że ten leśniczy jeszcze tu mieszka. Jak twierdziła, poprzednicy po paru tygodniach rezygnowali i się wynosili. W gajówce był jeszcze jakiś chłop bez przednich zębów. Opowiedział, jak to po wojnie kazano mu pilnować ten budynek, kiedy był jeszcze pusty. Zaczęło go w nocy straszyc, uciekał. Przewrócił się, szczęką uderzył o ziemię i wybił przednie zęby. Pokazał ubytki, co było namacalnym dowodem istnienia tu duchów.

Po powrocie panie od razu polecały do leśniczowej z pytaniami. Byłem przy tej rozmowie. Leśniczowa, uroczą Hania, bo tak miała na imię, potwierdziła zasłyszane wcześniej historie. Mówiła, że mieszkanie było wysyćiane i to dwukrotnie. Dzieją się tu różne rzeczy, na które nie należy zwracać uwagę. Do duchów już się przyzwyczaiła, a mąż się śmieje i nie przyjmuje tego poważnie. Opowiadała, jak przed paroma miesiącami jej mąż Stanisław musiał pojechać służbowo do Warszawy. Została na noc sama z małym synem Jasiem. Wiedziała, że Staś wróci dopiero następnego dnia. Przed pójściem spać wszystko pozamykała. Dom miał okiennice wewnętrzne. Drzwi były dębowe, okute i zamykane od środka na żelazną antabę. Zgasiła światło i zasnęła.

W nocy obudził ją płacz dziecka. Nie zapalając lampy zaczęła go przewijać. Usłyszała wtedy kroki. Ktoś był w mieszkaniu. Zawołała: „Stasiu, to ty?” Cisza. Uświadomiła sobie, że jest sama. Nawet, gdyby mąż przyjechał, to musiałyby mu drzwi otworzyć. Kroki zbliżały się. Słyszała otwieranie poszczególnych drzwi. Ktoś już był w sąsiednim pokoju i zatrzymał się przed drzwiami sypialni. Nastąpiła cisza. Z przerażeniem przyciskała dziecko do siebie. Po pewnym czasie kroki zaczęły się oddalać. Do rana nie zasnęła. Jak się rozwidniło, przejrzała mieszkanie. Wszystko było w porządku. Tego dnia zobaczyła w lustrze pierwsze siwe włosy na swojej głowie, a miała dopiero 23 lata. Tak przeżyła tę noc. Prosiła, by Staś jej więcej samą nie zostawiał. Jak jest z mężem, to się niczego nie boi.

Niestety, ja wolałem zrezygnować z praktykantek, niż z tak dobrej kwatery. Przed wyjazdem w nocy nie spały. Przeniosły mnie z łóżkiem do swojego pokoju. Stale słyszały, że ktoś chodzi i nie dawały gasić światła. Była to już histeria. Dlatego specjalnie je nie zatrzymywałem. Leśniczówka miała coś takiego, że wiele osób się tu bało. Matka leśniczowej, która przyjechała z Dankowa koło Włoszczowej, opowiadała o jakiś zjawach. Nie chciała bliżej na ten temat mówić. Prosiła, by się stąd wynieśli. Mój kolega ze studiów, Jurek Piwowarczyk, kuzyn leśniczego, też miał tu przygody. W nocy wraz z matką i bratem uciekali na dwór. Pukało im coś w okno na pierwszym piętrze. Do rana nie chcieli wejść do domu i zaraz wyjechali.

Również mój szkolny kolega, Heniek Szczuka, razem ze swoją kuzynką Bogdą mieli też tu różne przeżycia. Otwierały im się same drzwi i słyszeli kroki w pustym pokoju. Raz wracając po kolacji u leśniczych przestraszyli się na ciemnych schodach. Mieli uczucie, że ktoś na nich wchodzi. Zaczęli krzyczeć. Leśniczy przyleciał z lampą. Obeszli cały dom. Wszystko było w porządku. Również Ania, która bywała tam ze mną, wielokrotnie w nocy miała słyszeć chodzenie, przesuwanie się mebli. Budziła mnie, lecz ja jej zwykle radziłem, by się tym nie przejmowała, a usiłowała zasnąć. Prosiłem: „Śpij, bo mi się chce spać. Tobie się pewno to śni.” Pokazywała, że tam coś świeci. Sugerowałem, że to pewno próchno. Wtedy słyszałem: „To ty jesteś próchno”. Ja coś w te duchy nie mogłem uwierzyć.

Po wyprowadzeniu się Soborowskich z Wymysłowa i przejściu ich na nowe leśnictwo pod Jędrzejowem, pojawiły się nowe kłopoty. Nie było chętnych do objęcia tego stanowiska ze względu na problemy mieszkaniowe. W końcu nadleśnictwo zdecydowało się zburzyć stary, lecz w bardzo dobrym stanie budynek i pobudowało nową leśniczówkę. Zakończyło to nareszcie kłopoty z duchami. Ja długi czas tam kwaterowałem i podobnie jak Staś, nic nie widziałem, ani nie słyszałem. Podobno tak zawsze jest z niedowiarkami.

Po wyjeździe praktykantek dostałem następną studentkę z Poznania. Była to młoda, urocza dziewczyna - Urszula Kosmowska. Studiowała geografię fizyczną. Duchów się nie bała i bardzo pomogła mi w prowadzonych tam pracach. Była w tym czasie po silnym stresie. Jej brat został aresztowany i stracony za działalność konspiracyjną w WINie (Wolność i Niezawisłość). Z Urszulą bardzo się zaprzyjaźniłem. Była wspaniałym kumplem. Jedyny jej mankament, to papierosy. Była nałogowym palaczem. Ja natomiast nie znosiłem zapachu tytoniu.

Na 15 sierpnia pojechałem z Urszulą do Łodzi. Tam mój brat studiował medycynę. Był to dla nas relaks po siedzeniu na pustkowiach wśród głębokich lasów. Mieliśmy ochotę trochę się ukulturalnić i iść do teatru. Wróciliśmy w poniedziałek, opuszczając jeden dzień pracy. Najpierw trzeba było jechać PKS-em z Łodzi do Bełchatowa. Tam była przesiadka. Do Przedborza dojechaliliśmy dopiero wieczorem. Teraz jeszcze tylko 10 km piechotą na leśniczówkę. Droga piękna, przez las. Mimo, że było już mocno ciemno, z przerażeniem zobaczyłem na leśnej drodze ślady opon samochodu. W tym czasie samochód był wielką rzadkością. Kto mógł jechać do leśniczówki? Pewnie do mnie kontrola, a mnie nie ma?. Dopiero co wprowadzona socjalistyczna dyscyplina pracy miała być dobrodziejstwem i wielkim osiągnięciem klasy robotniczej. Wprowadzała zaś bolszewicki terror. Za spóźnienie nawet jednej minuty miało się wielkie przykrości, do zwolnienia z pracy włącznie. Byłem przerażony.

Dochodzimy do leśniczówki. Światła palą się w oknach. Samochód „warszawa” stoi przed gankiem. Zaglądam przez okno i widzę. Jest mój bezpośredni kierownik z Instytutu - Jan Czerwiński. Jest też profesor Jan Samsonowicz (opiekun mojej pracy), magistranci: Ryszard Dadlez i Joanna Idrin. Był jeszcze kierowca, którego nazwiska w tej chwili już nie pamiętam. Siedzą przy stole i jedzą kolacje. Co tu robić? Czekamy na zewnątrz. Boję się wejść. Nie wiem co im powiedziano i dlaczego nas nie ma.

Wychodzi leśniczy. Dowiaduję się, że goście przyjechali po południu. Staś poinformował ich, że wyszliśmy rano do pracy i jeszcze nie wróciliśmy. Przyniósł nam terenowe rzeczy, torby, mapy i młotki. Wchodzimy, udając powrót z terenu. Samsonowicz mówi: „Co tak długo? Przecież już ciemno i nic nie widać.” Urszulę znał wcześniej i ją się pyta: „Jak to tak, po nocy kartujecie? Popatrz mi w oczy dziewczyno.” Zaczerwieniła się i mówi, że pobłądziliśmy. „Geolodzy pobłądzili? Przecież wam za to płacą.” Ja ratując sytuację zaprzeczyłem twierdząc, że odeszliśmy bardzo daleko. Profesor powiedział, „To mogę wam wybaczyć. Jutro zobaczymy, coście tu już zrobili.”

Do mojego pokoju i na moje łóżko wprowadził się prof. Samsonowicz. Inni goście zajęli wszystkie możliwe spania na dole u leśniczych. Stodoły nie było, została spalona z zemsty przez leśnych złodziei. Nie mając co z sobą robić chciałem przesiedzieć noc na krześle i na schodach. Urszula się na to nie zgodziła. Powiedziała, bym został i obok niej się położył. Będąc bardzo zmęczony, tak też zrobiłem. Bojąc się, by ktoś nie zobaczył, że śpię razem z praktykantką, zamknąłem drzwi na klucz. Byłem zemocjonowany

kontrolą oraz bardzo zmęczony podróżą i długą pieszą drogą przez las. Ze spaniem nigdy nie miałem problemów. Szybko więc zasnąłem.

Obudziło mnie pukanie do drzwi; było już rano. Przymotniję i ze strachem patrzę, że obok mnie śpi Urszula. Teraz sobie wszystko przypominam. Co robić? Słyszę, że za drzwiami jest prof. Samsonowicz. Chce popatrzeć na materiały geologiczne, które rozłożone były w jej pokoju. Zapukał i czeka. Urszula mówi, że jest nieubrana. Profesor na to, że poczeka. Ja przeżony, co mam robić? Lecę do okna i chcę wyskoczyć. Wysokie pierwsze piętro, a pod oknem rosną pomidory przywiązane do drewnianych tyczek. Uniemożliwia to skok. Wchodzę pod łóżko, okazuje się, że widać. Szafy nie ma, gdzie się tu ukryć? Urszula stara się zasłać mnie w pościeli. Też nie można. Miotam się po pokoju, a profesor czeka. Wreszcie się zdenerwował i zszedł na dół. Ja jak złodziej chyłkiem wymknąłem się z dziewiczego pokoju. Byłem szczęśliwy, że się udało. Nie wiem, czy by uwierzył, że ja całą noc przeleżałem obok dziewczyny i odmawialiśmy różaniec. Chodziło nie tylko o mnie, ale i o opinię mojej towarzyszki. W tym czasie był to wielki problem.

Po zjedzeniu śniadania i przeglądzie zebranych materiałów wyruszyliśmy na odsłonięcia w teren. Profesor chciał, by z nami poszła Urszula. Ja się temu stanowczo sprzeciwiłem. Na pytanie: „Dlaczego? Ona też powinna posłuchać dyskusji.” Odpowiedziałem: „A kto ugotuje dla nas obiad?” Ten argument był wystarczający. Profesor już się nie upierał. Wyniki prac okazały się bardzo interesujące. Opracowane odsłonięcia uznane zostały za stratotypowe dla utworów albu Polski. Wyniki zostały opublikowane i budziły zainteresowanie wśród specjalistów. Po zakończeniu prac wielokrotnie musiałem je prezentować, zarówno geologom z Polski, jak i z zagranicy.

Podczas częstych wyjazdów w rejon Przedborza korzystałem zawsze z gościnności domu Soborowskich. Zostałem ojcem chrzestnym najmłodszego ich syna, Marka. Uważany byłem, i ja tak się uważałem, za członka rodziny. Mimo, że od tamtej pory minęło już ponad pół wieku i leśniczowie obydwoje nie żyją, związki z Markiem są nadal bardzo silne.

Z gościnności domu Soborowskich korzystałem nie tylko ja. Na leśniczówkę przyjeżdżali i moi przyjaciele. W połowie lat pięćdziesiątych, w czasie, kiedy nie było łatwo gdzieś wyjechać na wakacje. Przeze mnie, a na leśniczych zaproszenie, spędzali urlop w tym uroczym miejscu Heniek Szczuka ze swoją kuzynką, Janusz Kopik ze swoją narzeczoną, Zosią Janczyk, Tereska Marcinkiewicz, spokrewniona z rodziną Piłsudskich i Jugosłowianin - Borko Milakowicz, będący w Instytucie na geologicznym sty-

pendium. Bywał też tu prof. Pożaryski, dr Irena Kardymowicz (petrograf) i wiele innych osób.

Podczas jednej z wizyt służbowych w Wymysłowie miałem taką przygodę. Przyjechałem do leśniczówki z dr Leonem Karczewskim, który w rejonie Kodrąbia prowadził badania paleontologiczne. Chciałem pokazać mu odsłonięcia górnego oksfordu w rejonie Dobromierza. Naturalnie zatrzymaliśmy się u Soborowskich. Hania na obiad postanowiła zabić kurę. Leśniczego nie było w domu. Zwróciła się do mnie, bym ją zaszlachtował. Pytam się, „Czym?” Odpowiada „Nożem, lub siekierą.” To niemożliwe. Zabijając w ten sposób ja nie potrafię. Wtedy zaproponowała, że da mi dubeltówkę. Zgodziłem się. Na podwórku stał kogut w otoczeniu paru kur. Zapytałem, czy mogę go ustrzelić? Dostałem zgodę, więc strzeliłem. Padł kogut i 5 kur obok. Nie byłem myśliwym. Nie wiedziałem, że może być tak duży rozrzut śrutu. Strzał ten był dla mnie taką przykrością, że postanowiłem już nigdy do niczego żywego nie strzelać. Stałem się wrogiem myślistwa. Poza tym, głupio mi było w stosunku do gościnnych gospodarzy, którym zrobiłem taką jatkę.

Jaki świat jest mały? W wiele lat później, szef planowania Instytutu i mój przyjaciel, Sławek Smoleński, wybrał się ze swoim kuzynem, generałem Duszyńskim, na Mazury. Razem z nimi jechała jakaś elegancka pani. Była żoną znanego w Polsce fotografa, Dłubaka. Sławek podczas rozmowy wspomniał, że pracuje w Instytucie Geologicznym. Pani powiedziała, że była tam na praktyce. Wymieniła moje nazwisko i zapytała się, czy mnie zna? Była to Urszula. Naturalnie potwierdził. Opowiedziała mu całą historię z wizytacją prof. Samsonowicza i kłopoty z noclegiem. Wspomniała, że wtedy interesowałem się tylko geologią. Ona jako kobieta była zupełnie niedostrzegana. Tym mnie bardzo skompromitowała. Sławek rozgadał to po Instytucie. Koledzy zaraz zaczęli dzwonić z pytaniem, po co takiemu było przydzielać do pracy dziewczyny? Wiedzą już teraz, dlaczego uciekły te dwie pierwsze praktykantki. Nie o duchy to chodziło.

Usłyszałem też od Stasia Soborowskiego, że ma kłopoty w pracy. Nadleśniczy pijak; jak się bez wódki do niego przychodzi, to nic nie można załatwić. Postanowiliśmy go nastraszyć. Korzystając z mojego służbowego samochodu, „warszawy”, pojechaliśmy do miejscowości Taras, gdzie mieściło się nadleśnictwo. Samochód w tym czasie robił wrażenie. Ja miałem się podać za pracownika Ministerstwa Leśnictwa i zarazem kuzyna Stasia. Plan okazał się dobry. Podjechaliśmy pod budynek Nadleśnictwa. Patrzymy, jak przez okna wyskakują i uciekają do lasu ludzie w zielonych mundurach.

Odbywało się tam właśnie wielkie pijaństwo i to w godzinach pracy. Widząc samochód sądzili, że to jakaś kontrola. Uczestnicy w nogi, a nadleśniczy był tak pijany, że schował się pod łóżko. Wyszedł sekretarz, buchała od niego woda. Mętnie tłumaczył, dlaczego nikogo obecnie nie ma w pracy. Ja przedstawiony jako wyższy urzędnik ministerstwa wyraziłem niezadowolenie z zastanej sytuacji. To spowodowało, że zakończyły się Stasia kłopoty i przykrości. Zaczęto się go bać.

Po zakończeniu prac nad geologią okolic Przedborza prof. Pożaryski zaczął mnie dalej ustawiać na zagadnienia stratygrafii kredy. Jeździłem z nim na profil Wisły. Na antyklinę Rachowa i świeżo odkrytą jurajską brachyantynę w Wólce Gościeradowskiej. Zabierał mnie też na głębokie wiercenia w rejon Kłodawy, gdzie został w tym czasie odkryty duży wysad solny. Następnie chciał, bym zajął się kartowaniem arkusza Wolanów koło Radomia. Zadaniem moim było prześledzenie granicy jury i kredy przed projektowanymi tam pracami dokumentacyjnymi. Kwaterowałem w tym czasie w szkole, we wsi Krogulcza Mokra. Bardzo podobał mi się sposób rozumowania gospodarza przy zakupie mleka. Gdy zapytałem się: „Ile będę płacił za litr?” -odpowiedział bez żenady: „W Radomiu kosztuje 2 złote, a tu na miejscu niech będzie 3. Nie musisz pan jechać tak daleko za mlekiem, aż do miasta.” Rozumowanie to było logiczne, ale tylko dla jednej strony.

W tym czasie próbowałem inaczej ukierunkować moje przyszłe prace. Zaczęły mnie pociągać zagadnienia stratygrafii kambru. Osady sprzed ponad pół miliarda lat wydały mi się bardziej interesujące, niż stosunkowo młode kredowe. Poza tym, utwory kambryjskie budujące najpiękniejszą część Gór Świętokrzyskich były bardzo malownicze i słabo poznane. Nie było to bez znaczenia. Niestety. W. Pożaryski, jak i prof. Jan Samsonowicz, który w tym czasie był doradcą Instytutu, nie zgodzili się na zmianę mojej tematyki. Uważali, że jestem w zagadnieniach stratygrafii kredy już wyspecjalizowany. A problemy, w których pracowałem były coraz bardziej potrzebne gospodarczo. Tu więc miało być moje miejsce. Musiałem się na to zgodzić.

Wydział, w którym pracowałem, przeniesiony został do Kielc. Wchodził w skład Świętokrzyskiej Stacji Terenowej, filii Instytutu Geologicznego. Pobudowany został w Kielcach odpowiedni budynek biurowy i laboratoria. Zatrudniani pracownicy otrzymali mieszkania. Zwrócono się do mnie, czy zdecyduję się przejść do Kielc. Wyraziłem zgodę. Mieszkałem tu z rodzicami i na razie nie miałem żadnych widoków na własne lokum. Praca w regionie świętokrzyskim była moim marzeniem. Liczyła się tylko geologia.

Los jednak chciał inaczej. Musiałem zostać w Warszawie ku wielkiej radości moich rodziców.

Zakład Złóż Surowców Specjalnych – fosforyty

W dniu 1.V.1953 r. dostałem pismo z Dyrekcji IG. Zostałem przeniesiony na stanowisko kierownika Sekcji Surowców Fosforytowych. W tym czasie Instytut przystąpił do prac poszukiwawczych tych złóż. Temat został objęty uchwałą rządu. Na badania przeznaczone zostały wielkie pieniądze. Fosforyty uznano za priorytetowe w skali państwowej. Domyślałem się, o co tu chodzi; nie fosforyty były tu najważniejsze. Nie byłem tym zachwycony, lecz nie było odwołania. W pierwszym okresie realizację tego tematu otrzymał Wydział Surowców Skalnych, którego kierownikiem był Jerzy Wróblecki. Następnie powołano Wydział Surowców Chemicznych, w którym zgrupowano wszelkie złoża zaliczane do tej grupy. W dalszym ciągu nazwy organizacyjne się zmieniały i powstał nowy Zakład Złóż Surowców Specjalnych. Przejął on część tematyki Wydziału Surowców Chemicznych, w tym i fosforyty. Organizacyjnie kolejno przechodziłem do tych zakładów. Na kierownika nowego zakładu powołany został Jerzy Burek, który w tym czasie zmienił nazwisko na Borucki.

Program poszukiwania fosforytów oparty został na założeniach geologicznych W. Pożaryskiego, który w pierwszym okresie kierował tymi pracami. Ze względu na ich tajny charakter profesor Pożarski został odsunięty od tych robót, gdyż zarzucano mu obce klasowe pochodzenie. Przyjęty został jednak jego plan. Przewidywał on pracę w dwóch strefach. Strefa A rozciągała się od Przytyka w rejonie Radomia, po Kraśnik w Lubelskim, a strefa B - od Kalisza, przez Burzenin, rejon Widawy i Szczercowa, po Brzeźnicę Nową. W sumie wierciło 55 aparatów mechanicznych i 12 ręcznych. Okresowo były jeszcze 3 brygady górnicze wykonujące szyby i rowy poszukiwawcze. Ja byłem w tym okresie odpowiedzialny za geologię i całość prac terenowych. Obowiązkiem moim było opracowanie wierceń i na ich podstawie map geologicznych. W oparciu o uzyskane wyniki, wyznaczenie płytkich stref zalegania albu i cenomanu fosforytonośnego. Było to zajęcie trudne i bardzo pracochłonne. Przerastające siły jednego człowieka. Dostałem do dyspozycji samochód („warszawę”) z kierowcą i byłem w ciągłym ruchu. Objazd wszystkich wierceń w obu strefach zajmował mi około tygodnia.

Miałem stałe bazy w Burzeninie koło Sieradza, w Radomiu, Wolanowie i Wólce Gościeradowskiej. Latem z jazdami nie było kłopotów. Gorzej zimą. Był to okres wyjątkowo ciężkich i śnieżnych zim. Temperatury spadały do -30°C . Nie było w tym czasie płynów do chłodnic. Wodę trzeba było na noc spuszczać, lub co godzinę zapalać silnik, by mróz nie rozsadził chłodnicy i bloku. Często trzeba było samochód brać na hol, by go uruchomić. Drogi, po których musiałem się poruszać, nie były odśnieżane. Bardzo często staliśmy w zaspach czekając boskiego zmiłowania. Nie było też w tym czasie opon zimowych. Z hamowaniem trzeba było strasznie uważać. Często wpadaliśmy w poślizgi. Koło Skarżyska dachowałem, samochód przekoziółkował i wpadł do rowu. Uratowały nas tylko głębokie śniegi. Wielokrotnie obracało nasz pojazd o 180 stopni. Zimą było więc bardzo niebezpiecznie.

Ówczesne władze obejmując poszukiwania fosforytów uchwałą rządu zainteresowane były nie tyle ich wartością dla rolnictwa, ile występowaniem w fosforytach uranu. Następował okres „Zimnej Wojny” i zbrojeń atomowych. Fosforyty mogły stanowić źródło tego szalenie poszukiwanego strategicznego pierwiastka. Dlatego sprawa prac dokumentacyjnych była wtedy tak ważna i stale pod okiem odpowiednich urzędów. Odpowiednie pisma, które posiadaliśmy, otwierały przed nami wszelkie drzwi. Nie tylko gminne czy powiatowe, lecz i wojewódzkie. Pamiętam, jak na początku musiałem w Radomiu zgłosić się w Urzędzie Bezpieczeństwa. Tam zameldowałem, że rozpoczynamy w tym rejonie prace poszukiwawcze. Zanim wyjąłem dokumenty, zapytano się, po co? Tu już pracuje jakaś ekipa radziecka. To nie wystarczy? Gdy dostali pismo, była inna mowa. Nie musiałem się już więcej zgłaszać do tego urzędu.

Moją szefową została koleżanka ze studiów, Maria Lazarek. Prawą jej ręką był partyjny inżynier wiertnik, Mariusz Dziubek. Zmienił on następnie nazwisko na Dębowiecki. Na geologii nie znał się zupełnie. Był za to świetnym kawalarzem, lecz nie bardzo zrównoważonym. Podobno miał jakąś awarię przy skoku ze spadochronu i to miało być tego przyczyną. O jego wyczynach krążyły całe opowiadania. Na śniegu potrafił wysikać swoje nazwisko i przyprowadzać pracujące techniczki, by podziwiała jego dzieło. Mówił, że peszą się tylko dla tego, bo tak same nie potrafią.

Opowiadano, jak pewnej zimowej nocy obudził w terenie kierowcę. Natychmiast kazał przygotować samochód do jazdy. Odpowiadał za stronę techniczną wierceń, które wierciły non stop. Więc wyjazdy w różnym czasie były możliwe. Kierowca, by uruchomić samochód, musiał nie tylko wstać,

lecz grzać wodę do chłodnicy. Musiał również zapalać z korby, bo w mrozie silnik nie chciał zaskoczyć. Było to bardzo ciężkie. Cały czas był ponagłany. Gdy się w końcu udało, ruszyli. Po 15 minutach byli już z powrotem. Okazało się, że Dziubek kazał się zawieść do lasu. Tam zatrzymał samochód. Wyszedł i powiedział: „Idę się „w...ć. Po to tylko tu przyjechałem.” Po powrocie położył się i na nowo poszedł spać. Taką miał fantazję. Kierowcy oświadczył, że nie lubi załatwiać się w ubikacjach, tylko na świeżym powietrzu. Przyszłoby to komu do głowy?

Raz jechałem z nim samochodem na objazd wierceń. Nagle z bocznej drogi wyjechała fura z gnojem. Kierowca musiał gwałtownie hamować. Mariusz wyskoczył i z gębą na chłopa. „Ach ty taki, nie taki, jak jedziesz?” Chłop się bardzo przestraszył. Bał się pobicia, lub aresztowania. W tym czasie samochód, to była rzadkość. Głównie jeździli nimi funkcjonariusze UB. Przerażony chłop belkocze: „Panie, ja gnój wieze.” Na to Mariusz staje jak wryty. „Co pan mnie nie mówisz? Gnój pan wiezie? Gdybym wiedział, bardzo przepraszam.” Kłania się chłopu w pas i dalej przeprasza. Mówi, że jak kto gnój wiezie, to ma absolutne pierwszeństwo na drodze. Jeszcze raz przeprasza za wynikłe nieporozumienie. Siada do samochodu i kłaniając się czapką odjeżdża. Chłop zdurniał zupełnie. Z wrażenia otworzył gębę i patrzy zdumiony. Nie tylko on, ale i ja również. Czegoś podobnego, większej szopy, jeszcze dotychczas nie widziałem.

W pobliżu Złotego Potoku również miałem z nim przygodę. Wracaliśmy samochodem do Częstochowy. Musieliśmy stanąć, bo przejazd kolejowy był zamknięty. Stał na nim długi pociąg towarowy. Czekamy dłuższą chwilę i nic. Mariusz każe kierowcy iść do dróżnika pilnującego szlabanu i powiedzieć: „Jedzie tu ekspert radziecki, któremu bardzo się spieszy i jest strasznie zły.” Kierowca poszedł, widać, że dróżnikowi coś tłumaczy i pokazuje na nasz samochód. Mariusz wysiadł, podgiął daszek w czapce do góry i głośno ruga po rusku. Używając najgorsze, jakie znał wyrazy, równocześnie wygrażał pięścią dróżnikowi. Ten przestraszony, leci do telefonu i dzwoni na stację. Patrzymy, a tu rozpinają pociąg, by nas przepuścić. Jak tylko przejechaliśmy, na nowo skład został połączony i droga zamknięta. Bano się ekspertów radzieckich. Mnie do głowy coś takiego by nigdy nie przyszło.

Prace te były dla mnie świetną szkołą życia, lecz nie były łatwe. Żle się zaczęły układać stosunki z moim bezpośrednim kierownictwem, głównie z mgr M. Lazarek. Wszelkie swoje złe posunięcia i pomyłki zwałała na mnie. Takim przykładem było wiercenie w Jedlance Nowej. Projektowane

do 360 m, już na 70 metrach weszło w gezy. Były to utwory litologiczne zbliżone do skał cenomańskich, występujących w stropie złoża. Na wierceniach pełne pogotowie. Koronką nie można przejść partii złożowej, bo zniszczy się złoże. Od tego jest specjalne urządzenie zwane ramką. Przeglądam rdzenie i znalazłem w tych gzach szczątki organiczne charakterystyczne dla santonu. Czyli do złoża jest 700 m, bardzo głęboko; tym aparatem tej głębokości się nie osiągnie. Telefonicznie zażądałem wstrzymanie wiercenia. Szefowa się nie zgodziła i kazała wiercić dalej. Uważała, że to niemożliwe. Dopiero na 270 m stało się jasne, że miałem rację. Wiercenie wstrzymano. Dyrekcja została powiadomiona, że to ona chciała wstrzymać, a ja wiercić. Miałem nieprzyjemną rozmowę. Zarzucano mi sabotaż. W tym czasie mogło się to dla mnie źle skończyć. Wszystko załatwiane było telefonicznie, więc nie miałem żadnych dowodów.

Pamiętam również i takie zdarzenie. Było to koło Kowali Stępciny w rejonie Radomia. Geodeta zgłasza się do mnie, że nie może zlokalizować projektowanego wiercenia, gdyż wypada ono na środku dużego stawu rybnego. Pojechałem na miejsce i jak się okazało, nie było możliwości nawet dojechać tam samochodem. W związku z tym przesunąłem lokalizację wiercenia o kilkadziesiąt metrów. Kierownictwo w Warszawie zrobiło z tego całą wielką aferę z groźbami pod moim adresem. Zdeformowałem siatkę wierceń, co może wpłynąć na wynik obliczanych zasobów. Na moje pytanie, „Co powinienem zrobić?” Usłyszałem: „Zasypać staw, lub pobudować na środku tego obiektu platformę wiertniczą.” To było niemożliwe. W tym czasie takich specjalistów w Białogonie (firma wiertnicza) nie mieliśmy. Zniszczenie stawów hodowlanych i koszt nikogo nie interesował. Zresztą w takich zawodnionych miejscach i tak eksploatować by się nie dało.

Nieprzyjemna i zarazem śmieszna była awantura o Burzenin. Tam oprócz wierceń prowadzone były roboty ziemne. Zawodnione piaski albo uniemożliwiały kopanie szybków i pobranie prób z partii złożowej. Postawione kompresory nie obniżały poziomu wodonośnego, taki duży był przyływ wody. Ja miałem te sprawy rozwiązać, lecz nie wiedziałem jak. Poprosiłem specjalistów z instytutowego Zakładu Robót Ziemnych. Na spotkaniu kierownictwa z górnikami była cała narada. Jak odwoznić ten wielki teren? Wiedzano, że metoda jest tylko jedna. Trzeba odizolować piaski od przebiegającej w pobliżu Warty. Nie liczone koszty, czy ekonomicznie to się opłaca i czy w ogóle jest to możliwe. Padła natomiast śmieszna propozycja, by rzekę ująć w rury i puścić ją górą, lub zmienić jej koryto. Inżynier Lamprecht będący tu ekspertem, z przerażeniem oponował. „Jak to? Poznań po-

zbawić Warty?" Tak się czasem nasi decydenci ośmieszali. Ja za te idiotyzmy częściowo ponosiłem odpowiedzialność i mnie nie było do śmiechu.

O wiercenia miałem dość częste zatargi z szefostwem. W realizowanych planach wynikały z wyliczeń nieraz duże różnice między tym, co powinno być i tym, co było. Na przykład, wiercenie Liśnik koło Kraśnika na 350 m miało osiągnąć złożę. Tymczasem przekroczyło głębokość 450 m, a fosforytów nadal brak. Z późniejszych moich wyliczeń wynikało, że do partii złożowej jeszcze daleko. Żądają bym określił, ile jeszcze trzeba wiercić. Przy ówczesnym stanie wiedzy było to bardzo trudne do zrealizowania. Metody mikropaleontologiczne były jeszcze w powijakach. Potrzebne były specjalne badania makroszczątków organicznych, na co nie miałem wtedy zgody, ani absolutnie czasu. Partie złożowe musiały być przewiercane odpowiednią średnicą. Jeśli się przekraczało zaplanowane głębokości, trzeba było poszerzać otwory. To podrażało znacznie koszt wierceń. Jeśli wskazywałem, że różnice są tu znaczne, jak np. w Jedlince Nowej czy w Liśniku, przeważnie nie wierzono i dalej nakazywano wiercić. Z drugiej strony, wbrew moim sugestiom, zamykano otwory już blisko partii złożowych. Dopiero po moim odejściu z fosforytów szczegółowo rozpracowałem metodę określania wieku. Moje wcześniejsze sugestie się potwierdziły. Były takie otwory, które po osiągnięciu kilkuset metrów zostały zamknięte na 10 m przed złożem. Takim przykładem było wiercenie Paźnice. Wszystkie takie niepowodzenia kończyły się dla mnie awanturą.

Nieprzyjemnym spięciem było wiercenie na linii IXa, w rejonie Szczercowa. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że aparatu nie ma. Powinien być, gdyż parę dni temu byłem tu na kontroli. Nikt poza mną nie miał prawa likwidować wierceń w terenie. Odszukałem technika nadzoru, Skłodowskiiego. Pytam się, „Dlaczego przzerwali i kto im pozwolił przejść na nowe miejsce?” Odpowiedział: „Pani Lazarek. Przyjechała na wiercenie z inż. M. Dziubkiem, kazała rozstawić skrzynki z próbami. Przejrzała je i oświadczyła, że wiercenie na 102 m weszło w fosforyty. Zamknęła otwór i kazała przejść na inną linię.” Po sprawdzeniu okazało się, że tak nie jest. Wiercenie nie wyszło z czwartorzędu, który był tu wyjątkowo gruby. To, co wzięła za fosforyty, to były czwartorzędowe żwiry. Co tu robić? Trzeba wrócić na stare miejsce i wiercić od nowa. Stary otwór zasypany. Inaczej cała linia będzie zmarnowana. Duży koszt, jak to uzasadnić? Dzwonię do Warszawy. Mówię o pomyłce. Mańcia zapytała, czy się na pewno nie myłę. Powiedziałem: „Przywiozę próby, niech petrograf potwierdzi.” Usłyszałem, że decyzja zapadnie, gdy wrócę do Warszawy.

Po powrocie natychmiast zostałem zawezwany do dyrektora Wutcena. Oświadczył mi, że ma raport M. Lazarek. Wynika z niego, że popełniono tu karygodny błąd. Zastanawia się, czy to jest moja nieumiejętność, nieudolność czy sabotaż? Na moje oświadczenia, że to było odwrotnie, niż napisane w raporcie, usłyszałem: „Jak śmiem oskarżać wybitnego naukowca, jakim jest moja szefowa?” Wspomniał, że na 1 maja w centralnym pochodzie w Warszawie niesione były jej fotografie. Pokazał następnie w ilustrowanym dzienniku „Świat” cały entuzjastyczny artykuł o prowadzonych przez nią pracach. Wszędzie, gdzie palcem wskazała, tam występowały bogate złoża fosforytów. Była to absolutna bzdura, lecz mnie do śmiechu nie było. Naturalnie, sprawa została szybko zatuszowana, by nie wyszła prawda.

Okres, w którym się to działo, był bardzo trudny. Za byle co można było trafić do więzienia. Pamiętam takie zdarzenie. Była późna jesień. Z kierowcą poszliśmy na obiad do radomskiej „Europy”. Spieszyło się nam, bo mieliśmy jeszcze jechać na dalsze wiercenia, a dzień był bardzo krótki. Przy sąsiednim stoliku siedział jakiś podpity gość. Nieufnie nam się przyglądał. Następnie zaczął wtrącać się do naszej rozmowy. Kierowca mu odpowiedział, że wywali go z lokalu. Na to gość wyciąga legitymację i mówi, że nas zatrzymuje. Słyszał, o czym rozmawialiśmy, a to wystarczy. Dalej porozmawiamy w Urzędzie. My na to nic, spokojnie jemy. Mam pismo o realizacji uchwały rządu. Chłystkiem takim nie muszę się przejmować.

Ubowiec zaczyna się denerwować. Nie jest przyzwyczajony, że ktoś może się go nie bać. Krzyczy, mamy iść z nim natychmiast. Odpowiadam, jak zjemy, to pójdziemy. Gość coraz bardziej wkurzony, nie wie, co robić, lecz czeka. Po uregulowaniu rachunku, wychodzi z nami i cały czas grozi. Przed drzwiami stała nasza „warszawa”. Teraz ja z kolei powiedziałem: „Nie pójdziemy, tylko pojedziemy.” Kierowca otwiera drzwi, a ja go wpycham do środka. Zbaraniał. „Towarzysze” - woła – „muszę wrócić, jedną rzecz zapomniałem.” „Dobrze, lecz my tu czekamy.” Gdy nie wracał, poszedłem do lokalu. Kelner powiedział: „Ten ubowiec jak wicher przeleciał przez kuchnię i uciekł tylnymi drzwiami.” Szkoda, chcieliśmy wywieźć go za Radom z 10 km, by wracał piechotą. W tym czasie w Radomiu takiego samochodu nie miał nawet pierwszy sekretarz. Musiał się bardzo przestraszyć, na kogo się nadział.

W styczniowy późny wieczór pojechałem na dworzec kolejowy w Radomiu. Był silny mróz. W holu dworcowym było przeraźliwie zimno. Spotkałem tam koleżankę z Instytutu, Danusję Putrym. Siedziała skulona i przemarznięta. Pytam się, co tu robisz? Przyjechała służbowo do Radomia i

nie dostała hotelu. Jutro musi być tu od rana. Do Warszawy nie zdążyła wrócić. Perspektywa spędzenia nocy w zimnie ją przeraża. Nie ma jednak wyjścia. Zaproponowałem, że mam tu pokój 3 łóżkowy i jestem tylko z kierowcą. Jeśli chce u nas spać, to zapraszam. Zgodziła się z radością, lecz jak to zrobić?

Mieszkałem wtedy w hotelu Francuskim. Znając idiotyczne przepisy, nasz gość wszedł osobno. Po to, by portier nie zauważył, do kogo idzie. Wydawało się, że już po strachu, a jednak nie. W nocy kontrola. Ktoś śpi niemeldowany? Każą natychmiast Danusi opuścić hotel. Ich nie obchodzi, że noc i mróz. Nie ma miejsc i koniec. Idziemy do recepcji, która mieściła się w hotelu Europejskim. Awantura, żądam, by ją zameldowano. Nie ma gdzie spać i ma delegację z tej samej instytucji, co my. Nie chcą się na to zgodzić. Straszą milicją, ja też żądam milicji. Danka posesuwała fotele i oświadczyła, że będzie nocowała tu w recepcji. Na noc i mróz nie da się wyrzucić. Ja wyjąłem dokumenty stwierdzające realizację tematu objętego uchwałą rządu. Dopiero wtedy ją zameldowali. Przestraszyli się, że narozrabiam w Warszawie. Jak głupie były wtedy przepisy.

Szefowa była złośliwa i niesympatyczna. Poznałem ją jeszcze na studiach, lecz jak większość z kolegów, nie byłem z nią po imieniu. Między sobą nazywaliśmy ją Mańcia. Raz po powrocie z wyjazdu służbowego powiedziała do mnie, uśmiechając się złośliwie, że nocowałem w Sandomierzu. Patrzę na nią zdziwiony. „Tam spałem w hotelu. Jeszcze nie wiem, o co chodzi. Opowiadano mi o awanturze z milicją. To już chyba pan wie?” Ja w dalszym ciągu nie kontaktuję. Odpowiadam, „Słyszałem, że Sandomierz jest bardzo ładnym miastem, ale tam jeszcze nie byłem.” „Jak to?” pyta się. „A kto pobił się tam z milicją?” Słyszała, że nocował tam geolog, który przyjechał samochodem, spił się i awanturował. Trzeba było aż wezwać na pomoc służby mundurowe. Będąca z nią razem Alusia Mańkowska zasugerowała, że to tylko mógł być Stefan. Mańcia potwierdziła to przypuszczenie. Naturalnie, ja zaprotestowałem: „Jestem prawie abstynentem, a nie awanturnikiem.” Byłem wściekły. Jak później się wydało, osobą, która się spiła w Sandomierzu, był mój kolega Henryk Tomczyk, który tam spotkał Andrzeja Wyrzykowskiego. To wystarczyło.

Do Alusi poszedłem z pytaniem „Skąd masz takie informacje o mnie?” Ze zdziwieniem odpowiedziała „A kto to mógł być?” „Sądzę, że Mańkowski, czyli twój mąż.” Był on cyganem i nałogowym alkoholikiem. Alusia w płacz. „Dlaczego mieszam trzecie osoby?” Pytam się „Dlaczego ja mam być tą drugą osobą?” Tak biedna walczyła o niego. Pewnego razu wy-

szedł z domu, pozostawił ją z małą córką i więcej nie wrócił. Alimentów nie płacił. Nie wiadomo, gdzie przebywał. Spotykano go w różnych miejscach. Usiłowała się rozwieść, a z tym też były trudności. Wiedziała, że mąż żyje, lecz nie wiadomo, gdzie przebywa. Do rozwodu muszą stawić się dwie strony. To było powodem, że Alusia nie wyszła powtórnie za mąż, a miała starającego się kolegę z pracy.

Współpraca z panią Lazarek coraz bardziej się nie układała. Wróciłem z terenu 30 stycznia. Następnego dnia, to jest w Sylwestra, pojechałem do pracy. Po drodze w pociągu spotkałem znajomą. Była zmartwiona, Sylwester jej nie wypalił. Miała zaproszenia, a nie miała z kim iść. Zerwała ze swoim chłopakiem. Ja nie miałem ani zaproszeń, ani chętniej na taką imprezę. Gdy jej to powiedziałem, zaproponowała, bym z nią poszedł. Ucieszyłem się, tym bardziej, że bardzo mi się podobała. Miałem wtedy 24 lata i kiedy się bawić? Prosiła tylko, bym wykupił zamówione wcześniej bilety w Ministerstwie Energetyki, Trzymają je tylko do 13 godziny.

Po przyjeździe do Instytutu byłem bardzo zadowolony. Nie spędzę Sylwestra w łóżku. Szybko rozliczyłem się i oddałem przygotowane sprawozdanie. Byłem już wolny. Po omówieniu wyników z wyjazdu prosiłem szefową, że muszę wyjść na pół godziny. Na pytanie „Po co?” powiedziałem, o co chodzi. Nie dostałem pozwolenia. Co miałem robić? Nie miałem wyjścia. Złapałem taksówkę i pojechałem. Trwało to niecałe pół godziny. Gdy wróciłem, szefowa czekała na mnie w holu Instytutu. Po awanturze zaprowadziła mnie do kierownika zakładu, Jerzego Burka. Tam dalsze ruganie. Następnie już w trójkę poszliśmy do dyrektora Wutcena. Na nowo zaczęło się grożenie i straszenie prokuratorem. Bez zgody opuściłem miejsce pracy, a to kryminal. Jak mnie ukarać, miano się dopiero zastanowić. Bałem się, że pójdę siedzieć. W rezultacie byłem na Sylwestrze. Nie był on jednak udany. Miałem straszną chandrę i co nigdy mi się nie zdarza, spałem się do nieprzytomności. Nie wiem, co się stało z moją partnerką. Jak ja wróciłem i jak ona wróciła do domu? Wstydzilem się pokazać jej na oczy. Jedynie pewny byłem, że się ze mną nie ubawiła.

Teraz po latach może się wydawać śmieszne, że w takich błahych sprawach, jak wyjście na pół godziny, trzeba było uzyskać zgodę kierownictwa. Tak jednak było. Działała wtedy wprowadzona dyscyplina pracy socjalistycznej. Miała to być wielka zdobycz klasy robotniczej. Nawet za minutowe opóźnienia groziło wywalenie z pracy, lub inne przykre konsekwencje. Wprowadzono przepustki między nowym i starym budynkiem. Jedną mam do dzisiaj na pamiętkę. W holu Instytutu siedziała gruba portierka z karabi-

nem i sprawdzała przepustki. Był przypadek, że prof. Roman Osika, Kierownik Zakładu, a w latach późniejszych Dyrektor Naczelny Instytutu, nie został wpuszczony do pracy. Zapomniał przepustki, więc nie wszedł. Musiał wrócić do domu po ten dokument, aż na Ochotę. Portierka go znała i mimo to nie wpuściła. Jakże ją próbował przekonać, że to nonsens! Zdjęła karabin i gotowa była strzelać. Za ten bohaterski czyn dostała pochwałę egzekutywy.

Na specjalnie zwołanym zebraniu sekretarz partii, Falkowski, zakazał nam nawet wspominać, gdzie się pracuje. Bo wrogowie mogą to wykorzystać. Informował, co trzeba powiedzieć, jak się spotka znajomego i on się będzie wypytywał. Należy wtedy mówić, że się wydajnie, lub ciężko pracuje. Można wtedy chrząknąć, nie wspominając jednak, gdzie. Pytający powinien się domyśleć swojego nietaktownego pytania. Można się chwalić sukcesami, lecz też nie mówiąc jakimi. Są osiągnięcia, które wymagają dyskrecji. Tak kręcić, by się pytający niczego nie domyślił. To była już paranoja.

Pamiętam jeszcze następne zdarzenie. Było to w Wólce Gościeradowskiej, gdzie prowadziliśmy prace szybkowe. Był ze mną Janusz Uberna, który przejmował kierownictwo robót. W tym czasie przyjechał inż. Dziubek z nowymi instrukcjami i powiedział, że następują zmiany planów. Dostyc już zabawy w pseudo pracę i niepotrzebne, a drogie, szurfy. Przystępujemy do budowy szybów badawczo-eksploatacyjnych. Za parę dni zjedzie tu ekipa górnicza. Przedsiębiorstwo w Białogonie już taką kompletuje.

Zapytaliśmy, co to takiego, bo takiej nazwy nawet się nie słyszało. Zaczął nam mętnie objaśniać, z czego niewiele można było zrozumieć. Będzie się badać i zarazem przemysłowo eksploatować nowo odkryte złoża. Jak rozłożył plany z ich lokalizacją, to ze śmiechu zaczęliśmy się turlać po ziemi. Takiej bzdury jeszcze nie widziałem. „Proszę się nie śmiać” - zaczął. - „Nad tymi planami pracowaliśmy z panią Lazarek przez wiele dni. To jest nowość. Zasięgaliśmy rady różnych specjalistów, nie tylko z geologii, lecz i górnictwa. To będzie rewolucja w poszukiwaniach fosforytów.”

„Panie Mariuszu, gdzie są te szyby ulokowane? W jądrze jurajskiej antykliny? Fosforyty występują w albie, czyli wyżej.” Tłumaczymy i nic nie dociera. Trzeba było zabrać go w teren i tam dopiero pokazywać. „Tu, gdzie chcecie kopać, fosforytów nie ma.” Dopiero wtedy z trudnością dotarło. Zabrał plany i pojechał. Do tej nieprzemysłanej koncepcji już więcej nie wracano. Wreszcie i kierownictwo rozumiało, że pomysł był niedorzeczny.

Ja miałem częste pretensje o wiercenia. W teren ciągle jeździł inż. Dziubek. Nie miał prawa wtrącać się do geologii i tego nie robił. Zabierał

jednak rdzenie, które nie były jeszcze opracowane. Wywoził je do różnych magazynów, gdzie trudno było je odnaleźć. Zawodziła tu koordynacja prowadzona z Warszawy przez mgr Lazarek. Żądano opracowań, a zabierano bezmyślnie materiały z terenu. Później musiałem je szukać, a nie bardzo wiedziałem, gdzie zostały wywiezione. Dopelnieniem niezadowolonia stał się fakt, że na zjazd PTG szefowa nie chciała mnie puścić. W dużej części był on poświęcony fosforytom, nad którymi wtedy pracowałem. Było dla mnie bardzo ważne zobaczyć i posłuchać dyskusji różnych specjalistów na powyższy temat. Na tym tle doszło do ostrej wymiany zdań.

Stosunków, jakie się wytworzyły, miałem dosyć. Zwróciłem się więc do dyrektora, prof. E. Rühlego, z prośbą o przeniesienie mnie do Zakładu Podstawowych Badań Geologicznych. Uzyskałem poparcie dr Jana Czermińskiego, który kierował tym zakładem. Lazarek była znana i to nie tylko z trudnego charakteru. Obie strony nie mogły już na siebie patrzeć, a tym bardziej pracować. Na moje miejsce wyznaczono następcę, mgr Janusza Ubernę, z którym się przyjaźniłem. Mimo, że Janusz był całkowicie bezkonfliktowy, z nową szefową też mu się nie najlepiej wiodło.

Po śmierci Stalina zaczęły się powolne zmiany na lepsze. Wszelkważadna UB zaczęła tracić władzę i znaczenie. W partii następowały długo oczekiwane rotacje personalne. Zaczęła się walka o wpływy. Ze stanowiska Naczelnego Dyrektora Instytutu odwołany został niepopularny prof. Stefan Zbigniew Różycki. Na jego miejsce partyjni „twardogłowi” chcieli powołać swojego człowieka. W tym czasie do egzekutywy weszli nowi ludzie, którzy się temu sprzeciwili. Szczegółów już nie pamiętam. Doszło do konfliktu i otwartego zebrania pracowników Instytutu.

Odbyło się ono w dużej sali muzealnej. Obie strony atakowały się bezpardonowo. Po jednej stronie byli - mówiący z akcentem rosyjskim wicedyrektor Olendski i powiązany z UB dyrektor administracyjny, Iwaszewski oraz kadry. Te ostatnie, wiadomo kogo popierały. Po drugiej zaś stronie nowi ludzie dążący do zmian. Słowne utarczki trwały dość długo. Z obu stron padały ostre zarzuty. Znamienne było wystąpienie Stanisława Tyskiego. Nie był on członkiem partii, a zarzucił kierowniczej ekipie szereg karygodnych nieprawidłowości.

W tej walce na argumenty brał aktywny udział dr Jan Czermiński. Człowiek światły, o dużej kulturze i wyważonych poglądach. Wiadomo było, że odegra on dużą rolę w przyszłych władzach Instytutu. Tego stare kierownictwo bardzo się bało.



Instytut Geologiczny, odznaczanie Złotym Krzyżem Zasługi. Od lewej: Stefan Cieśliński, Zofia Dąbrowska, Borys Areń, Jan Czermiński, Maria Pajchłowa.

Czując, że tracą poparcie, „stalinowcy” posunęli się do prowokacji. Obróciło się to jednak przeciw nim. Z mównicy zarzucono dr Czermińskiemu molestowanie jednej z pracowniczek Instytutu. Była bardzo ładną i atrakcyjną kobietą. Pani ta wywołana przez dyrektora Olendskiego publicznie przyznała się do romansu. Te oświadczenie miało całkowicie pognać dr J. Czermińskiego. Pracownicy Instytutu zareagowali jak należy; wygwizdali prowokatorów. Że była to prowokacja, świadczyło wcześniejsze jej przygotowanie. Jak się później okazało, pani ta zdecydowała się publicznie wystąpić z oskarżeniami za obietnicę przydziału mieszkania. W wyniku tej partyjnej walki było kierownictwo zmuszone było oddać władzę i odejść z Instytutu. Krzywda specjalna im się nie stała. Przeszli do pracy na odpowiednie stanowiska w Centralnym Urzędzie Geologii, czyli do instytucji

nadrzędnej. Jednak była to porażka partii, bo na stanowisko Naczelnego Dyrektora Instytutu powołany został bezpartyjny, cieszący się ogólną sympatią, prof. Edward Rühle.

Zakład Podstawowych Badań Geologicznych

Do nowego Zakładu przeszedłem z wielką ulgą. Kierownictwo zaproponowało mi, bym opracował szczegółową stratygrafię osadów albu i cenomanu w oparciu o materiały z poszukiwań fosforytowych. Temat ten był dla mnie wyjątkowo ciekawy. Miałem już tu duże doświadczenie. Problemów stratygraficznych bez szczegółowych badań się nie rozwiąże. Materiałów z wierceń i szybików było bardzo dużo. Trzeba to było wykorzystać przed ich likwidacją. Rozpocząłem na nowo profilowanie w magazynach i interpretację wierceń. Interesowała mnie szczególnie biostratygrafia środkowej kredy. Teraz miałem czas na ten temat.

Z okresu tego pamiętam, jak pracowałem w rejonie Wolanowa. Kwatrowałem tam na stacji kolejowej. W pobliżu, w wynajętej stodole, był magazyn rdzeni z wierceń. Robota była monotonna, polegająca na pobieraniu prób, w których występowały szczątki organiczne. Któregoś dnia przyjechał do magazynu inż. Dziubek i przywiózł z sobą trzy praktykantki. Były to studentki Akademii Górniczej z Krakowa. Pyta się, czy nie potrzebuję pomocy? Ma tu bowiem trzy takie, z którymi nie wie, co zrobić. Bo do niczego się nie nadają. Daje mi je w prezencie. Ja zgłupiałem, dziewczęta to słyszają i są przerażone.

„Panie Mariuszu, co pan opowiada?” Dołożył jeszcze parę inwektyw i je zostawił. Z czymś takim do tej pory nigdy się nie zetknąłem. Naturalnie, chętnie do pracy je przyjąłem. Były mi bardzo wdzięczne, że zostały wybawione z koszmaru, jaki przeżyły na tej praktyce. To, co opowiadały, to włos się jeżył. W pracy bardzo mi pomogły. Dużo się nauczyły. Jeździłem z nimi w Góry Świętokrzyskie i na ciekawsze geologiczne odsłonięcia. W Małogoszczy chodziliśmy śladem bohaterów Żeromskiego. Z jedną z nich, Jarką Szwed, późniejszym pracownikiem naukowym Politechniki Wrocławskiej, miałem przez dłuższy czas przyjacielskie kontakty.

W regionach, z których miałem mało danych geologicznych, prowadziłem prace wiertnicze. Głównie w Ręcznie na N od Przedborza i w okolicach Sulejowa nad Pilicą. Nad Wartą, we wsi Ligota, wykonałem szereg prac ziemnych, które pozwoliły na wyjaśnienie stratygrafii cenomanu tego regionu. Zagadnienia stratygraficzne były tu tak niejasne, że bez szczegółowych badań nie można było ich rozwiązać. W tym czasie, a był to rok 1956,

na praktyce przebywała studentka, Z. Pikała, a techniczką z zakładu Stratygrafii była Zosia Brzozoń.

Największe kłopoty, jak zwykle, były z kwaterami. Pamiętam, zawiozłem Leona Karczewskiego w rejon Kodrąbia. W planie miał opracowanie występujących tam osadów jurajskich. Do pomocy zabrał z sobą techniczkę, Stasię Pacuszkę. Z dużymi trudnościami znaleziono zaledwie jeden pokój na ich dwoje. Gospodyni miała się przenieść do kuchni. Leonowi było wszystko jedno i nie protestował. Stasia natomiast wrzasnęła, że jest panienką i chce osobne pomieszczenie. Gospodyni zasepiła się, co tu robić. Pomyślała i powiedziała. Zostawię drzwi do kuchni otwarte i będę słuchać. My w śmiech. Tak musiało być, nie było innego wyjścia.



*Władysław Karaszewski, Zofia Dąbrowska, Stefan Cieśliński i Borys Areń,
1970 r.*

Dużo w tym czasie jeździłem z Pożaryskim i Karaszewskim na głębokie wiercenia w rejon Kłodawy i Gopła. Te wyjazdy były dla mnie bardzo pouczające. Karaszewski, oprócz wielkiej znajomości geologii, z zamiłowania był historykiem i archeologiem. Miał kolosalną wiedzę. W 1939 r. walczył w oddziałach generała Kleeberga. W rozmowach często do tego wracał.

Raz jadąc z nim w teren mieliśmy przykre zdarzenie. W miejscowości Koło chłopak rzucił dużym kawałem drewna w nasz samochód. Szczęście, że trafił tylko w poprzeczkę dzielącą przednią szybę samochodu „warszawa”. Gdyby nie to, to by ją wybił. Kierowca tak się wystraszył, że wpadł w poślizg. Zahamował, wyskoczył i złapał chłopaka. Karaszewski zdenerwowany uderzył go w pysk. Zbiegli się ludzie, zaczynają krzyżeć. Jacyś obcy chcą porwać dziecko. Ludzi wrogo nastawionych zebrał się cały tłum. Blokują nam samochód. Nie możemy się ruszyć. Jedni drugim opowiadają coraz to nowe nieprawdopodobne wersje wydarzenia. Sytuacja staje się groźna. Zaczynam się bać, że może dojść do linczu. Na szczęście, przyjechała nareszcie milicja i zabrała nas na posterunek. Przylecieli też tam świadkowie, by oskarżać. Po sprawdzeniu dokumentów, nam uwierzono. Milicja musiała jednak z miasta nas eskortować. Mogło się to dla nas źle skończyć. Z tłumem nie ma żartów.

Z tego okresu miałem też inną samochodową przygodę. Jechałem przez Tomaszów Mazowiecki z Zofią Dąbrowską do Grot Madejowych w Nagórzycach. Jechaliśmy służbową „nyską”, ulicą z pierwszeństwem przejazdu. Nagle z bocznej drogi i z lewej strony wyjeżdża z dużą szybkością osobowa Skoda. Rozpędzony samochód uderza w nasz pojazd. Nam się niewiele stało, lecz nowa Skoda jest rozbita. Cały bok bez drzwi i błotników. Wyskakuje z niej jakiś facet i wymyśla. My też na niego z gębą, to nie nasza wina. Zbierają się ludzie, lecz sympatia jest po naszej stronie. Ostrzegają, że to jest lekarz, działacz partyjny i poseł na sejm. Przyjechała milicja. Sprawa była jasna. Jednak tylko naszego kierowcę zabrali na posterunek, by pobrać mu krew. Na nasze protesty, dlaczego winnemu się nie pobiera, oświadczone nam, że doktor jedzie na zebranie Komitetu Wojewódzkiego Partii, więc nie może być pijany. Nie bardzo byliśmy jednak tego pewni. Co z władzą robić?

Zakład Stratygrafii

Tematyka Instytutu stale się rozszerzała. Zmianom ulegały nazwy powoływanych i przekształcanych jednostek administracyjnych. Instytut bardzo się rozbudowywał. Następował złoty wiek geologii. Budowa nowoczesnego państwa bez intensywnych badań geologicznych była niemożliwa. W okresie tym geologia miała wszędzie zielone światło. Wydziały zostały przemianowane na Zakłady. Łączono jedno, dzielono inne. Tak z Zakładu Zdjęć Geologicznych powstał Zakład Podstawowych Badań Geologicznych. Zakład ten z kolei podzielony został na Zakłady Geologii Niżu, Stratygrafii

i Petrografii. Dr J. Czermiński został powołany na stanowisko Zastępcy Dyrektora do spraw badań podstawowych. Ludzie mi bliscy objęli najwyższe stanowiska w Instytucie.

Był to dla mnie okres bardzo intensywnych prac. Otworzyłem przewód doktorski. W tym czasie, w oparciu o wzory radzieckie, tytuł doktora zastąpiono stopniem kandydata nauk. Szczęśliwie nie przyjęło się to i po paru latach znów wrócono do starej nazwy. Związane z przewodem były seminaria z marksizmu, który zorganizował Instytut dla swoich doktorantów. Głupoty straszne, ale prowadziła je bardzo przystojna pani z Katedry Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego. Kazano nam czytać prace klasyków marksizmu w całości, a nie w skrótach. Strasznie to było nudne. Gorzej, że po przeczytaniu nie potrafiłem nic na ten temat powiedzieć. Szczególnie dzieła Lenina były dla mnie zupełnie niestrawne. Stale kogoś rugał, a ja nie miałem pojęcia, o co chodzi. Bardzo się bałem tego egzaminu. Od zdania tego przedmiotu zależała moja dalsza kariera naukowa. Szczęściem, że w tym okresie ukazał się „Słownik Filozoficzny”, gdzie cała potrzebna mi literatura była omówiona w skrócie. Zamiast czytać i nic nie rozumieć, miałem w paru zdaniach wszystko podane.

Egzamin z marksizmu nie był prosty. Odbывał się on w Instytucie. Przewodniczył rektor Uniwersytetu Warszawskiego, Jan Legowicz. Komisja paroosobowa. W skład jej wchodził również Zastępca Dyrektora IG, dr Borys Areń. Zdający najpierw otrzymali kartki i długopisy oraz na piśmie pytania. Mieliśmy pół godziny na rozwinięcie tematów. W Sali, gdzie się to odbywało, znajdowała się cała marksistowska biblioteka, z której wolno było korzystać. Egzaminatorzy uważali, że jeśli ktoś tego nie czytał, to i tak w ponad 100 tomach nic nie znajdzie. Tylko dzięki słownikowi miałem całość pobieżnie opanowaną. Pokręciłem tylko jakąś datę. Zdałem na 4. Professor Legowicz oznajmiając o wyniku, powiedział: „Zdaję sobie sprawę, że doktoranci nie mieli dużo czasu na pełne poznanie literatury klasyków marksizmu. Sądzę jednak, że po zakończeniu i uzyskaniu stopnia Kandydata Nauk nadrobią zaległości. Teraz już wiedzą, jak nauka ta jest potrzebna, nawet do badań geologicznych.” Wbrew przekonaniu musiałem przyznawać mu rację. Nie miałem innego wyboru.

Promotorem mojej pracy doktorskiej „Alb i cenoman północnego obrzeżenia Gór Świętokrzyskich” został prof. Władysław Pożaryski, a recenzentami prof. Edward Passendorfer i prof. Roman Kongiel. Praca oparta została na materiałach z poszukiwań fosforytów. Okres, w którym pracowałem nad dokumentacją tych surowców, nie został więc zmarnowany.

Moja była szefowa, M. Lazarek, po zakończeniu swojej działalności przygotowała również duże opracowanie oparte na dokumentacji złożowej. Chciała przedstawić to opracowanie, jako swoją pracę doktorską. Po jej napisaniu dostała pozytywne opinie dyrektora inż. Wutcena i doc. Antoniego Morawieckiego. Naczelnny Dyrektor, prof. Rühle, po zapoznaniu się z pracą miał jednak szereg wątpliwości. Nakazał, bym zrobił jej recenzję. Nie chciałem się na to zgodzić. Wiedzano, że nasze stosunki nie były dobre. Każda moja uwaga uważana będzie za odgrywanie się. Dostałem jednak takie polecenie i nie było rady. Na moją prośbę Dyrektor zgodził się, by pracę tę zrecenzował również Janusz Uberna. Obie recenzje były podobne i negatywne. Stwierdzały, że praca nie nadaje się nawet do archiwum. Mancię to bardzo dotknęło. Rzuciła Instytut, wyszła za mąż i na wiele lat wyjechała do Finlandii. Mąż jej pracował tam w ambasadzie. Po latach wróciła do Instytutu, lecz nie jako geolog, a planistka.

Po moim ślubie postanowiłem zabrać w teren moją żonę. W rejonie Krakowa odsłonięcia kredy górnej prezentował mi mój były szef, inż. W. Zajączkowski. Nocowaliśmy w Krzeszowicach. Tram w hotelu były kłopoty, straszne pluskwy. Mnie one nie przeszkadzały, ale Ania całą noc spać nie mogła. Następnie pojechałem w Świętokrzyskie. W tym czasie wprowadzałem Leona Karczewskiego na jurę północnego obrzeżenia Gór Świętokrzyskich. W drodze powrotnej do Warszawy zatrzymaliśmy się w Ilży. Małe, ładne miasteczko, z górą zamkową. Zaproponowałem, byśmy poszli tam zobaczyć odsłonięcia kimerydu i podziwiać widoki z daleką panoramą Gór Świętokrzyskich. Wchodziliśmy okrężną, lecz nie stromą drogą. Na górze złapała nas burza z deszczem. Zaczęliśmy uciekać ścieżką w górę kamieniołomu. Było tam stromo. Nie wiedziałem, że Ania ma chorobę wysokości. Dostała szoku. Biegając przewróciła się na wąskiej stromej ścieżce. Musiałem ją trzymać, by nie spadła w dół. Z trudem sprowadziłem ją do samochodu. Była w ciąży, potłukła się i podarła spodnie, które trzeba było dokupić na miejscu. Dostała bóli i była obawa poronienia. Szczęściem skończyło się tylko na strachu. Ojciec bardzo mnie za to zwymyślał. Jak mogłem w takim stanie brać ją w teren? Tu miał rację.

Z Ilżą wiąże się jeszcze jedna moja przygoda. Pracowała tam Zosia Dąbrowska. Ja byłem zajęty osadami granicznymi między jurą, a kredą, Zosia zaś jurajskimi. Czyli nasze prace się zająbiały. Była w tym czasie jeszcze z nami mikropaleontolog, Janka Szejn. Szukała tam śladów neokomu, który gdzieś tu zanikał. Wiele rzeczy musieliśmy w terenie między sobą uzgadniać. Nie to było najważniejsze. Takich karaluchów, jak na jej kwate-

rze, nigdy nie widziałem. Gdy w nocy zapalało się nagle światło, to setki ich biegały po podłodze. W moim mleku zostawionym w kubku na stole, rano znalazłem parę utopionych karalusznych olbrzymów.

Wracając raz z kamieniołomów w Błazinach postanowiłem się wykąpać. Był piękny upalny dzień. Rzeka Iłzanka w tym miejscu przepływała przez duże i bardzo głębokie zapadlisko krasowe. Wyglądało ono na niewielkie jezioro. Wypłynąłem na środek. Postanowiłem sprawdzić, jak tu jest głęboko. Nie osiągnąłem jednak dna. Woda w dole była bardzo zimna. Wypłynąłem, popatrzyłem wkoło, byłem zupełnie sam. Nikogo w pobliżu. Pomyślałem, że gdybym tak zaczął się topić, nikt nie udzieliłby pomocy. Zacząłem płynąć. Ze zdenerwowania moje ruchy stały się nieskoordynowane. Zachłysnąłem się wodą. Brzeg ciągle daleko. Pomyślałem, że jak tak dalej pójdzie, to się utopię. Coś trzeba zrobić. Przewróciłem się więc na plecy i spokojnie poleżałem. To mnie uspokoiło i już bez kłopotu dopłynąłem do brzegu. Była to dla mnie dobra nauka, że z wodą nie ma co żartować. Jaki byłby wstyd utopić się w Iłzance?



Mongolia, Gobi, 1961. Od lewej: ?, J. Kuchciński, tłumacz mongolski Czusun Dordż, Edmund Rutkowski i Stefan Cieśliński.



Mongolia, Gobi, 1961, Z. Grzechnik i Edmund Rutkowski.

Pracę doktorską obroniłem w dniu 17 maja 1958 r. Miałem 30 lat, byłem najmłodszym doktorem w Instytucie. Świat przede mną stał otworem. Marzyłem o dalszej karierze naukowej.

Zaproponowano mi w tym czasie wyjazd na kontrakt do Mongolii. Propozycję tę z radością przyjąłem. Szefował ekspedycji mój przyjaciel, Edmund Rutkowski. Swoje wrażenia z prac w tym wspaniałym kraju opisałem w artykule „Przez kraj ludzi, zwierząt i Bogów, w 40 lat później.”

Na stanowisku Kierownika Zakładu Stratygrafii

Po powrocie z wyjazdu rekonesansowego do Mongolii, Dyrekcja Instytutu zaproponowała mi objęcie kierownictwa Zakładu Stratygrafii. Wahałem się między chęcią powrotu do tego ciekawego egzotycznego kraju, a stanowiskiem. To ostatnie zwyciężyło. Administracyjna praca wprawdzie nigdy mnie nie ciągnęła, lecz kierownictwo Zakładu było poważnym awansem i drogą do dalszej kariery. Nie mogłem więc z tego nie skorzystać. Teraz moim następnym celem była habilitacja.

Zakład objąłem w dniu 1.VII.1962 r. Stanowisko to zmieniło moją dotychczasową pracę. Teraz najważniejsze było kierownictwo i jemu musiałem poświęcić prawie cały swój czas. Lata, w których kierowałem Zakładem, były szczytowymi w rozwoju polskiej geologii. W okresie tym geologia dostała ogromne pieniądze, które pozwoliły na prowadzenie wszech-

stronnych badań. Ruszyły na niespotykaną dotąd skalę głębokie wiercenia. W związku z tym zaistniała potrzeba wprowadzania coraz to nowych badań tak, by można było sprostać stawianym zadaniom. Nastąpił wielki postęp w poznaniu budowy geologicznej i surowców naszego kraju. Każdy kończący się temat wskazywał na dalsze problemy wymagające rozwiązania.

Na stanowisku kierownika Zakładu przepracowałem 14 lat. W okresie tym rozbudowałem bardzo tematykę. Dostosowałem ją do bieżących potrzeb Instytutu. Szczególnie rozszerzyłem badania mezozoiku i paleozoiku. Zakład prowadził wszystkie podstawowe prace z zakresu badań wieku skał osadowych. Rocznie wykonywanych było tysiące ekspertyz stratygraficznych dla bieżących potrzeb Instytutu i współpracujących z nim instytucji. Zakład należał do największych tego typu placówek w Polsce i zatrudniał między 55 i 65 osób. Było więc co robić. W pracy na stanowisku kierowniczym miałem okresy przyjemne i przykre, tak jak to bywa w życiu. Do tych przykrych należy zaliczyć konflikty międzyludzkie, których nie można wyeliminować.

Na początku lat sześćdziesiątych, zaraz po objęciu kierownictwa Zakładu, miałem następujące, przykre dla mnie zdarzenie. Któregoś dnia odbywał się odczyt PTG (Polskiego Towarzystwa Geologicznego) w Sali Konferencyjnej Instytutu. Tematyki tego spotkania już nie pamiętam. Na zebraniu obecny był prof. E. Passendorfer i jego najbliższy współpracownik i przyjaciel, dr Zbigniew Kotański. Przy wychodzeniu z sali podszedłem, by się przywitać. Wtedy prof. Passendorfer powiedział, że mają do mnie interes. Chodzi o przyjęcie do pracy w Zakładzie żony Kotańskiego. Panią tą zналиśmy dość dobrze. Wśród znajomych nazywano ją potocznie Halucha. Z wykształcenia była botanikiem zajmującym się paleobotaniką. Pracowała przez parę lat w Zakładzie Stratygrafii. Była z szeregiem osób skonfliktowana, między innymi z kierowniczką pracowni Paleobotaniki, Lidią Jakubowską. W pracy zawodowej niczym się nie wyróżniała. Odeszła z Instytutu na własną prośbę, ku ogólnemu zadowoleniu.

Prośba profesora bardzo mnie zaskoczyła i postawiła w trudnej sytuacji. Nie miałem żadnych możliwości jej załatwienia. Jasno przedstawiłem trudności. Nie miałem wolnych etatów, nie miałem ważnych tematów, które należałoby prowadzić. Najważniejsze, że nie miałem miejsca, gdzie mógłbym tą panią posadzić. Zakład, jak i cały Instytut, był wtedy do granic możliwości przeludniony. Nie było nie tylko wolnych pokoi, lecz i miejsca, gdzie można byłoby postawić jakieś biurko czy stolik. Szczególnie zapchała była pracownia Paleobotaniki. Nie wyobrażałem sobie, bym mógł zapro-

ponować siedzącym tam paniom dodatkowe zatrudnienie nowej osoby w ich pomieszczeniu.

Profesor na to odpowiedział: „Sprawę etatu osobiście załatwię. O to pana głowa może nie boleć. Temat geologiczny również już przygotowałem. Pani magister Kotańska zajmie się florą triasową Tatr.” Następnie profesor powiedział: „Od pana będę chciał tylko miejsca dla pani magister.” Zakład Stratygrafii, którym kierowałem, nastawiony był wyłącznie na badania Niżu Polski. Tematykę karpacką prowadził Kraków i nią nie byliśmy zainteresowani.

Gdy znowu zacząłem mówić o trudnościach, usłyszałem: „Sprawa Pana Samodzielnego Pracownika Naukowo Badawczego jest u mnie w załatwianiu. Pan mi załatwia to, a ja panu to.” Następnie dodał: „Jak Instytut tego nie załatwi, to będzie gorzko żałował.” Kotański zaś dołożył: „Lecz będzie już za późno.” Ja zupełnie zbaraniałem. To przecież normalny szantaż. Odmówiłem i zdenerwowany odszedłem. Następnego dnia wysłałem do Naczelnego Dyrektora pismo z informacją o zaistniałym incydencie. Pytałem, jak mam się w podobnych sprawach zachowywać. Zakończyło się tym, że pani Kotańska nie została w Instytucie zatrudniona, a prof. Passendorfer nie wszedł w skład następnej Rady Naukowej Instytutu.

Następną bulwersującą sprawą była „Tablicy Stratygraficznej”. Przygotowując się do doktoratu zestawiałem dane geologiczne w formie tabelarycznej. Było to pierwsze takie zestawienie całości danych geologicznych, bardzo ułatwiające poruszanie się w skomplikowanej terminologii stratygraficznej. Za namową kolegów postanowiłem dane te wydać. Uzyskałem poparcie Dyrekcji Instytutu. Również Redakcja Przeglądu Geologicznego bardzo się do tego zapaliła. Inicjatywa powyższa wywołała gwałtowny sprzeciw profesora Passendorfera. W jego imieniu skontaktował się ze mną prof. Henryk Makowski, przekazując mi właściwie polecenie wycofania „Tablicy” z druku. Nie widząc takiej potrzeby odmówiłem.

Następnym posunięciem była wizyta profesora Passendorfera z docentem Kotańskim. Panowie zażądali wycofania „Tablicy” z druku. Motywowali, że Instytut nie jest od takich prac. Rolą Instytutu jest tylko zbieranie materiałów, które mają być następnie opracowywane i kontrolowane przez Uniwersytet i Polską Akademię Nauk. Czyli głównie przez docenta Kotańskiego. Gdy się dalej upierałem, profesor oświadczył: „Jak zobaczę studenta z tą Tablicą, bez pytania stawiam dwóję.” To mnie też nie przekonało. Postawiłem na swoim i „Tablicę” wydałem. Dalsze ataki były już nie na „Tablicę”, lecz na „Budowę Geologiczną Polski”, której byłem redaktorem.

Sprawę tę opisałem w artykule „Budowa Geologiczna Polski (40 lat historii).” Mało brakowało, by to prestiżowe dla Instytutu wydawnictwo zostało wstrzymane. W każdym razie bardzo je opóźniono. Ja zaś miałem duże kłopoty.

Skandal, jaki wybuchł na Uniwersytecie między doc. Z. Kotańskim, a dr Andrzejem Radwańskim, wywołany nadużyciem władzy przez tego pierwszego, bardzo wstrząsnął polskim środowiskiem geologicznym. Powodem był list pani Haliny Kotańskiej do męża, który w tym czasie przebywał na stypendium we Francji. Pod wpływem tego listu Kotański napisał do Radwańskiego to, czego nie powinien. Między innymi, kogo ma przepuścić, a kogo oblać. Nic tak nie plami, jak atrament. Sprawa powyższa trafiła do Senatu. W rezultacie doc. Z. Kotański został usunięty z Uniwersytetu. Sprawa była tak oczywista, że nawet prof. E. Passendorfer nie zdołał mu pomóc. To spowodowało, że z tej wielkiej przyjaźni zaczęła się niechęć i całkowite zerwanie kontaktów między obu panami. Docenta Z. Kotańskiego do pracy przyjął Instytut. Nie było już teraz mowy o przekazywaniu materiałów zebranych w Instytucie do opracowania na Uniwersytecie. Tego się już doc. Kotański nie domagał. Czyli tu wyraźnie zmienił się punkt widzenia, w związku ze zmianą miejsca siedzenia.

Po przejściu na emeryturę prof. Passendorfer przyszedł do mnie pogodzić się. Poprosił, bym mu jakieś sprawy w Instytucie załatwił. Zrobiłem to z przyjemnością. Był on bowiem recenzentem mojej pracy doktorskiej i urazy do niego nie zachowałem. Na zakończenie powiedział, że opuścili go przyjaciele. Obaj panowie już do śmierci nie nawiązali ze sobą kontaktów.

W tym czasie otworzyłem przewód habilitacyjny i otrzymałem stypendium. Od 1.I.1963 r. zostałem powołany na stanowisko Samodzielnego Pracownika Naukowego, a od 18.IV.1973 r. na docenta. W związku z tym postanowiłem pracę habilitacyjną dokończyć i wydać, lecz już jej nie bronić. Tak też zrobiłem. Otrzymałem bowiem te same prawa, co docenci habilitowani. Mogłem pracować do 70 lat, prowadzić przewody doktorskie i być awansowany na stopień profesora. Dopiero później zarządzenie to zostało częściowo ograniczone.

Teraz moim celem nie było już dalsze zdobywanie tytułów naukowych. Byłyby one nawet balastem w dalszych moich planach. Ja chciałem pracować jako geolog i to w terenie, a nie przesiadywać na konferencjach, lub ślęczyć nad recenzjami prac doktorskich i habilitacyjnych. Chciałem podróżować i pracować na ciekawych kontraktach zagranicznych oraz w nierozpoznanych geologicznie regionach. Na takie prace, prowadzone przez

różne firmy geologiczne, profesorów zwykle nie angażowano. Dyrektorzy służb geologicznych byli zwykle najwyżej z tytułami doktorów. Ci panowie potrzebowali specjalistów od fachowej roboty, a nie od rządu i to jeszcze z wyższymi stopniami naukowymi. Dlatego z naszej kadry profesorskiej prawie nikt nie pracował na kontraktach. Jeżdżono tylko na różne krótkoterminowe konferencje i zjazdy. Przykładem było to, że przy staraniach o wyjazd do Algierii, prof. Wiesław Heflik z AGH w Krakowie wołał zataić swój tytuł naukowy. Sam mi o tym opowiadał.

Z okresu tego pamiętam i bardzo zabawne historie. Po wprowadzeniu socjalistycznej dyscypliny pracy zwracano paranoidalną uwagę na każde, nawet minutowe, spóźnienia. Kadry spóźniających się wylapywały i dzwoniły do kierowników, żądając dyscyplinarnych sankcji. Kiedyś ponad godzinę spóźniła się do pracy starsza pani, mikropaleontolog, mgr Emilia Witwicka. Została z Kadr przysłana do mnie, by się usprawiedliwić. Podała powód: popsuł się tramwaj, którym jechała do pracy. Siła wyższa. To można było zrozumieć. Jednak, jak powiedziała, gdzie się zepsuł, to nie wytrzymałem i parsknąłem śmiechem. Tramwaj stanął na Rakowieckiej, w połowie między Puławską, a Wiśniową, to jest około 200 m od Instytutu. Tam stał 1,5 godziny, a ona czekała. Że się spóźniła, to przecież nie była jej wina.

Witwicka była mądrą i inteligentną kobietą. Miała zawsze własne zdanie, często niepasujące do rzeczywistości. Na przykład, nie chciała zapisać się do Związku Zawodowego Górników. Były w tej sprawie na nią wielkie naciski. Jeden dopiero argument zdecydował, że się od niej odczepiono. Na pytanie, dlaczego? oświadczyła, że jest starą panną i ma takie dziwactwo. Nie było już dyskusji.

Kiedyś przyszedł do mnie dr Leon Karczewski prosząc o zezwolenie na wcześniejsze wyjście z pracy. Takie były w tym czasie przepisy. Na moje pytanie: „Czy idzie na Uniwersytet?” uśmiechnął się. „Tak wpisałem w zeszycie wyjść, lecz tobie powiem prawdę. Chcę iść do kina. Grają „Rejs”. Film ten jest źle przyjęty przez władze i dlatego wyświetlany jest tylko w godzinach pracy. Powód, by jak najmniej ludzi go oglądało.” O filmie tym dużo się wtedy mówiło. W sprawie tej zabierał głos sam Gomułka. Powiedziałem, że „Chętnie pójdę z Tobą.” Ja też musiałem zwolnić się u dyrektora Czerwińskiego. Gdy zacząłem mu tłumaczyć, dlaczego chcę wyjść, zapytał się wprost, co ja kręcę i gdzie chcę iść? Wtedy usłyszał prawdę i nie zdziwił się. Oświadczył, że też chce ten film zobaczyć i idzie z nami. Jak już byliśmy w kinie, zaczęliśmy się śmiać. Jakie miny miałyby nasze insty-

tutowe Kadry widząc nas tu w godzinach pracy? Do kogo złożyć meldunek o pogwałceniu dyscypliny.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, lecz gdzieś w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych. Zwołano otwarte zebranie partyjne. Zostałem zaproszony, jako kierownik Zakładu i przewodniczący SD. Nie mogłem się więc wyrazić. Omawiana była tam sprawa bulwersująca całą opinię Instytutu. Jeden z młodych petrografów, mgr Bronisław Gaczyński, dostał z Instytutu wspólne mieszkanie z Haliną Jagodzińską (mikroskopistką), pracownicą mojego Zakładu. Po pewnym czasie wspólnego użytkowania doszło między nimi do konfliktu. Podobno na tle porządków. Jej współlokator jako argumentu użył nogi. Kopnął ją w siedzenie, co spowodowało złamanie kości ogonowej. Została inwalidką. Sprawa oparła się nie tylko o sąd, ale i o Instytut. Prawie wszyscy mężczyźni potępili ten brutalny czyn. Natomiast kobiety, działaczki Związków Zawodowych, usiłowały go bronić. Twierdziły, że może były po temu powody. Dyrektor IG, Roman Osika, prowadzący zebranie, postulował wyrzucenie go z pracy. Stwierdził, że Instytut takich pracowników musi się wstydzić.

W obronie oskarżonego wystąpił nasz kolega, Ludwik Watycha. Był on człowiekiem bardzo prawym, śmiesznie mówiącym gwarą góralską. Pochodził z Nowego Targu. Powiedział, że nie można przez jeden taki czyn potępiać człowieka i złamać mu życiową karierę. Dał taki przykład, że kiedyś kierownik Zakładu Geologii Inżynierskiej, prof. Feliks Rutkowski, powiedział do niego: „Kadry przysłały mi do pracy jakiegoś pracownika, który nic nie robi. Złych pracowników tu nie potrzebujemy. Trzeba będzie się go pozbyć. Mimo takiej opinii do tego nie doszło. Nie wyrzucono go i obecnie jest jednym z dyrektorów Instytutu. Tu może być tożsamo.” Wszyscy zgłupieli, a potem w śmiech. Jak można było dać taki przykład? Omawiana osoba z niewyraźną miną siedziała w prezydium. Prof. Osika prowadzący zebranie w ostrej formie zabronił osobistych wycieczek. Ludwik Watycha nie miał jednak takiej intencji. Uważał tylko, że taki argument przeważy obronę atakowanego kolegi.

Przez Zakład przewinęło się wielu dziwaków. Jednym z nich był Michalski, znany pod nazwą Chopina. Imienia jego już nie pamiętam. Zatrudniony był jako pomoc techniczna. Potrafił przychodzić do pracy ze skrzypcami i grać docentowi K. Kowaleskiemu, który był głuchy jak pień. Do prac pomocniczych wzięła go w teren Maria Pajchłowa. Tam jej zniknął na parę dni. Gdy wrócił zaczął jej się tłumaczyć, że szukał Żołny. Oparło się to o mnie. Maria powiedziała, że nie potrzebuje takiego pracownika, który znika,

by szukać żony. Na to Michalski się zdziwił: „Co to za fachowcy w tym Instytucie, co nie odróżniają żony od ptaka Żolny?”

Widząc, że się z nim trudno dogadać, oddałem go do dyspozycji kadr. Zaczął pracować w innym Zakładzie, gdzie szybko dał znowu znać o sobie. Zgłosił w MSW (Ministerstwie Spraw Wewnętrznych), że odkrył w Instytucie szpiegów niemieckich, a są to: Naczelny Dyrektor, prof. Roman Osika, prof. Jerzy Znosko, jeden z czołowych pracowników Instytutu, oraz kierownik Zakładu Niżu – Stanisław Tyski. Gdy Ministerstwo nie zareagowało aresztowaniem podejrzanych, polecał z tym do Ambasady Radzieckiej. Skończyło się na skandalu i wyrzuceniu go z pracy, a powinien trafić do szpitala w Tworkach. Musiał mieć jednak duże kłopoty, bo nawet po latach nie chciał na ten temat nic mówić.

W połowie lat siedemdziesiątych, poza normalnymi zajęciami, rozpocząłem organizować naukowo-turystyczne wyjazdy autokarowe do zachodniej Europy. Każda z nich miała duży program geologiczny. W tym czasie organizacja takich wyjazdów nie była prosta. Wymagała poparcia instytucji sponsorującej i dużych znajomości. Zorganizowałem wyjazdy do Hiszpanii, Grecji, Anglii i Francji. Wszystkie one udały się znakomicie. Uważałem, że zrobiłem dobrą robotę, która reklamowała nasz Instytut. Mimo wcześniejszych złych prognoz nie skłóciłem, a zaprzyjaźniłem ludzi, którzy ze mną jeździli. Jak każda z takich inicjatyw, miała ona entuzjastów i zagorzałych przeciwników. Ich ataki na mnie spowodowały przyspieszenie decyzji o rezygnacji z funkcji kierownika Zakładu. Co nastąpiło 31.XII.1976 r. Zostałem nadal w Zakładzie Stratygrafii, lecz już tylko na stanowisku docenta. Kierownictwo po mnie przejął, chociaż nie na długo, prof. Ryszard Dadlez.

Stronnictwo Demokratyczne

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych, w okresie późnego Gomułki, na nowo zaczęto wszystko upartyjniac. Na stanowisko pierwszego sekretarza do Instytutu przyszedł z AGH w Krakowie dr Janusz Biernat. Zaczął się okres bardzo trudny. Zebrania, naciski, ingerencje nawet w plany geologiczne poszczególnych zakładów. Do tego organa partyjne nie były upoważnione. Sekretarz potrafił wzywać poszczególnych bezpartyjnych kierowników żądając wyjaśnień, dlaczego nie są członkami partii. Szantażowana była również i dyrekcja Instytutu. Widać było, że ten nowy sekretarz swoje stanowisko chce wykorzystać, by piąć się w górę.

Czując się zagrożonym zwróciłem się do szeregu kolegów, by zorganizować w Instytucie Koło Stronnictwa Demokratycznego. Szukając kan-

dydatów trzeba było zwracać się do wielu osób i uzasadniać potrzebę powołania Koła. W rozmowach z kolegami mówiłem wprost, że celem tego będzie obrona przed Biernatem. Członków Stronnictwa nie można było zmuszać, by przechodzili do PZPR. Zyskało to poparcie. Koło takie powstało. Skupiło się w nim wielu znanych i wpływowych geologów. Do naszego Koła wszedł, między innymi, inż. Waclaw Iwaszkiewicz. W okresie okupacji członek Komendy Głównej AK. Była to więc postać, którą mogliśmy się pochwalić. Odpierało to ataki niezycliwie nam nastawionych, że grupujemy strachulców i sługusów partii.

Podczas pierwszych zakulisowych rozmów, które głównie ja prowadziłem, znajdowałem zrozumienie. Wiele osób bez zastrzeżeń inicjatywę tę poparło. Gdy przyszło jednak do konkretów paru kolegów, na których bardzo liczyliśmy, mimo początkowego poparcia wycofało się, przypuszczalnie ze strachu. Wolało poczekać i zobaczyć, jakie będą reakcje władz.

Działalność ta napotkała również na kontrakcję przeciwników. Jednym z nich był dr Henryk Tomczyk. Najpierw wyciągał od nas informacje mówiąc, że jest sam zainteresowany powstaniem Koła. Następnie zwracał się do wszystkich osób, z którymi rozmawialiśmy, by nie poparli tej inicjatywy. Wymyślił taką teorię, że za tym stoi wicedyrektor IG, Jan Czermiński, którego nie lubił. Tłumaczył, że w ten sposób chce umocnić swoją nadwątloną pozycję. Czermiński był porządnym człowiekiem i wymuszonym członkiem partii. Takie rozsiewane wiadomości mogły być dla niego groźne i mieć przykre następstwa. Pierwszym przewodniczącym Koła wybrany został doc. Henryk Pendias i on powiadomił dyrektora o powyższym fakcie.

Czermiński zareagował; musiał się bronić. Poprosił Tomczyka do Działu Kadr. Tam w obecności kierowniczkii personalnej, Wandy Krzemppek, przedstawiciela egzekutywy i powołanych świadków w osobach prof. Sylwestra Marka i Stanisława Tyskiego zapytał się o źródła informacji, które rozgłasza. Tomczyk, który chciał być uważany za patriotę-opozycjonistę, zaczął się mętnie tłumaczyć. Słyszał, lecz nie może powtórzyć od kogo. Wie natomiast, że kierownik Zakładu, doc. Stefan Cieśliński, agituje przeciwko partii i on tego nie mógł znieść. Kierowniczka kadr, Wanda Krzempkova, również członek PZPR, zapytała się: „Czy Panu nie jest wstyd tak oskarżać kolegę?” Incydent ten mógł i dla mnie mieć przykre następstwa. Sprawa zakończyła się wpisaniem uwag do akt personalnych Tomczyka. Rozeszło się to szeroko po Instytucie świadcząc o moralności niektórych osób.

To był dopiero początek problemów. Zaczęła się awantura o powstanie Koła SD. Sekretarz partii potraktował powstanie Koła jako osobistą znie-

wagę. Zaczęły się szykany. Gwałtownie szukał pretekstu, by Stronnictwo skompromitować. Pendiasowi sekretarka odmówiła pracy. Nie mógł jej zwolnić, gdyż sekretarz wziął ją w obronę. Ostentacyjnie czytała gazety w pracy i nie przyjmowała nawet telefonów. Napuszczano różne komisje na Zakłady, których kierownicy nie byli członkami partii. W Petrografii doczepiono się elektrod, które nie miały rachunków. Były one kupione za własne pieniądze przez Pendiasa. Nie mógł bowiem latami doprosić się ich kupna, a były potrzebne do prac planowych. Sekretarzowi nic nie można było wtedy zrobić. Pierwsi Sekretarze nie podlegali władzy dyrekcji i odpowiadali tylko przed partią. Przekonał się o tym na własnej skórze nawet Dyrektor Naczelny Instytutu, prof. Edward Rühle.

W 1968 r. odbył się Międzynarodowy Kongres Geologiczny w Pradze Czeskiej. Został on jednak przerwany przez wkroczenie wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji. Obecni na kongresie uczestnicy, wśród których i ja byłem, przeżyliśmy tam dramatyczne chwile. Po powrocie do Polski nakazano nam, by nasze wypowiedzi dotyczące zająć w Pradze nie odbiegały od linii partii. Wiedząc, czym to grozi, nikt publicznie na ten temat nie bierał głosu. Okazało się jednak, że Sekretarz w Komitecie Dzielnicowym partii złożył doniesienie. Poinformował, że przewodniczący koła SD i zarazem kierownik Zakładu wypowiadał się krytycznie na temat tych zdarzeń. Publicznie skrytykował politykę partii i Rządu. Z odpowiedzią nie trzeba było długo czekać. Komitet Dzielnicowy PZPR wystosował pismo do Dyrekcji IG i SD, jak tacy ludzie, wrogowie ustroju, mogą pełnić funkcje kierownicze i polityczne. Zażądano, by wyciągnięto konsekwencje służbowe. Zawrzało. Los Pendiasa wydawał się przesądzony.

Gdyby był sam, to na pewno by się to dla niego źle skończyło. Odwołał się jednak do władz SD. Zaprzeczył, by zabierał na zebraniu głos w tej sprawie. Powołał licznych świadków. Stronnictwo również zareagowało. Znało już wiele takich przypadków. Przydzieliło Henrykowi adwokata, by wystąpił na drogę sądową. Oficjalnie zażądano konfrontacji. Biernat widząc, że to nie przelewki, zaczął się wycofywać. Za późno jednak. Były już dokumenty. Nic tak nie plami, jak atrament. Nacisk Stronnictwa spowodował, że skompromitowanego sekretarza zabrano z Instytutu. Wszyscy, łącznie z Dyrekcją, odetchnęli z ulgą. Z następnymi Sekretarzami stosunki układały się już poprawnie. Zaczęto się z nami liczyć. Zakończył się okres konfrontacji. Partia wiedziała, że nie jesteśmy sami i o to nam właśnie chodziło.

Jednym z osiągnięć SD było zaproszenie do Instytutu wicepremiera prof. Edwarda Kowalczyka, który był przedstawicielem Stronnictwa Demo-

kratycznego w rządzie generała Jaruzelskiego. W tym zebraniu wzięła udział Dyrekcja IG, Prezes CUG i szereg zaproszonych gości. Ja byłem w tym czasie przewodniczącym Koła Stronnictwa w Instytucie i prowadziłem spotkanie. Efektem jego było otrzymanie przez Instytut dodatkowych przydziałów reglamentowanej wtedy benzyny, tak potrzebnej do prac geologicznych. Świadczy to o tym, że działania takie i kontakty na wysokim szczeblu były potrzebne.



Instytut Geologiczny, 1984, Wizyta Wicepremiera Kowalczyka, Od lewej: Stefan Cieśliński, Waclaw Ryka, Stanisław Pawłowski, Edward Kowalczyk, Wiceprezes CUG Jan Żytka, Edward Rühle.

W okresie tym na prośbę SD zgodziłem się być ławnikiem w sądach karnych. Jednak po jednej ze spraw o gwałt zbiorowy zrezygnowałem z tej społecznej funkcji. Byłem przeciwny karze 15 lat więzienia za problematyczny gwałt, o który oskarżano 3 młodych chłopaków. Była to kara za przewinienie, które można było podciągnąć raczej pod chuligaństwo. Powódka sama zaczęła tych nieznanym, problematycznych gwałtocieli i poszła z nimi późnym wieczorem do pustego mieszkania, by się tam zabawić. Nikt ją tam siłą nie ciągnął. Sędzia i drugi ławnik byli za karą 15 lat, a ja za maksimum 0,5 roku. Jak się wtedy zorientowałem, kary często zależą nie od stopnia winy, tylko od innych czynników. Takich, jak na przykład,

posiadanie córek w rodzinie czy awantura w domu. Na zakończenie tej trzydniowej sprawy nie chciałem się pod tym wyrokiem podpisać. Wypisałem tylko votum separatum i zrezygnowałem z udziału w sądach karnych. Zgodziłem się natomiast na zasiadanie w sądach penitencjarnych. Dzięki temu mogłem poznać wszystkie warszawskie więzienia, w których toczyły się sprawy. To było bardziej ciekawe.



Instytut Geologiczny, 1984, Wizyta Wicepremiera Edwarda Kowalczyka. Od lewej: Jędrzej Pokorski, Wojciech Brochwicz-Lewiński, Hanna Chylińska, S. Cieśliński, Waclaw Ryka.

Sprawa Belchatowa

Mogę się pochwalić, że zrobiliśmy bardzo dużo w okresie, w którym kierowałem Zakładem. Opracowaliśmy dziesiątki tysięcy ekspertyz stratygraficznych z prowadzonych przez Instytut wierceń. Wykonano pierwsze w świecie atlasy paleogeograficzne Polski, od prekambriu, do czwartorzędu. Uruchomiono najbardziej prestiżowe wydanie syntezy budowy geologicznej Polski. Wydawnictwu temu poświęciłem osobny rozdział pamiętników „Budowa Geologiczna Polski”. Opracowano ponadto szereg monografii paleontologicznych oraz opracowań regionalnych. Zakład Stratygrafii należał do wiodących w Instytucie.

Na tle tych zajęć należy też wspomnieć sprawę Belchatowa. Temat ten ze względu na swoją rangę odegrał ważną rolę w historii Zakładu. Był przez wiele lat jednym z priorytetowych tematów. Miał on następujący przebieg. Pierwszych danych, które stwierdziły istnienie grubych pokładów węgla brunatnych w rejonie Szczercowa-Belchatowa, dostarczyły prace poszukiwawcze za fosforytami /w strefie B/. Natknąłem się na nie prowadząc tam wiercenia kartujące wzdłuż granicy jury i kredy. Celem ich było wyznaczenie zasięgu wychodni albu fosforytonośnego. O fakcie tym złożyłem pisemny raport. Nie wywołało to jednak w tym czasie większego zainteresowania. Dopiero powtórne odkrycie, dokonane przez wiercenia Przemysłu Naftowego (wiercenie Belchatów), spowodowało rozpoczęcie prac dokumentacyjnych. Stwierdzono występowanie pod dość grubym czwartorzędem pokładów węgla miocenijskich o miąższościach przekraczających 60 m. Złoże zostało zakwalifikowane do największych w Polsce. Zapadła decyzja budowy kopalni i zakładu energetycznego.

Dokumentację wykonało Przedsiębiorstwo Geologiczne we Wrocławiu. Została ona następnie przekazana inwestorowi - Ministerstwu Energetyki. Przystąpiono do budowy kopalni. Kopie dokumentacji przekazano Centralnemu Urzędowi Geologii do dalszego ich wykorzystania. CUG po zapoznaniu się z wynikami, postanowił zlecić Instytutowi Geologicznemu wszechstronne opracowanie całości materiałów geologicznych. Zdawano sobie sprawę, że Przedsiębiorstwo nie było w stanie w pełni ich wykorzystać. Nie miało bowiem odpowiedniej kadry fachowej, ani czasu na wszechstronne opracowanie setek wykonanych wierceń. W Instytucie powołano specjalny zespół. Koordynatorem tych prac został wyznaczony prof. Józef Bażyński. Rozdzielił on zadania na poszczególne Zakłady Instytutu.

Zostałem zaproszony do współpracy. Zakładowi Stratygrafii powierzono wykonanie szczegółowej mapy geologicznej stropu mezozoiku. Początkowo zadanie to wydawało mi się bardzo proste. Miałem do dyspozycji pełną dokumentację. Profile opracowanych otworów wiertniczych. Tylko sprawdzić i ewentualnie poprawić oparte na tych materiałach interpretacje. Okazało się jednak, że to nie jest możliwe. Przedstawiana w dokumentacji mapa była nie do przyjęcia. W oparciu o profile wierceń próbowaliśmy jeszcze raz całość materiałów zestawzić. Było to znowu niemożliwe. Gdzieś tkwiły błędy. By je znaleźć trzeba było na nowo sięgnąć do rdzeni wiertniczych i sprawdzić, czy są one stratygraficznie dobrze opracowane.



Instytut Geologiczny, odznaczenia, 1985. Od lewej: Jadwiga Orska, Jadwiga Dembowska, Stefan Cieśliński, Józef Bażyński, Borys Areń

Pojechałem w teren. Materiały wiertnicze znajdowały się w wynajętych 8 stodółach w Kleszczowie koło Szczercowa. Skrzynie poukładane były aż po same dachy. W każdej ze stodół złożone było wiele dziesiątków wierceń, czyli razem tysiące skrzynek. Bez rozebrania całości składowanych tam materiałów nie można było marzyć o dalszych pracach. Trzeba było wynająć robotników, ich ubezpieczyć i zacząć rozbiórkę zawartości stodół. Na to trzeba było dużych pieniędzy. Nadzór zleciłem energicznemu Piotrusiowi Oselce, który się z tego zadania świetnie wywiązał. Każda ze skrzynek musiała być otworzona, by sprawdzić jej zawartość. Osady młodsze były odkładane i przekazywane Zakładom Czwartorzędu i Węgla Brunatnych. Dla nas pozostawiano tylko skrzynki z rdzeniami podłoża. Ustawiane były głębokościami i przygotowane do dalszych opracowań.

Po zakończeniu tych żmudnych prac przygotowawczych ściągnąłem w teren wszystkich specjalistów Zakładu Stratygrafii zajmujących się osadami mezozoiku. Materiały zostały na nowo fachowo opracowane. Wyniki okazały się różne w stosunku do otrzymanych z dokumentacji. Stało się wtedy jasne, dlaczego nie można było ich razem zestawić. Dopiero po opracowaniu rdzeni wiertniczych można było przystąpić do końcowego opracowania. Błąd tkwił w tym, że Przedsiębiorstwo często zlecało niespecjalistom próby

do opracowań stratygrafii. Za pieniądze podejmowali się wykonania ekspertyz pracownicy o innych specjalnościach. Miałem w tej sprawie przykrą rozmowę z jednym z wykonawców, pracownikiem Uniwersytetu Wrocławskiego. Tłumaczył się, że jak są zlecenia, to się bierze. Uczelniom bardzo źle płacą, a sprawa ekspertyz wydaje się mało skomplikowana. Wyłapanie błędów bez ponownego sprawdzenia rdzeni wiertniczych jest praktycznie niemożliwe. Niestety, tu się pomylił. Nie byłem tym zbudowany.

Podczas tych prac w otworze „Dębina” niespodziewanie stwierdzono anhydryty, nieznane wcześniej z tego regionu. Po licznych dyskusjach i konsultacjach osady te, nie mające dokumentacji paleontologicznej, zaliczone zostały do cechsztynu. Występowały one wśród osadów mezozoicznych, w miejscu, gdzie utwory takie nie są znane. Ich obecność mogła wskazywać na wysad solny. Wywiązała się dyskusja dotycząca ich wieku. Szczególnie emocjonalnie związała się z tym problemem dr Zofia Dąbrowska. Sprawa ta miała podstawowe znaczenie dla losów budującej się kopalni. Należało to koniecznie wyjaśnić. Dochodziło do ostrych spięć z przeciwnikami tej koncepcji. Silna opozycja wykluczała ich permski wiek. Uważano, że Belchatów leży poza strefą zasięgu basenu cechsztynu. Sugerowano natomiast ich wiek jako kajprowy, czyli znacznie młodszy. Takie ich położenie nie byłoby niebezpieczne dla złoża węgla brunatnych.



Zofia Dąbrowska i Stefan Cieśliński, 1970 r.

Zaproponowałem wykonanie w Dębiniu otworu, który definitywnie wyjaśniłby tę sprawę. Powołana komisja odmówiła przyznania pieniędzy na to wiercenie. Argumenty przeciwników stwierdzały, że wiercenie tam jest niepotrzebne, gdyż sprawa jest już jasna. W związku z tym Główny Koordynator zlecił, by w końcowym opracowaniu nie wykazywać na mapie osadów cechsztyńskich. Zabronił w tekście o nich pisać i umieszczać na przekrojach. Argumentował, że jest to niemożliwe i że Instytut nie będzie się kompromitować. Nasze sugestie wymagałyby dodatkowych robót i potrzebę przebudowy planów przyszłej kopalni.

Ja na to nie wyraziłem zgody. Nie poszedłem na żaden kompromis. W związku z tym Koordynator polecił mi oddać całość materiałów dotyczących złoża Belchatów. Materiały te, już przez nas skorygowane, przejął do ponownej interpretacji dr Sebastian Biernat. Wykonał to, czego od niego żądano. Takim stanowiskiem byłem obrażony i postanowiłem wycofać cały nasz zespół z powyższego tematu. Postanowiliśmy jednak nasze odmienne wnioski opublikować w Kwartalniku Geologicznym. Do tego mieliśmy prawo. Tak też zostało zrobione.

Po paru latach sprawa ta na nowo stała się aktualna. Podczas budowy kopalni jedno z wierceń hydrogeologicznych nawierciło w rejonie Dębiny sól pod anhydrytami. Dla nas nie było to zaskoczeniem. Byliśmy tego pewni. Dla budującej się kopalni była to jednak klęska. W centrum złoża, bardzo płytko, występował wysad solny. Jego obecność mogła uniemożliwić eksploatację i wykorzystanie energetyczne surowca. Obecność soli w węglach zniszczy każdy piec. Powołano specjalną komisję. Dyrektor Przedsiębiorstwa poddany był ostrej krytyce. Tłumaczył się, że wyniki takie dostał z Instytutu. To była prawda. Pokazano mu jednak i naszą publikację. Powiedziano, że po to robione są dokumentacje, by wszystko dokładnie wyjaśnić. Szczególnie, jak są tak rozbieżne poglądy. Prezes CUG oficjalnie podziękował mi i naszemu zespołowi. Powiedział: „Uratowaliście honor Instytutu”. Przeciwnicy tej koncepcji, jak i Koordynator, nie zostali na tę konferencję nawet zaproszeni.

Naszemu zespołowi zlecono ponowne opracowanie geologii rowu Belchatowa, ze szczegółowym zwróceniem uwagi na wysad solny. W chwale wróciliśmy do przerwane go tematu. Był on bardzo pasjonujący. Okazało się, że wysad ten jest najpłytszym w Polsce. Zmusił do przepracowania na nowo planów kopalnianych, w tym wydzielenia wielkiego filaru ochronnego, uniemożliwiającego dostanie się solanek do złoża. Niesprawdzenie naszej koncepcji spowodowało opóźnienie budowy kopalni o prawie 20 lat.

Dalsze opracowanie geologii wysadu musiało oprzeć się tylko na płytkich wierceniach hydrogeologicznych i na geofizyce. Głębsze wiercenia groziły uczynieniem wód podziemnych i zasoleniem złoża. Były koncepcje prof. Edwarda Ciuka, by wysad ten rozpoznać szeregiem głębszych otworów. Skutecznie temu się przeciwstawiliśmy. Przez wiele lat Zakład Stratygrafii opracowywał dane geologiczne i miał nadzór nad całością prac. Dało nam to dużą satysfakcję.

W okresie tym bardzo często byłem wzywany na głębokie wiercenia. Stale też zwracano się do mnie z próbami, wymagającymi wyjaśnień. Miałem nadzór nad różnymi opracowaniami, a szczególnie kartograficznymi. Tu szczególnie dużo zrobiłem dla rejonu lubelskiego. Wypowiadałem się i na takie tematy, jak np. poszukiwania wód oligoceńskich dla Bydgoszczy. Bardzo dużo zajmowały mi prace administracyjne. Nosilem się ciągle z zamiarem rezygnacji z funkcji kierowniczych. Jeśli tak długo je pełniłem, to wiązało się tylko ze sprawami finansowymi. Samo kierownictwo nie dało mi żadnej satysfakcji.

RWPG /Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej/

Niezależnie od prac planowych prowadziłem jeszcze tematy RWPG, związane z ujednoczeniem podziałów stratygraficznych w krajach wspólnoty socjalistycznej. W związku z tym miałem częste wyjazdy na różne konferencje, głównie do ZSRR i NRD. Równoległe Zakład z mojej inicjatywy prowadził również temat wspólnie z Instytutem Geologicznym w Berlinie. Celem jego było opracowanie wspólnych reperów stratygraficznych między naszymi krajami. Dzięki temu uzyskane wyniki mogły być w pełni porównywalne.

Podczas jednego z takich roboczych wyjazdów do Moskwy miałem bardzo przykre zdarzenie. Wyjazd był krótki, tygodniowy i leciałem sam. Na lotnisku czekał na mnie prof. Sazonow. Wiedziałem, że jest filatelistą. W prezencie wiozłem dla niego szereg nowych polskich znaczków pocztowych. Jeszcze na lotnisku mu je wręczyłem. Następnego dnia, odwiózł mi je z powrotem. Okazało się, że je już miał. Było mi nieprzyjemnie. Jak można oddać prezent? Jeśli znaczki są niepotrzebne, to niech komuś je da, a nie zwraca. Oddając znaczki wyjął 30 rubli i mi je wręcza. Pytam się: „Co to takiego?” Chciał, bym je wziął, a oddał mu równowartość w Polsce. Za parę tygodni jedzie do Warszawy i chce pochodzić po sklepach filatelistycznych. Złotówki będą mu więc potrzebne. Nie lubię takich sytuacji, szczególnie

w Rosji. Nie miałem jednak wyjścia. Sazonow był bardzo niesympatyczny i mało komunikatywny. Trudno się było z nim w takich sprawach dogadać.

Do opieki w Moskwie wyznaczył mi swoją asystentkę, Kotową. Ona ułatwiała mi wszystkie potrzebne zawodowe kontakty. Po pracy chodziła ze mną po Moskwie. Zwykle zabierałem ją do jakiejś dobrej restauracji na obiad. Naturalnie, ja wszystko płaciłem. Któregoś dnia zapytała się, czy nie potrzebuję pieniędzy, bo tak na nią dużo wydaję. Gotowa jest mi pożyczyć. Podziękowałem i oświadczyłem, że pieniądze mam. Nie mam zamiaru nic tu kupować, a oprócz diet dostałem pożyczkę od Sazonowa. Mam ją zwrócić przy okazji jego pobytu w Polsce. Na to ona wpadła we wściekłość.

Zaczęła opowiadać, kto to jest Sazonow i jaki to jest zły człowiek. Jak była chora i prosiła, by ją wcześniej puścił do domu, to na złość zatrzymał ją po pracy i nie dał nic do roboty. Wypożyczał książki na jej rewersy, gdyż biblioteka mu ich nie dawała. Miał zablokowane konto, bo ich nie zwracał. Jak ją zaczęto szarpać, wtedy domagała się od niego zwrotu. Podobno złapał w wściekłości książkę i w nią rzucił. Takich opowieści o jej szefie usłyszałem bardzo wiele. Widać było, że go wprost nienawidzi. Zresztą, trudno było go lubić. Były to ich sprawy, do których ja nic nie miałem. Nie przypuszczałem jednak, że Kotowa i mnie wykorzysta do wewnętrznych rozgrywek.

Po moim wyjeździe z Moskwy odczekała, aż Sazonow pojedzie do Warszawy i odbierze pieniądze. Wtedy zrobiła aferę na wielką skalę. Oskarżyła go o dewizowe spekulacje. Było to w tym czasie przestępstwo. Zdjęto go ze stanowiska i zabroniono wszelkich kontaktów z cudzoziemcami. Dowiedziałem się o tym grubo po fakcie. Było mi głupio. Więcej się z nim już nie spotkałem. Kotowa, mimo dużej sympatii do mnie, bardziej jego nienawidziła. Nie zawahała się, by ten nieznaczący incydent wykorzystać. Dostałem od niej list z wyjaśnieniami, na który nie odpisałem. Zrobiła jemu i mnie wyjątkowe świństwo. Takie to były czasy, że każde mało znaczące słowo mogło mieć tragiczne następstwa.

„Budowa Geologiczna Polski” - 40 lat historii

Do jednej z najbardziej spektakularnych serii wydawnictw, firmowanych przez Państwowy Instytut Geologiczny, należy „Budowa Geologiczna Polski”. Jest to pierwsze monograficzne opracowanie na tak wielką skalę, w którego realizacji brało udział kilkuset specjalistów. Seria ta przetłumaczona w całości na język angielski, znana jest szeroko w świecie. Historia jej powstania jest tyle ciekawa, że warto, by nie uległa zapomnieniu.

Od samego początku uczestniczyłem w pracach przygotowawczych tej wielkiej monografii, miałem wpływ na jej układ i treść. Dziś już nikt nie pamięta, kto był inicjatorem. Kto nadał taki kształt. Dlaczego zamiast planowanych paru lat serię tę realizowano lat kilkadziesiąt. Kto zabiegał o jej opracowanie, a kto był przeciwny. Pamięć ludzka jest ulotna i za parę lat kulisy powstania tego wydawnictwa będą już nie do odtworzenia. Znając całą problematykę starałem się w miarę obiektywnie i bez przemilczeń przedstawić poniżej wszystko, co o tej sprawie wiem. Niestety, historii tej serii nie da się przedstawić anonimowo, bez wymienienia nazwisk, zarówno głównych konstruktorów, jak i oponentów. Większość z tych osób już nie żyje. To, co tu wspominam, jest już tylko przeszłością.

Inicjatorem opracowania „Budowy Geologicznej Polski” był dyrektor Instytutu, prof. Edward Rühle. Wydawnictwo pomyślane było jako jubileuszowe z okazji dwudziestolecia PRL. Profesor inicjując to przedsięwzięcie nie przypuszczał, że zamierzona na dwa lata realizacja tego pomysłu trwać będzie ponad lat 40, że napotka tak wiele emocji i trudności. Nie sądził też, że dzieło to przybierze inną formę i redagowane będzie przez inny zespół, niż to pierwotnie zaplanował.

W dniu 3. XII. 1962 r. prof. E. Rühle powołał zespół redakcyjny „Budowy Geologicznej Polski”. Na pierwszym spotkaniu zakomunikował, że ma być to wydanie specjalne, podkreślające cały dorobek powojennego dwudziestolecia. W związku z tym potrzebny jest szczególny pośpiech. Poinformował, że opracowanie ma składać się z szeregu niezależnych części, redagowanych przez zespół redaktorów działowych, na których powołani zostali:

- I - Stratygrafia - S. Cieśliński i Jan Czermiński.
- II - Tektonika - Jerzy Znosko.
- III - Petrografia - Antoni Łaszkiewicz.
- IV - Geologia Złóż - Eugeniusz Wutcen.
- V - Geologia Inżynierska - Jan Malinowski.
- VI - Hydrogeologia - Cyryl Kolago.

Na Redaktora Naczelnego całości wyznaczony został prof. Stanisław Sołowski. Prof. E. Rühle zobowiązał powołanych redaktorów działowych do przygotowania w ciągu dwóch tygodni założeń i przedstawienia ich Redaktorowi Naczelnemu do akceptacji. Wyzaczył też termin zebrania całości materiałów na 30 czerwca 1963 r. Od tego momentu przestał w wydawnictwo to ingerować.

W dniu 15 grudnia 1962 r. odbyło się pierwsze posiedzenie nowo powołanej redakcji. Uczestnicy oświadczyli, że w tak krótkim czasie realizacja tego planu jest niemożliwa. Następne zebranie odbyło się 8 stycznia 1963 r. Przedstawiony na nim został jedynie opracowany przeze mnie konspekt części stratygraficznej, który stał się przedmiotem ogólnej dyskusji. Na nowo wrócono do nierealności terminów przekazania materiałów na czerwiec. Było to ostatnie spotkanie całego zespołu. Wyznaczeni redaktorzy działowi, nie widząc możliwości realizacji zadań, z góry założyli, że pomysł upadnie i przestali się nim interesować.

Z powołanych zespołów redakcyjnych jedynie „Stratygrafia” przystąpiła do pracy zgodnie z przewidzianym planem. Na wstępie naszych spotkań zaproponowałem, że skoro „Budowa Geologiczna Polski” ma być opracowaniem monograficznym, musi być realizowana przez znacznie większy zespół, niż przewidywały pierwotne założenia. Wspólnie ustaliliśmy, że większość materiałów autorskich winna zamknąć się w granicach od 0,5 do 2 arkuszy wydawniczych. W pracach tych powinni uczestniczyć najważniejsi specjaliści aktualnie zajmujący się tą tematyką. Do końca stycznia 1963 r. wszyscy zainteresowani otrzymali szczegółowe konspekty. Z oporami zgodzili się na termin oddania do dnia 30 czerwca 1963 r. Stawiali jeden warunek, że przygotowane rozdziały będą firmowane nazwiskami. Od połowy maja zaczęły napływać pierwsze opracowania. Wydawało się, że najgorsze jest poza nami. Niestety, to był dopiero początek kłopotów.

W dniu 15 czerwca 1963 r. odbyło się burzliwe posiedzenie Rady Naukowej Instytutu. W trakcie obrad prof. Edward Passendorfer wyraził zaniepokojenie, związane z planami wydania „Budowy Geologicznej Polski”. Pomysł ten wydał mu się nieuzasadniony, skoro Polskie Towarzystwo Geologiczne drukuje „Regionalną Geologię Polski”, rzecz, jak sądził, bardzo podobną i ma z nią duże kłopoty w związku z brakiem materiałów. Przewodniczący Rady, prof. Marian Kamiński, poparł stanowisko przedmówcy. Wyraził opinię, że Rada o takich planach wydawniczych winna być wcześniej poinformowana. Prof. W. Pożaryski zaproponował, że skoro PTG ma kłopoty z wydawaniem „Regionalnej Geologii Polski”, to w Instytucie są przygotowane materiały „Pierwszego etapu badań Niżu”, które można w wydawnictwie tym wydrukować. Nie znalazło to jednak poparcia Rady. Więc nie o to chodziło.

Prof. S. Sokołowski, nie zdając sobie sprawy z ambicjonalnych ataków na plany wydawnicze Instytutu i kłopotliwej sytuacji prof. E. Rühlego, szczegółowo scharakteryzował projekt publikacji i jej prestiżowe dla Insty-

tutu znaczenie. Wywołało to nową ostrą reakcję przeciwników. Podkreślano, że tego typu publikacje winny mieć ogólnopństwowy charakter, a nie tylko jednej instytucji. Prof. M. Kamieński przypomniał, że wiele prac, a szczególnie surowcowe, nie może być wydane jako jawne. Dlatego przygotowanie nowych tomów, poza „Regionalną Geologią Polski” PTG wydaje się niecelowe. Będzie to karygodnym marnowaniem państwowych pieniędzy. Wspomniał, że „Geologia Złóż” prof. Romana Krajewskiego została w całości utajniona. Następnie oświadczył, że takie postępowanie jest bardzo niebezpieczne dla Instytutu. Oznacza rozrzutną gospodarkę wydawniczą, bo przygotowuje się prace, które nie mogą być wydane, albo drukuje się kilkakrotnie te same materiały. Wspomniał też, że pewno wypłaca się za to samo pieniądze. Jeśli okaże się to prawdą, Profesor sam zawiadomi o tym Naczelną Izbę Kontroli.

W odpowiedzi prof. R. Osika oświadczył, że nowe publikacje nie są powielaniem tych samych prac. Stale przybywają nowe materiały, z którymi trzeba ogół geologów zapoznawać. Odkładanie druku na przyszłość niczemu dobremu nie służy. W trakcie dyskusji prof. A. Łaszkiwicz zaproponował, by plany wydawnictw uzgodnić najpierw z cenzurą. Dopiero po uzyskaniu jej zgody należy przygotowywać materiały do druku. Dodał, że publikacje tylko wtedy spełniają swoje zadanie, gdy są jawne. Prof. E. Rühle wyraził gotowość zapoznania Rady z planami wydawniczymi. Oświadczył, że plany realizowane są zgodnie ze statutem Instytutu. Celowość polityki wydawniczej nie była dotąd kwestionowana, a osiągnięcia oceniane były pozytywnie. Na zakończenie posiedzenia Rada Naukowa na wniosek przewodniczącego zaleciła wstrzymanie wszelkich nakładów finansowych na publikację „Budowy Geologicznej Polski”.

Po tym przykrym incydencie zostałem zaproszony przez prof. E. Rühlego. Oświadczył on, że jest niezadowolony z działalności mojej jako redaktora. Chodziło o wprowadzenie do opracowania za dużej ilości autorów, za co ja odpowiadałem. W związku z tym sprawa publikacji została nadmiernie nagłośniona. Następnie oświadczył, że Rada Naukowa zaleciła wstrzymanie na ten cel wszelkich nakładów finansowych. Dlatego należy również wstrzymać rozpoczęte prace. Sprawa stała się dla mnie bardzo skomplikowana. To ja prowadziłem wszelkie rozmowy z autorami i ja za nie odpowiadałem. Wpłynęło już dużo materiałów opracowanych na zamówienie. Co z tym robić? Odesłać autorom? Będą słuszne pretensje i to do mnie. Wiadomość o decyzji Rady wpłynęła demobilizująco na wszystkich,

a szczególnie na tych, którzy nie przystąpili do pracy. Śmiali się i mówili: „Wiedzieliśmy, że z tego nic nie będzie.”

W dniu 30 lipca 1963 r. zwróciłem się do prof. E. Rühlego, by nie przerywać prac rozpoczętych nad „Budową Geologiczną Polski”. Poparł mnie w tym wicedyrektor, doc. Jan Czermiński. Profesor po długim namyśle, analizując powstałą sytuację, zgodził się na takie rozwiązanie. Nakazał jednak prowadzić to dyskretnie i upozorować, że jest to inicjatywa oddolna, a nie nakaz z góry. Mając zgodę Dyrektora, pod koniec września 1963 r. z wielkim wysiłkiem zgromadziłem nareszcie całość materiałów dotyczących prekambriu i paleozoiku. Wymagały one jednak dalszego fachowego redakcyjnego opracowania. Mgr Roman Żyłka, kierownik Zakładu Publikacji, chciał przekazać je Wydawnictwom Geologicznym do dalszej obróbki. Na taką propozycję prof. E. Rühle nie wyraził zgody, nakazując przeprowadzenie całości prac redakcyjnych w Instytucie. Nie chciał brać żadnych zobowiązań finansowych, zgodnie z uchwałą Rady Naukowej. Nawet nie zezwolił na zawarcie umów dotyczących przepisywania tekstów na maszynie. Co musieliśmy zrobić we własnym zakresie, czyli samemu.

Od początku października 1963 r. przystąpiiliśmy wspólnie z autorami do prac redakcyjnych. W pierwszym okresie bardzo pomogła nam red. Maria Tyska. Przeciągający się termin zakończenia, krytyczne wypowiedzi osób nieprzychylnie nastawionych do wydawnictwa i osobiste interwencje, bardzo utrudniały pracę. Wielu autorów zwracało się do mnie o zawarcie umów wydawniczych, co mogło być gwarancją, że ich wysiłek nie poszedł na marne. Niestety, przed zakończeniem prac żądań tych nie można było spełnić. Dodatkowe kłopoty sprawiał nam Redaktor Naczelny, Stanisław Sokołowski. Profesor, po niedomaganiach zdrowotnych z początków lat pięćdziesiątych, nie był już zdolny do tego typu działalności, brakowało mu koncentracji. Nie brał udziału w spotkaniach i dyskusjach problemowych.

Pierwszy etap prac, tom „Prekambry i paleozoik”, opracowany przez 32 autorów, został zakończony w październiku 1964 r. Całość przepisana na czysto oddana została Redaktorowi Naczelnemu i u niego utknęła. W związku z tym miałem wiele przykrości od autorów, że niezbyt energicznie działałem. Nie mogąc się doczekać zwrotu, mimo ciągłych monitów, prosilem prof. E. Rühle o interwencję. Profesor zobowiązał Redaktora Naczelnego, by do dnia 30 czerwca 1965 r. zakończył czytanie i podpisał pierwszy tom do druku. Niestety, termin ten również nie został dotrzymany. Prof. Sokołowski był ciągle na etapie czytania wstępu. Do końca 1966 r., mimo licznych interwencji, sprawa nie posunęła się nawet o krok do przodu.

W związku z napływem coraz to nowych materiałów autorzy zmuszeni byli przerabiać napisane już teksty. Pretensje za brak postępu kierowane były głównie do mnie. Prof. E. Rühle wreszcie zdecydował. Nie ma innego wyjścia, trzeba drukować pracę bez podpisu Redaktora Naczelnego. Sprawa była bezprecedensowa. Obowiązywały przepisy wymagające oddania do druku pierwszego egzemplarza, a ten był u prof. S. Sokołowskiego w domu. Profesor zapowiadał, że bez generalnych przeróbek pracy tej nie puści. Nie było innego sposobu. Pod pretekstem wprowadzenia uzupełnień, korzystając z wyjścia profesora z pokoju do łazienki, wymienilem bez jego wiedzy egzemplarze. Ślady przeróbek redakcyjnych widoczne były tylko we wstępie.



Wręczenie Nagrody I Stopnia za Budowę Geologiczną Polski przez ministra Kamińskiego, 1990 r. Od lewej: Bronisław Kamiński, Olga Styk, Leon Karzewski, Lidia Malinowska, Teresa Marcinkiewicz, Stefan Cieśliński, E.

Bieda

Od tego momentu sprawa edycji „Budowy” zaczęła posuwać się szybko naprzód. W zastępstwie Redaktora Naczelnego zgodę na druk podpisał Jan Czermiński. Redaktorem z ramienia IG została mgr. Barbara Słowańska, a Wydawnictwo - Wanda Rühle. Pierwszy tom został oddany do składu 13

marca 1967 r. Rękopis do druku akceptował, w zastępstwie Dyrektora IG, już bez sprzeciwu, prof. S. Sokołowski. Druk zakończono w czerwcu 1968 r.

Po ukazaniu się pierwszego tomu wiadomo było, że „Budowa Geologiczna Polski” będzie kontynuowana. Wydawnictwo zaczęło żyć własnym życiem. Spowodowało szerokie zainteresowanie geologów. Zwracano się do mnie o informacje. Wspólnie z dyr. J. Czerwińskim ustaliliśmy, że zakres „Budowy Geologicznej Polski” należy rozszerzyć o inne działy, nie przewidziane w pierwotnych założeniach. Tak, z mojej inicjatywy, w Zakładzie Stratygrafii powstał program wydania Katalogu Skamieniałości, którego założenia opracował dr L. Karczewski. Równocześnie dojrzewał projekt osobnej serii paleontologicznej, pod nazwą „Atlasu skamieniałości przewodnich i charakterystycznych.” Redakcji i układu podjęła się doc. Lidia Malinowska. Seria ta została wyróżniona prestiżową nagrodą Ministra Ochrony Środowiska. W programie była i „Paleoklimatologia”, która nie doczekała się realizacji, oraz „Petrografia”, na którą zbyt późno się zdecydowano.

Następny tom „Stratygrafii” – „Mezozoik” ukazał się w 1973 r. Po wydrukowaniu 2 tomów mogło się wydawać, że nic już nie stanie na przeszkodzie wydaniu całości. Było to tym bardziej prawdopodobne, że równoległe z przygotowywanymi pierwszymi tomami napływały materiały do ostatniej części. Jednak rzeczywistość okazała się inna, niż przypuszczano. Już we wstępnych rozmowach dotyczących tomu „Kenozoik” zaczęły się ujawniać kłopoty. Środowisko geologów zajmujące się stratygrafią trzeciorzędu było bardzo z sobą skłócone, jeśli chodzi o poglądy. W sprawach Zapadliska Przedkarpackiego udało się osiągnąć pewien kompromis. Sądziłem, że najgorsze jest poza nami. Niestety, osobny problem stanowił trzeciorząd Niżu Polskiego. Osobą, która usiłowała zdominować i narzucić innym swoje racje, był prof. Edward Ciuk, specjalista od węgla brunatnych. Trudno było go pominąć przy opracowaniu trzeciorzędu. Nie akceptował on poglądów, a nawet faktów (np. wyników analiz mikropaleontologicznych), które nie zgadzały się z jego koncepcjami.

Już przy wstępnych rozmowach chciał całą część – „Trzeciorząd Niżu” - napisać sam, bez udziału nawet najbliższych współpracowników. Było to nie do przyjęcia. Po długich i burzliwych rozmowach zgodził się wreszcie przygotować opracowanie zgodne z przedłożonym konspektem i zaakceptował wyznaczone terminy. Do końca 1968 r. wpłynęła duża część materiałów, wśród których nie było jednak rękopisów E. Ciuka. Mimo ciągłego

monitowania brakujące rozdziały nie nadchodziły. Autorzy opracowanych już części, widząc, że nic się w tej sprawie nie dzieje, poprosili o ich zwrot. Trzeba było je uzupełnić nowymi danymi.



Institut Geologiczny, 1984. Odznaczenia: 40-lecie PRL. Od lewej: Czesław Buczyński, Stefan Cieśliński, Edward Ciuk.

Równoległe gotowe były materiały do części „Czwartorzęd”, które miały się ukazać w jednym tomie z trzeciorzędem. Przeciągające się opracowanie powodowało słuszne pretensje autorów zmuszonych do ciągłej aktualizacji swoich tekstów. Nie widząc innego wyjścia, redakcja zdecydowała „Czwartorzęd” wydać osobno. Część ta ukazała się pod redakcją prof. Edwarda Mojskiego. Pozostawał wciąż nienapisany „Trzeciorzęd”. Nie widząc innych możliwości zwróciłem się do Dyrektora IG, R. Osiki, z prośbą o usunięcie z listy autorów prof. E. Ciuka. Niestety, nie uzyskałem na to zgody. Profesor miał duże poparcie w kołach polityczno-gospodarczych jako wybitny specjalista, który nie powinien być pominięty w tak prestiżowym opracowaniu.

W okresie, w którym powstawało szereg nowych części „Budowy Geologicznej...”, sprawa zaległego „Trzeciorzędu” nie posuwała się naprzód. Była stale blokowana przez jedną osobę. Wreszcie, po usilnych sta-

raniach i interwencjach, otrzymałem w końcu września 1976 r. od dawna oczekiwane materiały. Niestety, różniły się one zarówno układem, jak i treścią od obowiązującego konspektu i nie pasowały do całości. Tekst obejmował cały Niż i usuwał z opracowania innych autorów, którzy już swoje części napisali. Na ich miejsce profesor wprowadził swoje rozdziały, do których od początku były zastrzeżenia. Nie wyraziłem na to zgody i zaleciłem przeróbkę tekstów zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Profesor nie chciał uznać tego zalecenia. Uważał, że konspekt jest już nieaktualny, gdyż zmarł prof. J. Czermiński, jeden z jego współtwórców.

W związku z wyjazdem za granicę musiałem zrezygnować z dalszego prowadzenia prac redakcyjnych. Na polecenie Dyrektora całość materiałów przekazałem dr S. Dyjorowi z Oddziału Dolnośląskiego IG we Wrocławiu. Po moim powrocie w 1981 r., w związku z brakiem postępu prac, na nowo polecono mi przejąć redakcję. Od nowa rozpocząłem pertraktacje z prof. E. Ciukiem. Obecnie nie odmawiał przeróbki swojej części, lecz nie dotrzymywał żadnych terminów. Około połowy 1982 r., nie widząc innych możliwości porozumienia zwróciłem się z prośbą o interwencję do zastępcy dyrektora, doc. M. Saldana, któremu bezpośrednio podlegał. Prof. Ciuk w rozmowie telefonicznej oświadczył dyrektorowi, że ma od dawna całość przygotowaną, lecz nikt się o nią wcześniej nie zwracał, co nie było prawdą. Musi wnieść jedynie parę drobnych poprawek i odda swoje opracowanie w ciągu miesiąca. Ja mimo jego zapewnień, nadal miałem wątpliwości.

Po wielokrotnych monitach prof. Ciuk zakomunikował, że wszystko jest przygotowane; rękopis wymaga tylko niewielkiego retuszu i będzie gotowy za 2–3 tygodnie. Nadal nie wierzyłem. Upłynęło od tej daty jeszcze trochę czasu. Doc. M. Saldan znowu interweniował. Nareszcie otrzymałem wiadomość, że rękopis został złożony na ręce dyrektora. Ucieszyłem się bardzo. Zapytałem, kiedy mam zgłosić się po odbiór. Z tym był kłopot. Oddając materiały prof. Ciuk zastrzegł sobie prawo wprowadzania dalszych poprawek. W związku z tym domagał się, by dopóki całość nie będzie gotowa, materiały nie były przekazane, a nawet pokazane redakcji.

Była to bezczelność, z jaką do tej pory się nie spotkałem. Na moją usilną prośbę, po znajomości pozwolono mi na wgląd w przygotowane rękopisy. Okazało się, że tekst ten jest tym samym, który już raz był odrzucony. Dopisana do niego była jedynie nowa strona tytułowa i dołączone 2 rozdziały wyjęte z jakiejś dokumentacji, niepasujące do całości. Tego, przyjąć znowu nie było można. Normalnie z nas zakpiono. Doszło do ponownego starcia. Profesor czynił zarzuty, że tylko dzięki mnie „Trzeciorzęd” nie zo-

stał dotychczas wydany. Gdyby redakcja była w jego rękach, inaczej by się wszystko potoczyło. Na takie argumenty nie miałem nic do powiedzenia. Wiedziałem, że z tego już nic nie będzie. Na knot ja nie chciałem się zgodzić.

Na początku 1985 r., w związku z kontraktem w Algierii, całość materiałów dotyczących trzeciorzędu, po uzgodnieniu z dyrekcją przekazałem doc. Marcinowi Piwockiemu. W międzyczasie zmarł prof. E. Ciuk. Po moim powrocie otrzymałem ponownie propozycję zajęcia się redakcją zaległego tomu. Nie było już przeszkody, której nie mogłem przebrnąć. Odmówiłem. W tym czasie zagadnieniami trzeciorzędu zajmowało się wielu specjalistów bardziej predysponowanych do zajęcia się powyższą tematyką. Po moim definitywnym odejściu sprawa zakończenia brakującego tomu była nadal bezterminowo odkładana. Nie było już nakazów z góry, lecz i nie było chętnych do zajęcia się tą tematyką. Wydawało się, że „Trzeciorząd” będzie luką w tym prestiżowym wydawnictwie.

By sprawę definitywnie zakończyć, redakcji chciał się podjąć prof. E. Mojski. Dzięki jego namowom podjąłem się napisania historii tego trwającego tak długo przedsięwzięcia. W rezultacie dalszych przymiarek nastąpiły nowe zmiany i zaległa część ukazała się dopiero w 2004 roku pod redakcją Tadeusza Peryta i M. Piwockiego. Pierwotna robocza nazwa „Trzeciorząd”, zgodnie z nowymi zaleceniami Międzynarodowej Komisji Stratygraficznej, zastąpiona została przez „Kenozoik-Paleogen i Neogen”. Wydanie ostatniego tomu „Budowy Geologicznej Polski”, po ponad 40 latach od rozpoczęcia tego monumentalnego przedsięwzięcia, szczęśliwie doprowadzone zostało do końca. Osiągnięto w końcu to, co mi się tak długo nie udawało.

Z prof. Ciukiem nie tylko ja miałem kłopoty. Współpraca z nim dla wielu osób była bardzo skomplikowana. Pod jego kierunkiem trudno było się doktoryzować. Nie udostępniał potrzebnych materiałów. Przeciągał w nieskończoność recenzje prac i nie dotrzymywał żadnych terminów. Wszelkie dane geologiczne będące w dyspozycji Zakładu, którego był kierownikiem, uważał za własność prywatną. To spowodowało, że nie udostępniał nawet do wglądu żadnych materiałów instytucyjnych, które znalazły się w jego gestii. Tak na przykład prof. W. Pożaryski nie otrzymał od prof. Ciuka materiałów z rejonu Kodrąbia, o które prosił. Spowodowało to wyróżnienie na geologicznej mapie Polski nieistniejącej brachyantykliny. Błąd ten poprawiony został w oparciu o geofizykę dopiero w następnej edycji.

Oburzającym było również to, że materiały z sesji naukowej dotyczącej badań paleobotanicznych, przygotowane przez prof. Jadwigę Bobrowską,

wycofał bez jej wiedzy z redakcji i wydal pod swoim nazwiskiem. Mimo moich interwencji nie nie mogłem załatwić. Prof. J. Bobrowska, której poświęcona była powyższa sesja, podsumowująca jej działalność w Instytucie, odeszła na emeryturę z poczuciem krzywdy.

Szczytem wszystkiego była sprawa doc. dr Zbigniewa Kozydry, prowadzącego w rejonie Konina planowe prace. Zwrócił się on z prośbą do prof. Ciuka o udostępnienie mu do wglądu wierceń z rejonu jego badań. Profesor nie odmówił i przyjął go uprzejmie. Prosił tylko o podanie numerów interesujących go wierceń. Obiecał, że zaraz telefonicznie poleci magazynierowi ich przygotowanie. Po tygodniu, zgodnie w umowę, Z. Kozydra pojechał do magazynu rdzeni w Słupczce. Jakie było jego przerażenie i zdziwienie, gdy dowiedział się, że profesor przed paroma dniami telefonicznie polecił powyższe wiercenia natychmiast zniszczyć. Tak układała się trudna do zaakceptowania współpraca z profesorem Edwardem Ciukiem.

Profesor Ciuk, mający znajomości i powiązania w wysokich kołach gospodarczo-partyjnych, z nikim i z niczym się nie liczył. Wiedział, że jest nie do ruszenia. Przez swoje układy załatwiał przychodzące do Instytutu listy pochwalne od samego I-szego Sekretarza, tow. Gierka. Były w nich specjalne podziękowania dla profesora za wielkie osiągnięcia naukowe i gospodarcze. Dyrekcja Instytutu musiała się z tym bardzo liczyć i była na jego wybryki bezsilna. Piszę to specjalnie po to, by pokazać, że ja w takim układzie praktycznie nie nie mogłem zrobić. Jedynym moim osiągnięciem było to, że nie dopuściłem prof. Ciuka do prac redakcyjnych, co negatywnie zaciążyłoby na całym wydawnictwie.

Z pracy nad „Budową geologiczną Polski” mam też wiele osobistej satysfakcji, mimo przykrości, jakich doznałem. Wiem, że gdyby nie moje starania, zabiegi i czas, jaki tej sprawie poświęciłem, i gdyby nie poparcie prof. J. Czerwińskiego oraz zaangażowanie mgr B. Słowańskiej, seria ta nie ruszyłaby z miejsca. Od samego początku wydawała się skazana na niepowodzenie. Dopiero ukazanie się pierwszych tomów stratygrafii uruchomiło to wydawnictwo i od tego momentu potoczyło się ono już własną drogą. „Budowa Geologiczna Polski” podczas 40 lat jej realizacji została rozbudowana bardziej, niż to było pierwotnie planowane. Duża część tych opracowań była przygotowana z moim udziałem. Mimo, że serię tę przez szereg lat miałem w swoich rękach, nie czuję się za jej opóźnienia odpowiedzialny. Nie była to wina moja, lecz panujących wówczas personalnych układów.

Okres kontraktów zagranicznych

Po odejściu z kierownictwa Zakładu nastąpił jeden z najciekawszych okresów mojego życia i pracy. Zaczęłam dostawać propozycje interesujących kontraktów zagranicznych. Wiązało się to nie tylko z przygodą, ciekawą geologią, lecz i innym wynagrodzeniem. Przy naszych niskich instytucyjnych stawkach było to nie do odrzucenia. W ramach prac Instytutu Geofizyki Polskiej Akademii Nauk pracowałam w Bazie Polarnej na Spitsbergenie. Następnie skierowany zostałam do prac w Międzynarodowej ekspedycji Geologicznej w Mongolii. Zakończyłam zaś ten okres 4-letnim kontraktem w Algierii. Każdy z tych wyjazdów opisałam w odrębnych wspomnieniach.

Przed wyjazdem na Spitsbergen zakończyłam pisać pracę, której poświęciłam wiele czasu i energii. Traktowałam ją jako habilitacyjną. Była to monografia poświęcona Inoceramom albu i cenomanu Polski. Oparta została na bogatych materiałach z wieloletnich prac poszukiwawczych fosforytów w Polsce. Wymagała jeszcze pewnych poprawek i redakcji. Definitywne zakończenie i przygotowanie do druku odłożyłam na okres mojego powrotu z kontraktu w Mongolii, który właśnie rozpoczynałam.

Prace kartograficzne

Gdy po paru latach wróciłam do Instytutu, zastałam zupełnie inną sytuację. Okres „Solidarności” i kryzys. W kraju wszystkiego brakowało, a najwięcej pieniędzy. By ją opublikować, musiałam ponownie dostać zgodę na jej druk. Pierwotnie pozycja ta miała się ukazać w wielkoformatowych Pracach Instytutu Geologicznego, lecz w tym czasie było to nie do zrealizowania. Pozycja ta bowiem wypadła z planów wydawniczych Instytutu. Trzeba było szukać innych rozwiązań. Zaproponowano mi, bym ją skróciłam. Wtedy można ją szybko wydać, lecz w Biuletynie Instytutu. Wyraziłam zgodę, ponieważ szykował się już następny wyjazd, a po powrocie nie wiedziałam, co zastanę w kraju. Skrócenie pracy zajęło mi dużo energii i czasu. Rezygnacja z części napisanego i opracowanego już materiału też nie była łatwa.

Gdy wróciłam z zagranicy moja praca była już wydana, lecz nie w takiej formie, jak to pierwotnie planowałam. Wydrukowana została na złym papierze. Do jakości zdjęć też miałam dużo zastrzeżeń. To, co miało być ukoronowaniem moich publikacji, okazało się zewnętrznie nieefektywne. To spowodowało, że pracy tej już nie broniłam. Nie było zresztą takiej potrzeby. Miałem i tak stanowisko i tytuł docenta z przywilejami wynikającymi z tej funkcji.

W latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku narastał dalej kryzys. Kończyły się głębokie wiercenia. W związku z tym badania stratygraficzne nie odgrywały już tej roli, co pierwotnie. Dr Andrzej Błaszkiwicz, pracujący ze mną w podobnej tematyce i będący cały czas w kraju, wystarczał do zaspokojenia bieżących potrzeb Instytutu. Zaistniała więc potrzeba zmiany kierunku moich zainteresowań. Po konsultacjach z kierownictwem postanowiłem przejść do zagadnień kartograficznych. Na tematykę tę było nadal duże zapotrzebowanie. Kartografię finansowało Ministerstwo Ochrony Środowiska, a to gwarantowało pieniądze.

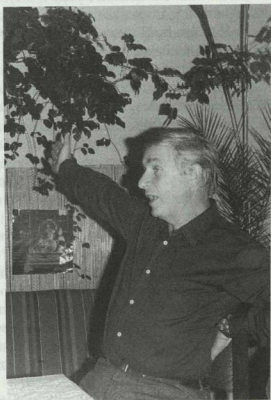
Profesor E. Mojski, konsultant w Zakładzie Zdjęć Geologicznych, zaproponował mi wykonanie 2 arkuszy Szczegółowej Mapy Geologicznej Polski w skali 1:50 000, Zakrzówek i Wysokie. Na terenie tym sam kiedyś pracował zajmując się geomorfologią doliny Bystrzycy. Region określił jako interesujący geologicznie i krajobrazowo urozmaicony. Propozycję przyjąłem z dużym zadowoleniem. Teren okazał się rzeczywiście bardzo ciekawy: obejmował granicę Wyżyny Lubelskiej i malowniczego Rostocza. Rozpoczynając pracę nie wiedziałem, że związę się z tym regionem do końca swego życia. Sporządziłem projekty badań. Musiałem je następnie obronić na posiedzeniu mieszanej komisji instytutowo-ministerialnej. Po zatwierdzeniu projektu, mogłem przystąpić już do prac.

Za bazę obrałem wieś Zakrzówek, gdzie miałem kłopoty ze znalezieniem lokum. Nie znałem tam nikogo. Tam, gdzie zachodziłem, wszędzie odmawiano. Na wstępie każdej rozmowy informowałem, że będę płacił. Cena jest do uzgodnienia. W jednym z domów dostałem odpowiedź, że wolą mi płacić, bym u nich nie mieszkał. Zrezygnowany poszedłem w końcu do sołtysa. Była tylko jego żona. Przedstawiłem się i pokazałem dokumenty. Wtedy zaprowadziła mnie do jakiegoś mieszkania.

Tam też mi odmówiono. Mają córki i obcych w domu nie chcą. Jednakże na moją prośbę wyrażono w końcu zgodę. Warunek, że na krótki czas. Zaprzyjaźniliśmy się bardzo szybko i pobyt trwał tam bardzo długo. Byliśmy z żoną zapraszani do ich gościnnego domu nawet na święta. Czuliśmy się tam, jak wśród rodziny. Okres, w którym tam mieszkałem, należał do jednych z przyjemniejszych w moim życiu. Z Zakrzówka Instytut skierował mnie do pracy w Afryce.

Nad tym zaprzyjaźnionym i miłym mi domem zawisło jakieś złe fatum. Bardzo przeżywałem tragedie tej rodziny, gdzie zła śmierć zabrała wszystkie kobiety. Najpierw Urszulę, studentkę pierwszego roku farmacji. W pół roku po niej matkę, a w parę lat później, starszą córkę Hanię. Ta młoda mę-

żatka w dwa dni po urodzeniu syna również nagle zmarła. Powodem tej tragedii był podobno kod genetyczny - tętniaki. Przenoszony tylko na żeńską część tej rodziny. Po tych tragicznych zdarzeniach jeszcze przez pewien okres tam mieszkalem. Nie był to jednak ten sam dom, pełen rodzinnego ciepła.



Batorz, na kwaterze u Stefanków, 1991 r.

Parę lat później zmarł i gospodarz, Aleksander Stefanek, który po stracie rodziny nie odzyskał już równowagi. Mieszkał razem z zięciem i wnukiem. Pod koniec życia zaczął chorować. Pod wpływem tych śmierci urządził makabryczne przedstawienie. Zaprosił sąsiadów. W koło łóżka, na którym się położył, ustawił świece i oświadczył, że będzie umierał. Przyszli sąsiedzi, zaczęli się za niego modlić i śpiewać religijne pieśni. A tu nic. Był to już nienormalny objaw, być może związany z chorobą Alzheimera. Kon-

takty po śmierci kobiet z tym miłym domem zaczęły się rozluźniać. Z kolei na czas mojego kontraktu w Algierii praca nad arkuszem Zakrzówek została zawieszona do mojego powrotu.

Zakład Geologii Czwartorzędu

Po powrocie z Algierii wróciłem na nowo do Zakładu Stratygrafii i realizowałem przerwana wyjazdem tematykę kartograficzną. Instytut w tym czasie bardzo się zmienił. Z kierownictwa Zakładu odwołany został prof. Ryszard Dadlez. Zastąpił go były szef Solidarności, Michał Wilczyński. Dbał tylko o młodych, przed którymi, jak mówił, jest przyszłość. Odszedł on również bardzo szybko na eksponowane stanowisko w Ministerstwie Ochrony Środowiska. Następnym kierownikiem mianowany został doc. Bronisław Szymański. Poznałem go bliżej w Algierii, lecz nie darzyłem sympatią. On również nie zagrał dłużej miejsca na tym stanowisku. Zastąpił go następnie prof. Z. Kotański. Wszyscy kierownicy, którzy przyszli po mnie, nie wywodzili się z Zakładu Stratygrafii. Byli przenoszani z innych Zakładów Instytutu.

Praca z tymi ludźmi układała mi się nie najlepiej. Pomijany byłem w awansach i miałem zanizane premie. Na początku nie orientowałem się w tym, gdyż wszystko było utajniane. Wcześniej sprawy te były jawne. Teraz każdy miał się z tego cieszyć, co mu kierownictwo z łaski daje. W końcu się zorientowałem, że jestem wyróżniany w dół. Poszedłem z pretensjami i zapytaniem, dlaczego? Pracami planowymi byłem obciążony więcej niż pozostali w Zakładzie. Poza tym, moja tematyka była przez Ministerstwo wysoko płatna w odróżnieniu od innych tematów.

Usłyszałem najpierw, że nie powinienem wiedzieć, jak wynagradzani są inni. Tego broni podobno ustawa. Powiedziano mi również, że pracując za granicą jestem znacznie bogatszy. Dlatego muszą w pierwszym rzędzie dbać o słabiej zarabiających i młodych. A jak mi się nie podoba, to tu mnie siłą nikt nie będzie trzymał. Wtedy zrozumiałem, że to jest zwykła zazdrość, lecz po chamsku przedstawiona. Takiego Instytutu dawniej nie znałem. Złożyłem od razu podanie o przeniesienie mnie do Zakładu zajmującego się kartografią geologiczną, w ramach którego już od dawna realizowałem swoje planowe tematy. Żałowałem, że wcześniej tego nie zrobiłem. Miałem sentyment do Zakładu, w którym tyle lat pracowałem i przez 14 lat kierowałem.

Zakład Geologii Czwartorzędu przyjął mnie z otwartymi rękoma. Nowe kierownictwo starało się wyrównać moje zaległości w awansach. Tu

znowu byłem potrzebny. Szybko zakończyłem arkusz Zakrzówek i rozpocząłem sąsiedni arkusz, Wysokie. Bazą moją stała się wieś Batorz. Kierownik Zakładu, dr Jan Rzechowski, prosił mnie, bym wspólnie z nim opracował jego nieskończone dotąd arkusze. Ma zaległości, a na ich wykończenie nie ma czasu. Propozycję tę przyjąłem z wielką radością. Dzięki temu mogłem geologicznie poznać całe Roztocze i część Wyżyny Lubelskiej. Na czas współpracy z Rzechowskim mój temat „Wysokie” znowu był zawieszony.

W ramach współpracy opracowałem mapy podłoża arkuszy 1:50 000 Hrebenne, Lubycza Królewska, Hrubieszów i Tyszowce. A w skali 1:200 000 arkusze Tomaszów Lubelski i Dołhobyczów, oraz Chełm i Horodło. W tym czasie wykonywałem setki terenowych ekspertyz dla Przedsiębiorstw Geologicznych z arkuszy Józefów, Tomaszów Lubelski, Nielisz, Zamość, Turobin i szeregu innych. Uczestniczyłem we wspólnych tematach współpracy nadgranicznej między Polską i Ukrainą. Prace terenowe zaczynałem wczesną wiosną, a kończyłem późną jesienią. Po ich zakończeniu mogłem nareszcie zabrać się za swoje „Wysokie”, które ukończyłem dopiero z końcem 1998 r. Był to mój ostatni arkusz Szczegółowej Mapy Geologicznej Polski i pożegnanie z geologią.

W okresie tym, jak zwykle, najwięcej miałem kłopotów z kwaterami. W Hrebennem długo nic nie mogłem znaleźć. Padał deszcz, a ja siedziałem w samochodzie. Wszędzie mi odmawiano. Dopiero zlitował się nade mną robotnik leśny z Siedlisk. Mieszkał na samej granicy polsko-ukraińskiej, wśród lasów. Miał ośmioro dzieci. Dostałem pokój i starano się, by było mi wygodnie. Okolice była piękna i dzika. W rejonie tym mieszkałem również i w szkołach. W Tyszowcach przez pewien czas stołowałem się w Domu Opieki Społecznej. W Werbkowicach kwaterowałem w pałacu, a jadłem w cukrowni.

Pracowałem sam. Szczególnie wzdłuż granicy była masa lasów. Teren słabo zaludniony. Ślady akcji „Wisła”, w której usunięto stąd Ukraińców. Na tych pustkowiach czułem się nieraz zagrożony. Dlatego, zwróciłem się o zezwolenie na broń, wychodząc z założenia, że „strzeżonego Pan Bóg strzeże”. Musiałem przejść badania i egzamin. Niestety, odmówiono. Jako powód podano, że w razie napadu sam się nie obronię. Paranoiczne zarządzenie, dające absolutną przewagę przestępcom. Służby graniczne WOP spotykałem bardzo rzadko. Byłem zwykle legitymowany, lecz i uzyskiwałem pomoc. Raz na stromym brzegu spuszczano mnie na linach w dolinę Bugu. Sam bym tam nie dał rady. Do pracy używałem własny samochód, w któ-

rym wozilem rower. Samochód potrzebny był mi tylko do jego podwożenia. Marszruty wykonywałem rowerem i na piechotę.

W okresie tym dwa razy miałem zdarzenie, w którym czułem się zagrożony. W lesie koło Lubyczy Królewskiej napotkałem jakichś dwóch młodych osobników, którzy na tym pustkowiu usiłowali mnie zatrzymać. Zaczęli mnie gonić, ja miałem rower. To dało mi przewagę. Nie wiedziałem, o co chodzi, lecz było to niepokojące. Drugie zdarzenie miało miejsce na terenie byłego obozu śmierci w Bełzcu. Przyjechała w odwiedziny Ania i Wanda. Poszliśmy zwiedzać. Nikogo oprócz nas tam nie było. Nagle z lasu wyszło trzech mężczyzn i ruszyło za nami. Zbliżaliśmy się do części zalesionej. Czując jakiś wewnętrzny niepokój skręciliśmy w bok i szybko skierowaliśmy się w kierunku naszego samochodu. Ci również zaraz się wycofali, lecz w dalszym ciągu byliśmy pod ich obserwacją. Mogli nas wziąć za bogatych Żydów.

W okresie tym kwaterowałem w wielu miejscowościach: w Lubyczy Królewskiej, Tomaszowie Lubelskim, Hrubieszowie, Werbkowicach, Kryłowie (na plebani), Tyszowcach i Batorzu. Poznałem te piękne strony. Nawiązałem wiele przyjaźni, które przetrwały lata. Po zakończeniu prac kartograficznych przygotowywałem jeszcze dla Instytutu projekt gablot dla Muzeum IG, poświęconych utworom kredowym Polski. Moja wcześniejsza ekspozycja muzealna, przygotowana w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, niezmienną była ponad 30 lat. Opracowałem również dla Ministerstwa wykaz stanowisk utworów kredowych, które powinny być chronione.

W dniu 30 kwietnia 1999 r., po przeszło 50 latach pracy w Instytucie, przeszedłem na emeryturę. Ostatniego dnia pracy zwoziłem swój pokój w Instytucie, przekazując klucze administracji. Nie skorzystałem z propozycji kierownika Zakładu, prof. Leszka Marksa, który zaproponował mi miejsce do pracy w Zakładzie już po przejściu na emeryturę. Uważałem, że sprawę mojego odejścia trzeba przeciąć jednym zamachem, a nie ciągnąć latami. Bo to jest jeszcze bardziej przykre. Odejście ułatwiła mi zmiana w tym czasie mieszkania w Warszawie oraz zakup i urządzenie nowego mieszkania w Batorzu.

Mieszkanie na „Kirasjerów”

Od daty ślubu w 1956 r. rozpocząłem starania o własne mieszkanie. Nie było to proste. Warszawa była miastem zamkniętym. Ja byłem zameldowany w Wołominie. Jedyne nadzieje na mieszkanie, to Instytut. Wcześniej nie wchodziło to w rachubę. Zajmowałem razem z rodzicami 2 pokoje

z kuchnią o powierzchni ponad 60 m. Miałem więc znacznie większy metraż, niż przewidywały gomułkowskie limity. Dopiero po urodzeniu się Norberta zaistniała możliwość otrzymania mieszkania. Po przyjeździe powołanej specjalnej komisji nareszcie otrzymałem od dawna oczekiwany przydział, a był to koniec 1959 r. Po 11 latach nareszcie dostałem własny kąp. Do wyboru dano mi 5 mieszkań w różnych częściach miasta. Jedno z nich było bardzo blisko Instytutu. Po konsultacjach z Anią wybrałem najładniejsze, lecz daleko, bo na Grochowie. Składało się z 2 pokoi z kuchnią na I piętrze. Mieszkałem tam 40 lat. Dzięki znajomościom z dr Masztakiem udało nam się bardzo szybko zdobyć telefon, co w tym czasie było również bardzo trudne. Na takie udogodnienia czekało się latami.

Należałem do ludzi nawiązujących bardzo łatwo znajomości i przyjaźnie. Do grona bliskich mi ludzi od początków lat pięćdziesiątych należeli Sałdanowie. Mariana poznałem, gdy rozpoczął pracę w Instytucie. Należał on do ludzi wpływowych i zaangażowanych politycznie. Przez pewien czas pełnił funkcje pierwszego sekretarza i zastępcy dyrektora Instytutu. Miałem do niego całkowite zaufanie. Wspierał mnie nawet wtedy, gdy miałem kłopoty z UB. My również staraliśmy się w miarę możliwości im tym samym odwzajemniać. Marianów traktowaliśmy jak najbliższą rodzinę. Dzięki naszym znajomościom z doktorem Masztakiem mogliśmy pomóc bratu Mariana, gdy ten mając zapalenie otrzewnej był na progu śmierci.

Do osób bardzo nam bliskich zaliczamy Olgę Hattowską. Nasza znajomość i przyjaźń była, jak większość, dziełem przypadku. Przed laty pojechaliśmy z Norbertem samochodem do Bułgarii. W drodze powrotnej zepsuła nam się w Karpatach Rumuńskich skrzynia biegów. Z kłopotów wybawili nas jadący „Syrenką” Polacy. Po powrocie odszukałem naszych wybawicieli, by jeszcze raz im podziękować. Byli to państwo Woźnicy z Józefowa. Przez nich poznałem Olgę. Była ona Naczelnikiem w Narodowym Banku Polskim. Z nią w latach siedemdziesiątych urządzaliśmy autokarowe wycieczki do Zachodniej Europy.

Osobą od lat należąca do grona najbliższych przyjaciół jest i Wanda Rygiel. Poznałem ją przez Dyrektora IG, Wacka Rykę, u którego była sekretarką. Prosiła, bym zabrał ją na autokarową wycieczkę do Francji. Nie tylko w niej uczestniczyła, lecz bardzo pomogła mi w jej organizacji. Na prośbę Dyrekcji urządziła ze mną część bankietową spotkania w Jabłonie na 70-lecie Instytutu. Od tego czasu została bardzo bliską osobą i nie tylko moja, lecz całej naszej rodziny. Była towarzyszką wędrówek pieszych i samochodowych wyjazdów turystycznych.

Duże zmiany w moim życiu spowodował zakup samochodu. Było to możliwe po moim kontakcie w Mongolii. Wymarzonym pojazdem była zielona Syrenka 103. Prawo jazdy zrobiłem 2 lata wcześniej. Kurs kończyłem na ulicy Podwale. Chodziłem na niego razem z dyrektorem IG: J. Malinowskim i J. Czermińskim, a także z szefem planowania Instytutu, Sławomirem Smoleńskim i Emilem Woźnym. Za pierwszym podejściem tylko ja jeden zdałem. Koledzy musieli repetować. Zaraz po kupnie „syrenki” zacząłem robić starania o garaż. Dostałem przydział miejsca, na którym powstał cały ich zespół.

Podczas budowy garaży poznałem i zaprzyjaźniłem się z historykiem, prof. Dawidem Fajnhauzem. Był on z pochodzenia Żydem. W 1968 r. wyjechał do Izraela, a stamtąd do USA. Do śmierci mieszkał w Chicago. Przyjaźń z nim przetrwała wiele lat. W ramach przyjaźni poszukiwałem i wysyłałem z Polski potrzebne mu dokumenty, dzięki którym mógł uzyskać amerykańskie obywatelstwo. Prenumerowałem wydawaną w Polsce historyczną literaturę, potrzebną do jego prac. W ramach rewanżu zaprosił nas do Stanów. Gdyby nie „stan wojenny”, na pewno bym u niego gościł i zwiedził dużą część tego wielkiego kraju.



Stefan Cieśliński. Kłopoty terenowe z samochodem, 1966.

Również w tym czasie, pod okiem Jacka Skassy, z którym łączyła mnie przyjaźń, zrobiłem sam remont generalny silnika mojego pojazdu. Było to moim wielkim technicznym osiągnięciem. Produkowane w Polsce „syrenki” wymagały ciągłych prac. Powszechnie mówiło się, że jeździć tym typem samochodu można tyle czasu, ile poświęca się na remonty. Podróżowałem tą „wspaniałą limuzyną” nie tylko po Polsce, ale nawet za granicą. „Syrenkę” miałem 11 lat.

Jazda samochodem jest zawsze ryzykiem. Przeżyłem raz duży stres. Jechałem jako pasażer Rosjanina, Saszy Pergamenta. Przyjechał on do Polski swoim świeżo zakupionym moskwiczem. Chciał wziąć udział w zjeździe PTG w Świdnicy, na który był przeze mnie zaproszony. Razem z nim jechała Rena Kosmulska. Przed Świdnicą wyprzedził nas szybki wóz z rejestracją niemiecką. Sasza wprost zgłupiał; nie chciał się zgodzić, by Niemiec był szybszy. Zaczął go gonić. Przed nami jechały 3 potężne Tiry. Niemiec widząc zbliżający się od przodu jakiś samochód, zwolnił. To chciał wykrzysać Sasza i mało nie doprowadził do czołowego zderzenia. Rena tak się zdenerwowała, że chciała dalej iść pieszo. Mówiła, że nawet poci by nie rozróżniono, gdyby doszło do wypadku. Tu miała rację. Dla Pergamenta była to dobra lekcja, przestał szarżować.

W 1973 r. dostałem z Instytutu talon na zakup niemieckiego „wartburga”. To już był samochód z prawdziwego zdarzenia. Szkada tylko, że jak „syrenka” był dwusuwem. Nie musiałem przy nim stale robić. Jeździłem nim do Jugosławii, Turcji i Włoch. Nie miałem z nim żadnych kłopotów. Po 16 latach eksploatacji w bardzo dobrym stanie oddałem go znajomemu, który jeszcze parę lat bez remontu nim jeździł. Przekazał go potem swojemu zięciowi, który zapomniał nalać oleju do paliwa i go zatarł.

W 1988 r. po powrocie z Algierii zakupiłem „poloneza 1600”. Bardzo byłem z niego zadowolony. Przejechałem nim ponad 100 000 km bez najmniejszej awarii. Odstąpiłem go Sałdanowi, a sam wziąłem od Norberta jego znacznie nowszy model.

Pod wpływem kolegów, Tadeusza Osmólskiego i Romana Żyłki, zainteresowałem się zbieraniem starej broni. Na bazarach i w Desach poszukiwałem interesujących mnie eksponatów. Moja kolekcja rozrosła się do ponad 100 sztuk, głównie broni białej. Zacząłem się interesować literaturą z tej dziedziny i zostałem członkiem elitarnego zrzeszenia Miłośników Starej Broni i Barwy. Zrzeszenie to grupuje wybitnych specjalistów z dziedziny bronioznawstwa.



Baranów, 1970. Stefan Cieśliński i Tadeusz Osmólski.

Niezależnie od tego specjalizuję się w historii Powstania Styczniowego. Zbieram z tego okresu literaturę i pamiątki. Moja wiedza na ten temat była wielokrotnie wykorzystywana podczas różnych uroczystości wiążących się z tym okresem. Wyszukiwałem dla zainteresowanych dane dotyczące uczestnictwa osób w poszczególnych bitwach, lub miejsca ich pochówków. Miałem odczyty na powyższy temat i urządziłem wystawy pamiątek. Moje kolekcje były pokazywane w Krakowie na wystawie poświęconej Borelowskiemu i na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ta ostatnia wystawa poświęcona była farmaceutom biorącym udział w Powstaniu

Mieszkanie, które otrzymałem, było komunalne. Z czasem, po powrocie z Mongolii w 1981 r., zostało przez nas wykupione. Dzielnica się rozbudowywała. Komunikacja Grochowa z Centrum była dobra. Byliśmy bardzo zadowoleni, lecz do czasu. Zmieniali się lokatorzy. Starsi wymierali, a kwaterunek lokował nowych. Zaczęliśmy się zabezpieczać w obawie przed włamaniami. Założyłem kraty w oknach, bo mieszkaliśmy na piętrze. Kazałem wstawić podwójne drzwi zabezpieczone blachą i dobre zamki. Okazuje się, że i to było niewystarczające.

W listopadzie 1997 r. zostaliśmy zaproszeni na kolację do naszych znajomych, państwa Paprockich. Gdy po 3,5 godzinach wróciliśmy do domu, mieszkanie było okradzione. Złodzieje dostali się na naszą łódź z balkonu od sąsiada. Wyjęli kraty i dostali się do środka. Znaleźli zapasowe klucze i bez kłopotu mogli wynosić rzeczy. Nasz wczesny powrót uniemożliwił większą kradzież.

Na Ursynowie – emerytura i Batorz

Mając takie sąsiedztwo postanowiliśmy się z tej dzielnicy wynieść. Norbert już dawno nas do tego namawiał. Wziął całą sprawę w swoje ręce. Już po paru dniach znalazł na Ursynowie trzypokojowe mieszkanie. Prawie rok musieliśmy jednak czekać, aż byli lokatorzy wybudują swój nowy dom i się wyprowadzą. To było zagwarantowane umową. Na Ursynów wprowadziliśmy się dopiero w marcu 1999 r., po zrobieniu generalnego remontu. Z nowego mieszkania jesteśmy bardzo zadowoleni i uważamy je za docelowe. Ma też wielką zaletę: jest ciche i położone blisko metra. W pełni rozwiązuje to problemy komunikacyjne.

Do emerytury szykowałem się już od dawna. Wiedziałem, że jest to rzecz nieunikniona i że przyjdzie taki dzień, kiedy z moim Instytutem będę się musiał w końcu pożegnać. Doszedłem do wniosku, że nie musi być to wstrząs i życiowa klęska. Zależy to tylko ode mnie. Najbardziej bolesną stratą wydawało się zerwanie kontaktu z terenem, to znaczy z przyrodą. Wychowywałem się długo na wsi i większość dorosłego życia pracowałem w plenerze prowadząc prace geologiczne. Nie wyobrażałem sobie spędzania ostatnich lat w mieście, nawet w mej ulubionej Warszawie.

W związku z tym kupiliśmy na wsi 3 pokojowe mieszkanie. Na zachodnim Roztoczu wybrałem wieś Batorz, gdzie w ostatnich latach kwatrowałem. Należy ona do malowniczych miejscowości tego regionu. Nie ma tam przemysłu. Do najbliższych skupień miejskich jest 25 km. Do stacji kolejowej około 30 km i nie przebiegają tam żadne ważne przelotowe trasy. Wieś znana z uczciwości. Do dzisiaj wychodzący z mieszkań nie muszą ich zamykać. Dodatkowym czynnikiem mojego zainteresowania Batorzem było i to, że tu w 1863 r. stoczył swą ostatnią bitwę legendarny Marcin Borelowski-Lelewel. W związku z tym odbywają się tam oficjalne rocznicowe uroczystości. Co dla mnie jest bardzo ważne.

Wielką radość sprawili nam też nasi byli sąsiedzi z Wołomina, państwo Skrodzcy. Podczas odwiedzin u nas w Batorzu, zauroczyli się tą miejscowością. Nabyli tu działkę i pobudowali dom w wyjątkowo pięknym

miejscu. W związku z tym nie jesteśmy tu sami, a po sąsiedzku mamy ludzi nam bliskich.

Na emeryturę przeszedłem w dniu 30 kwietnia 1999 r. po ponad 50 latach pracy w Instytucie. W dniu odejścia zwolniłem swój gabinet. Większość mojego księgozbioru dotyczącego geologii przekazałem Uniwersytetowi Lubelskiemu. Było tego setki tomów, cały półciężarowy samochód. Zatrzymałem tylko część dotyczącą stratygrafii. Mogło się jeszcze to kiedyś przydać i przydało się. Mając dwa mieszkania mam na nie miejsce. Do Instytutu chodzę, gdy mam jakieś interesy i na zebrania związku emerytów, gdzie jestem członkiem Zarządu. W związku ze zmianą pokoleń został tam dla mnie właściwie tylko gmach. Moje roczniki już odeszły. Teraz zajmuję się tym, na co wcześniej nigdy nie miałem czasu.

Latem 1999 r. przeżyliśmy na wsi powódź. Rzeka, której właściwie nie ma, poza źródłami Poru, dała znać o sobie. Podczas ulewnego deszczu płynące wody z pól przerwały komunikację drogową. Erozja odsłoniła w wąwozie Piekło kontakty penepłeny kredowej z litotamniowymi osadami Miocenu. Szkoda, że następne deszcze wszystko na powrót zasypały.

W lipcu 2001 r. mieliśmy groźną burzę z gradem. Tak wielkich kul do tej pory nie spotkałem. Były wielkości pięści, do 8 cm średnicy. Żałowałem, że nie miałem z sobą aparatu. Trzy takie gradziny schowałem do lodówki. Chciałem utrzymać je jak najdłużej. Niestety, wyłączono prąd i lód się roztopił.

Na emeryturze, tak jak planowałem, zajmuję się historią Batorza i pisanie wspomnień. Chcę po sobie zostawić ślad moim bliskim. Pokazać, jak trudny i burzliwy czas można było szczęśliwie przeżyć. Teraz u schyłku życia już jestem pewny, że człowiek dopiero wtedy umiera, gdy ginie po nim pamięć. I jestem też przekonany, że przeszłość jest kluczem do przyszłości.

Będąc na emeryturze zająłem się też opracowaniem historii XIII wiecznych najazdów mongolsko-tatarskich na Lubelszczyznę. Ponadto przygotowałem opracowanie „Batorz w mrokach geologicznej historii”, gdzie dałem przegląd ewolucji regionu w oparciu o dane geologiczne. Byłem też inicjatorem powstania w Batorzu Muzeum, do którego przygotowałem ekspozycję geologiczną. Na prośbę redakcji regionalno-naukowego pisma „Korzenie Janowskie” wydrukowałem szereg artykułów dotyczących geologii regionu Janowa Lubelskiego i walk powstańczych w 1863 r. na Rostoczu Lubelskim.

W Batorzu urządziłem ponadto spotkania koleżeńskie osób, które przed laty razem ze mną podróżowały autokarem po Europie. Pierwsze takie spotkanie odbyło się w maju 2001 r., drugie - w czerwcu 2002 r. Również w Batorzu, w 2008 roku, po raz pierwszy odbył się na moje zaproszenie zjazd koleżeński uczestników Klubu Polarnego. Spotkanie kolegów, którzy ze mną zimowali na Spitsbergenie. Inicjatywę tę przejęli teraz inni koledzy chcący się spotykać co roku w tym składzie.

Wyjazdy zagraniczne, służbowe i urlopy

Zaraz po zakończeniu wojny o podróżach zagranicznych nie było mowy. Zarówno kraje socjalistyczne, jak i kapitalistyczne były dla nas całkowicie zamknięte. Każda chęć jakichkolwiek wyjazdów o charakterze turystycznym lub rodzinnym była rozumiana jako wrogi stosunek do socjalizmu i Polski Ludowej. Trzeba było kryć się z takimi marzeniami, gdyż równało się to zdradzie i planowaniu współpracy z wrogimi wywiadami. W tym czasie nawet za nieudokumentowane zarzuty można było na lata trafić do więzienia. Dlatego na początku mojej drogi życiowej nie przychodziło mi do głowy planowanie zagranicznych wojaży. Nie sądziłem, by kiedykolwiek za mojego życia to się mogło zmienić. Zimna wojna i grożący konflikt nuklearny wydawały się nie do rozwiązania.

W pierwszych latach powojennych, w początkach moich prac w Instytucie, nie miałem rodziny, ani żadnych bliższych znajomych za granicą. Nie miałem również zawodowych kontaktów z sąsiednimi krajami. Z literatury znałem jedynie nazwiska geologów pracujących na podobnych tematach. Nie sądziłem jednak, bym kiedyś tych ludzi poznał. Do nas, poza ekspertami radzieckimi, do których w pierwszym okresie nie było dostępu, nikt nie przyjeżdżał. Zaczęło się to trochę zmieniać dopiero z końcem lat pięćdziesiątych. Czyli ten okres pełnej izolacji trwał bardzo długo, bo znacznie przekraczał 15 lat. Ten trudny czas zachował się jednak wyraźnie w mojej pamięci. Zmiany na korzyść nastąpiły dopiero na początku lat sześćdziesiątych. Wtedy granice państw socjalistycznych, a później i kapitalistycznych, przestały być szczelnie zamknięte. Rozpoczął się okres służbowych, a potem prywatnych wyjazdów. Niniejsze wspomnienia spisuję po latach. Oparte są one na służbowych sprawozdaniach, zapiskach prowadzonych podczas wyjazdów, dokumentacji fotograficznej i fragmentach, jakie zachowała pamięć.

2-31.VII.1959 -- ZSRR: Moskwa - Krym - Leningrad

(Wyjazd służbowy na zaproszenie Ministerstwa Geologii ZSRR)

Do dzisiaj wyraźnie pamiętam moje zaskoczenie, gdy któregoś dnia na wiosnę 1959 r. poprosił mnie do siebie mój szef, dr Jan Czermiński, i zakomunikował, że mam wyjechać służbowo do ZSRR. Cel wyjazdu: poznanie metod badań geologicznych prowadzonych u naszych wschodnich sąsiadów. W ramach tego wyjazdu przewidziany był również pobyt na Krymie. Jechałem na zaproszenie Ministerstwa Geologii ZSRR. O wszystkim miałem się dowiedzieć dopiero na miejscu. Wiedziałem, że zaczyna się jakaś wielka przygoda.

Podczas załatwiania formalności w CUGu dowiedziałem się, że w tym czasie do Moskwy jedzie także prof. Pożaryski z żoną. Wiadomość ta bardzo mnie ucieszyła. Byłem z nimi zaprzyjaźniony. Nie będę więc sam w zupełnie dla mnie obcym środowisku. ZSRR, po okropnościach wojny i stalinizmu, budził lęk. Wszystkie wiadomości, jakie nadchodziły z tamtej strony granicy, były straszne. Oparte na doświadczeniach ludzi powracających z więzień i gułagów. Byłem bardzo ciekawy samemu zobaczyć, jak tam naprawdę jest. Czy po śmierci Stalina zmienia się na lepsze? I czy wiadomości, jakie otrzymujemy, nie są przesadzone?

Nareszcie ruszam. Warszawa - Moskwa pociągiem. Jadę z panią Pożaryską. Profesor dojedzie następnego dnia. Pierwsze wrażenia: koło Brześcia oglądamy z ciekawością granicę. Trzy pasy zaorane i rzędy zasieków z drutu kolczastego. Przecież my jesteśmy krajem zaprzyjaźnionym! Sama strefa graniczna liczy chyba z pół kilometra szerokości. Widać liczne wieże obserwacyjne. Bardzo ostra rosyjska kontrola; musimy wychodzić z przedziałów. Odbierają nam paszporty, które gdzieś tam są szczegółowo sprawdzane. Jest to podobno granica pokoju i przyjaźni, gdzie jednak nie ma żartów. Następną ciekawostką, to zmiany podwozi. Wagony są na specjalnych urządzeniach podnoszone i mają wymieniane koła. Od czasów carskich Rosja miała inny rozstaw torów, by wrogom na wypadek wojny utrudnić korzystanie z linii kolejowych.

W Brześciu masy ludzi, dużo wojskowych. Specjalnie się przysłuchuję, czy słychać język polski. Niestety nie, a 15 lat temu miasto należało jeszcze do nas. To pierwsze zetknięcie z zagranicą budziło we mnie lęk. Potem się do tego przyzwyczaiłem i była to już normalność. Rosyjskiego w tym czasie niewiele znałem. Podróż z Warszawy do Moskwy trwała dobę i była wygodna. Z ciekawością przyglądałem się mijanym wsiom kolchozowym,

miastom i miasteczkom leżącym na trasie podróży. Tak niedawno ziemia ta płonęła. Przebiegał tu stale zmieniający się front. Krajobrazy były trochę inne, niż znane mi z Polski. W wagonie cały czas ryczało radio (kołchożnik), którego nie można było wyłączyć. Nadawano wiadomości, pogadanki polityczne i rosyjską muzykę ludową.

W nocy przejeżdżaliśmy przez Smoleńsk. Ta miejscowość łączy się z Katyniem. Za serce coś łapie, jak ci biedacy tu cierpieli i za co? Wspominam wujka Henia. Gdzieś tu zginął. Tak wszyscy go lubili, a dzieci wprost przepadały. Zawsze opowiadał jakieś ciekawe dykteryjki. Był wojskowym, miał pistolet i szablę, więc dla nas chłopaków było to godne podziwu. Miał również konia i był ułanem, a nie jakimś urzędnikiem. W tym czasie jeszcze nikt z nas nie wiedział, że oprócz Katynia były i inne groby. Rosjanie wypierali się tej strasznej zbrodni, oskarżając Niemców. Na ten temat nie wolno było w Polsce nawet mówić, choć zbrodnie stalinowskie poza Katyniem oficjalnie były wymieniane i potępiane.

Na dworcu w Moskwie oczekuje mnie przedstawiciel Ministerstwa Geologii. Jedziemy samochodem „wołga” do hotelu „Ukraina” (bliźniaczy wieżowiec Pałacu Kultury w Warszawie); będziemy tam mieszkać. Pokój na 23 piętrze, wygodny, z łazienką, lecz tu również skrzeczy kołchożnik. Następnie dowiaduję się, że opiekę nad moim tematem przejmuje Akademia Nauk ZSRR. Jestem z tego bardzo zadowolony, bo będąc z Pożaryskimi i dzięki temu na pewno więcej zobaczę. W ciągu następnych paru dni trwają rozmowy ze specjalistami. Poznają wielu ludzi znanych mi tylko z literatury, jak profesora Bogdanowa, prof. Mazarowicza, prof. Najdina i znaną mi wcześniej ze zjazdu PTG w Dusznikach kandydatkę nauk, Walentynę Pietrenko.

Nasi opiekunowie są serdeczni i starają się nam jak najwięcej pokazać. Zwiedzamy Moskwę, zaczynając od Kremla. Oglądamy wielki dzwon, który nigdy nie zadzwonił. Car puszkę, która nigdy nie wystrzeliła. Muzeum Kremłowskie ze skarbami Carów, Galerię Trietiakovską, wielki dom towarowy GUM i najważniejsze - mauzoleum twórców i wodzów tego raju. Jako cudzoziemcy nie musimy stać w długich kolejkach; milicja wpuszcza nas blisko wejścia. W tym czasie obok Lenina leżał i Stalin. Przechodziło się bardzo blisko zabalsamowanych szczątków. Lenin źle ogolony, wymizerywany, w swoim czarnym tużurku. Natomiast Stalin prezentował się dobrze. Z dobrotliwym uśmiechem, w wojskowym mundurze, przy orderach i odznakach generalissimusa. Zwracało uwagę, że jeden i drugi był niski. Z rysów twarzy nie widać było, że to najwięksi zbrodniarze w historii świata.

Parę miesięcy później Stalin został usunięty z mauzoleum i przeniesiony do grobu pod ścianą kremłowską. Miałem więc szczęście, że mogłem jeszcze ich razem zobaczyć. Mówiło się wtedy, że największą karą partyjną było wyrzucenie z grobu.

Jednym z obowiązkowych punktów programu było obejrzenie w Teatrze Wielkim "Jeziora Łabędziego". Muzyka, jak i teatr robiły wrażenie. Podczas spektaklu chciało mi się śmiać, gdy przypominałem sobie dowcipy, jakie krążyły na ten temat w Polsce. Otóż pewien kołchoźnik został wyróżniony za dobrą pracę wycieczką do Moskwy. Jechał pociągiem przez tydzień. Po przyjeździe zaprowadzono jego i jemu podobnych do mauzoleum, by zobaczyli Lenina. Tam stali parę godzin w kolejce. Następnie zwiedzano Kreml i największy w Moskwie sklep „GUM”. Potem był obiad i ostatni punkt, to Teatr Wielki, gdzie wystawiano „Jezioro Łabędzie”. Na biednym kołchoźniku balet zrobił niesamowite wrażenie. Po raz pierwszy zobaczył piękne i zgrabne baletnice; takich dziewczyn nigdy wcześniej nie widział. Był oczarowany ich urodą i tańcem. Po skończonym spektaklu wszyscy bili brawo, a on najdłużej. Potem nagle posmutniał, zaklął i splunął na podłogę. W następstwie tego został pouczony o niestosownym zachowaniu i ukarany grzywną 30 rubli. To była duża suma. Po powrocie do kołchozu przed całą wsią opowiadał o swoich wrażeniach. Olśniony był cudami Moskwy, lecz najbardziej baletem i tancerkami. Zazdrosna żona chytrze się wtedy zapytała, czy w Moskwie pomyślał też o niej. Tak, odpowiedział, i kosztowało mnie to 30 rubli.

W początkowym okresie władzy radzieckiej, kiedy siłą zmuszano prosty lud roboczy do uczęszczania na operowe spektakle, opowiadano o następującym zdarzeniu. Na scenie aktor grający Otella, po zamordowaniu z zazdrości swojej żony Des-demony, dramatycznie śpiewał – „co robić?” Na to ktoś z widzów głośno zaczął doradzać, by wykorzystał zwłoki, póki są jeszcze ciepłe. Z tą sceną związane były też i inne anegdoty z okresu rewolucji bolszewickiej i ukulturalniania ciemnego społeczeństwa. Gdy przypominałem sobie te anegdotyczne historie patrząc na piękne wnętrza, złoceń i przepych, nie mogłem powstrzymać się od spazmów śmiechu. Było mi głupio, że na takim spektaklu i w takim miejscu zachowywałem się niepoważnie.

Z Moskwy lecimy samolotem Il-14 do Symferopola. Jadąc na lotnisko pokazywano nam zapory przeciwczołgowe. Dotąd dotarli Niemcy w 1942 r. Zabudowania Moskwy było już dobrze widać. Podróż na Krym trwała 4 godziny, był silny wiatr i maszyną rzucało. Co pewien czas przez dziury w

chmurach widać było ziemię: jakieś zarysy lasów, wsi i miasteczek Z nami jechał profesor Bogdanow. Lądujemy w Symferopolu; to tu urodził się mój ojciec. Tak mało wiem na ten temat. Na lotnisku czekał prof. Moskwin z terenowym samochodem. Zabrał nas do bazy geologicznej Uniwersytetu Moskiewskiego. Zostaliśmy zakwaterowani w pomieszczeniach przeznaczonych dla asystentów. To tu podczas bytności na Krymie zmarł nagle jeden z czołowych polskich geologów, prof. Henryk Świdziński. Znałem go dobrze. Studenci, będący na praktykach, mieszkali w dużych białych namiotach. Wieś, w którym znajdował się poligon, nazywała się aktualnie Partyzanckoje. Weześniej była to wieś tatarska, Mangusz. Po wojnie z rozkazu Stalina krymskich Tatarów przesiedlono do Kazachstanu. Na ich miejscu osadzono Ukraińców.

Nasza aktualna baza mieściła się w środkowej części Krymu. Okolica bardzo malownicza i górzysta. Masę odsłonięć białych kredowych wapieni. Są one przedmiotem naszych studiów. Gospodarze pokazują nam szereg ciekawych profili geologicznych. Oglądamy i dyskutujemy. Zachowały się w pamięci takie nazwy, jak góra Szaudiwa koło naszej bazy, kamieniołomy w Inkerman i Skalistym, profil geologiczny rzeki Kacza, odsłonięcia we wsi Wierchorecze. Następnie jedziemy w góry Tepe-Kermen. Wchodzimy na najpiękniejszą górę Krymu – Czatyrdah i zwiedzamy Czufut-Kale. Jest to opuszczone miasto, całkowicie wykute w skałach. Czegoś podobnego w życiu nie widziałem.

Nasi gospodarze robią wszystko, by nam uprzyjemnić czas. Dlatego, oprócz geologii pokazują rezydencję chana w Bachczysaraju. Jego pałac z minaretem, nie był imponujący. Wrażenie robiły tylko części haremowe i zieleń ogrodów. Mieściło się w nim muzeum. Pokazano nam „fontannę łez”, której historia stała się tematem baletu skomponowanego przez Borisa Asafjewa pod nazwą „Fontanna Bachczysaraju”. Opowieść oparta została na historycznym fakcie życia Potockiej. Branka porwana z Polski została umieszczona w haremie Wielkiego Chana. Była bardzo piękną, czym wzbudziła wielką miłość nowego pana i zazdrość jego żon i nałożnic. Przy tej fontannie została uduszona. Na pamiątkę tego zdarzenia w fontannie zawsze leżą świeże kwiaty. Historia ta robiła wielkie wrażenie w tej scenerii.

Po zapoznaniu się z geologią środkowego Krymu nasi gospodarze proponują nam wyjazd nad morze. Przejeżdżamy malownicze partie górskie, mające znaczenie ponad 1000 m wysokości. Z urwiska Aj-Petri obserwujemy pobrażę południowego Krymu. Piękna słoneczna, letnia pogoda. Stromymi serpentynami dojeżdżamy do Jałty. Tam mamy zamówiony hotel.

Zwiedzamy pałac w Liwadii. To tu odbyła się Konferencja Jałtańska. Pokazują nam salę i stół, na którym podpisano krzywdzące Polskę dokumenty. Dla nas jest to miejsce przykre. Tam zostaliśmy sprzedani. Obok widać było letnią rezydencję Chruszczowa. Jeździmy statkami wzdłuż wybrzeża i zwiedzamy Ałupkę, Gurzów i Ausztę. Oglądam skałę Ajudaha, o której pisał Mickiewicz. Fotografuję Jaskółcze Gniazdo przyczepione do skalnego urwiska na wybrzeżu. W programie też był i Sudak – stara forteca genueńska. Cały czas towarzyszyli nam prof. Mazarowicz, prof. Moskwian i Wala Pietrenko.

Wieczorami, gdy było chłodniej, spacerowałem nadbrzeżnym bulwarem. Podziwiałem rosnące palmy. W Jałcie piaszczystych plaż nie ma, tylko kamieniste. Kąpać się chodziliśmy na Złotą Plażę. Tam było trochę piachu, a nie tylko kamienie. Miasto jest kurortem. Dużo spacerujących ludzi i kąpiących się w morzu. Po powrocie do hotelu parokrotnie rozmawiałem z portierem. Wypytywał się o Polskę i o zachodzące przemiany. Obawiał się, że odchodzimy od socjalizmu. Wie to z „Prawdy”, która krytykowała politykę Gomułki. Śmiałem się, że w Prawdzie nie ma Izwiestii (wiadomości), a w Izwiestii nie ma Prawdy. Twierdził, że u nich bardzo się zmienia na lepsze. Parę lat temu za Stalina taka rozmowa z cudzoziemcem była by niemożliwa. Zakończyłaby się dla niego w łagrze.

Podczas mojego pobytu na Krymie władze otworzyły na krótko dotychczas zamknięty Sewastopol. Powodem izolacji był port wojenny. Nawet Rosjanie nie mogli wcześniej tam jeździć bez specjalnych przepustek. W związku z tym nasi gospodarze postanowili sami miasto zobaczyć i nam go pokazać. Miasto robiło wrażenie. Jest pięknie położone w zatoce otoczonej górami. Widać było szereg wielkich pancerników i innych wojennych jednostek. Uprzedzono, że nie można fotografować. W programie było zwiedzanie panoramy bitwy sewastopolskiej (historia ostatniej wojny). Ojciec opowiadał, że gdy dziadek służył w wojsku na Krymie, to koło Sewastopola były jeszcze świeże pamiętki z okresu walk o to miasto. Wojna Krymska w 1855 r. i bitwa o Sewastopol były wielką przegraną Rosji i zarazem nadzieją na oswobodzenie Polaków. To było początkiem niepokoju w Królestwie, zakończonych Powstaniem Styczniowym.

Powrót do Jałty przez stopy akernańskie, również znane z sonetów krymskich Mickiewicza. Miejscami widać były próby upraw pszenicy. W tym klimacie wyniki były jednak słabe. Tam nasi opiekunowie opowiedzieli dowcip z radia Erewań; był na czasie. W okresie wielkiej propagandy sukcesów słuchacze radia ormiańskiego pytali się: „Czy to prawda, że na Ukra-

inie wyhodowano pszenice tak wielką, jak słupy telegraficzne?" Radio odpowiedziało, że prawda. Nie jest jednak tak wysoka, a tak gęsta. Wszystko inne się zgadza.

Z Jałty helikopterem lecimy do Symferopola. Przelot wspaniały górkimi dolinami. Jakie widoki, szkoda było wysiadać! Na lotnisku podstawiono najnowszy sowiecki samolot turbośmigłowy, AN-10 (Ukraina). Bardzo duży; robił wrażenie. Te samoloty nie huśtają ze względu na szybkość i masę. Siedziałem koło jakiegoś pułkownika. Mówi mi, że dopiero od dzisiaj ten typ samolotu kursuje na tej linii i skraca czas przelotu o połowę. To znaczy do 2 godzin. Wspomniał, że wczoraj na lotnisku w Symferopolu taki jeden się rozbił. Zginęła tylko załoga, bo to był lot próbny. Ciarki zaczęły mi chodzić po plecach. Dopiero potem dowiedziałem się, że samoloty te miały błąd konstrukcyjny. Część z nich spadała, a resztę wycofano. Z klimatyzacją było tam też coś nie w porządku. Przy schodzeniu do lądowania miałem straszny ból w uszach. Na miejsce przylecieliśmy już po ciemku, późnym wieczorem.

W Moskwie nie zarezerwowano dla mnie hotelu. Ministerstwo myślało, że zrobi to Akademia. Dlatego spałem jedną noc w prywatnym mieszkaniu pracownika naukowego, który po mnie wyjechał na lotnisko. Następnego dnia na nowo wróciłem do hotelu „Ukraina”. W programie miałem wizytę na Uniwersytecie, gdzie poznałem szereg nowych, nieznanych mi wcześniej geologów. Zapoznałem się z tematyką prowadzonych tam badań. Następnie zawieziono mnie na Wystawę Osiągnięć Gospodarki Narodowej. Z ciekawością oglądałem pawilon geologiczny. Wieczorem poszedłem do trójwymiarowego kina. Takiego w Warszawie nie było. Gdy w Ministerstwie zapytano, co bym jeszcze chciał zobaczyć, poprosiłem o krótki wyjazd do Leningradu. Zaraz załatwiono mi miejsce w samolocie i powiadomiono WSEGEI (Instytut Geologiczny), o której godzinie mają mnie na lotnisku odebrać.

Rano służbowy samochód odwiózł mnie na lotnisko. Tu nowe przeżycie. Dopiero co na tej trasie wprowadzono pierwsze odrzutowce, które drogę 700 km pokonywały w niecałą godzinę. Leciłem samolotem Tu 104. Były to pierwsze na świecie odrzutowe samoloty pasażerskie. Do połowy trasy z szybkością 900 km/godzinę wznosiły się na wysokość 10 km. Po osiągnięciu tego pułapu schodziły już do lądowania. W Leningradzie czekał na mnie samochód. Pojechałem na dworzec, by kupić bilet na pociąg do Moskwy. Na samolot miejsc już nie było. Zaczęły się problemy; bilety były, lecz do-

piero w przyszłym tygodniu. Co tu robić? Ja muszę wracać do kraju, kończy się mój pobyt w ZSRR i ważność paszportu.

Z kłopotu wybawiło mnie WSEGEI. Zatelefonowano do komendy milicji i dopiero z udziałem oficera tych służb kupilem bilet na nocny pociąg. Był to odpowiednik nowoczesnej lux-torpedy o nazwie „Srebrna Strzała”, kursujący z zawrotną szybkością między Moskwą, a Leningradem. Dystans prawie 700 km przebywał w parę godzin. Gdy miałem bilet w kieszeni, wtedy dopiero byłem spokojny i mogłem zająć się geologią i zwiedzaniem miasta. Zabytki Leningradu bardzo mi się podobały. Nie sądziłem, że będę tu w przyszłości dość często przyjeżdżał. Oprócz muzeum geologicznego zawieziono mnie również do Peterhofu – rezydencji Katarzyny II. Wspaniały pałac, fontanny i park robiły wrażenia. Ile trzeba było mieć fantazji, by takie cuda zaprojektować. Jedna z fontann w formie drzewa robiła niespodzianki. Jak wschodzili pod nią ludzie, wtedy nagle była uruchamiana. Wywoływało to salwy śmiechu patrzących, a mniej u poszkodowanych.

Tu znowu przypomniałem sobie zasłyszane dowcipy. Słuchacze Radia Erewań pytali: „Czy to prawda, że w Moskwie za darmo dają samochody?” Radio odpowiedziało, że tak. Jednak to nie w Moskwie, a w Leningradzie. Nie samochody, lecz rowery. I nie dają, a kradną. Wszystko inne się zgadza. Pytano się też, „Czy każdy obywatel ZSRR może kupić sobie Wołgę?” (chodziło o samochód, o który było bardzo trudno). Radio odpowiedziało, że prawda. Tylko, po co im tyle wody. (Odpowiedź dotyczyła rzeki).

W drodze powrotnej miałem sypialny przedział z generałem Malinowskim. Przedstawił się i widziałem, że ta twarz była mi znana. Jego fotografie i wypowiedzi drukowała często nasza prasa. Był on chyba w tym czasie ministrem obrony. Jak większość z Rosjan wypytywał się o wrażenia z ZSRR i o Polskę? Mówił o swoim tam pobycie podczas wojny. Wspominał zniszczoną Warszawę. Oskarżał błędną politykę byłych przywódców polskich, którzy mieli doprowadzić do takiej tragedii. Ja miałem wprost przeciwnie zdanie, lecz tego głośno nie mówiłem. Starłem się tylko nie przytakiwać jego wypowiedziom.

W Moskwie na nowo spotkaliśmy się z Pożaryskimi i pełni wrażeń wracaliśmy do Kraju. Na dworcu czekała na mnie cała rodzina. Pamiętam, jak mój ojciec, gdy zobaczył mnie w oknie, biegł wzdłuż pociągu. Był bardzo wzruszony i ciekawy wrażeń. Szczególnie interesował go Krym, miejsce urodzenia i spędzonego tam dzieciństwa.

18-30.IX.1960. Czechosłowacja

(Zjazd Czeskiego Towarzystwa Geologicznego).

Zostałem delegowany na zjazd Czeskiego Towarzystwa Geologicznego. Cel wyjazdu był, jak zawsze: zapoznanie się z tematyką geologiczną prac prowadzonych przez naszych południowych sąsiadów. Otrzymałem paszport służbowy. Oprócz mnie jechali z Instytutu w Warszawie dr Jan Czerwiński, Janusz i Zofia Kopikowie i Maria Lindner; poza tym dr Stefan Kozłowski z Krakowa i dr Jan Morawski z Uniwersytetu w Lublinie.

Do Pragi i dalej do Czeskich Budziejowic, miejsca zakwaterowania Zjazdu, jechaliśmy pociągiem.

Zgodnie z programem oglądaliśmy południowo czeskie baseny sedymentacyjne ze słodkowodnymi utworami kredy górnej. Ponadto, gospodarze pokazali nam zamek w Hluboce i miasto Tabor. Tam oglądaliśmy pamiątki po Husytach i ich bohaterze narodowym, Janie Žižce. Powrót do Pragi, wizyta w Instytucie Geologicznym i zwiedzanie miasta. Obowiązkowa obecność u „Kaliha”. Lokal utrzymany w stylu epoki Szwejka. Na ścianie wisiał portret Franciszka Józefa, którego obsrały muchy. Szwejk za to poszedł siedzieć. Wieczorem byliśmy na pokazie „Laterna Magika”: połączenie kina i teatru. Aktorzy na scenie rozmawiają z aktorami z ekranów filmowych. Dobrze to było pomyślane. W Polsce takich atrakcji nie mieliśmy.

Następnie wyjazd na Barrandien. Gospodarze pokazują nam odsłonięcia paleozoiku. Przy okazji wiozą do wspaniale zachowanego średniowiecznego zamku w Karlsteinie. Robił on wrażenie; czas się tam zatrzymał. Po zakończonej delegacji, już w ramach urlopu, pojechałem z Marysią Lindner zwiedzić Karlowe Wary. Przez Pragę wracamy pociągiem do Warszawy. Wyjazd był ciekawy i bardzo udany.

4.VII-24.X.1961 Mongolia

(Kontrakt - prace geologiczne)

Dane z tego wyjazdu opublikowałem w artykule pod tytułem „Przez kraj ludzi, zwierząt i Bogów, w 40 lat później” (Wspomnienia z pierwszej polskiej ekspedycji geologicznej do Mongolii w 1961 roku). Opracowanie to było wydrukowane w ramach „Polscy Geolodzy za granicą” P.I.G – 2005.

30.V-12.VI.1962 Węgry

(Urlop organizowany przez PTTK)

Był to wyjazd turystyczny za granicę. Jechaliśmy całą grupą. Oprócz mnie jechał Sławek Smoleński, Bolek Kubica, Emil Woźny i Maria Lindner. Warszawa - Budapeszt pociągiem. Dalej autokarem do Siofok nad Balatonem, gdzie byliśmy zakwaterowani. W programie była też autokarowa wycieczka wokół Balatonu ze zwiedzaniem klasztoru w Tihany. Dalej zwiedzamy Balaton Foret, Keszthely z kąpielami w gorących źródłach. Do Balaton Foret płynęliśmy statkiem, na którym były tańce. Balaton Kiliki; chodziliśmy tam na wieś kupować wino. Do naszego towarzystwa dołączyła pani plastyk z Kielc, którą nazywaliśmy z węgierską Agnesz.

W drodze powrotnej zwiedzanie Budapesztu z Górą Gelerta i Wyspą Małgorzaty. Powrót pociągiem do Warszawy. Był to pierwszy urlopowy wyjazd za granicę; znak zmieniających się czasów.

2.X.-20.X.1962 Niemiecka Republika Demokratyczna (NRD)

(Wyjazd na sympozjum poświęcone kredzie saskiej)

Pierwszy raz za granicę jechałem sam. Z Warszawy do Drezna przejazd pociągiem. W gmachu muzeum w Dreźnie odbywało się sympozjum. Miałem tam referat poświęcony osadom górnokredowym Polski. Bałem się dyskusji, która wypadła jednak dobrze. W ramach spotkania pokazano nam zabytki miasta ze słynną galerią. Podczas wycieczek zwiedzaliśmy Pirne, Königstein i Bad Schandau.

Po zakończeniu sympozjum zostałem zaproszony przez dr Trögera do Freibergu, gdzie byłem gościem słynnej Akademii Górniczej. Mieszkałem u niego w domu. Był on kawalerem i mieszkał tylko z matką. Jego ojciec zginął koło Kijowa na froncie. Następnie na zaproszenie Instytutu Geologicznego i Niemieckiego Towarzystwa Geologicznego pojechałem do Berlina. W pociągu sprawdzano wszystkim dokumenty. Dyrekcja Instytutu zaproponowała mi wyjazd na Rugię. Wyjechałem tam samochodem z dr Hallerem.

Jechaliśmy przez Oranienburg, gdzie mieścił się znany obóz koncentracyjny. Zatrzymaliśmy się tam na krótko. Przejazd przez Neubrandenburg do Greiswaldu, gdzie zwiedzałem katedrę geologii na Uniwersytecie. Poznałem znanych mi z literatury geologów. Nocowaliśmy w Stralsundzie. Przejazd na Rugię do Sassnitz, na Königsstuhl i Kap Arkone. Rugia z pięć-

nymi geologicznymi odsłonięciami i widokami robiła wrażenie. Oglądałem tam prasłowiańskie zabytki archeologiczne.

Powrót do Berlina. Bardzo pomagała mi w tym czasie Eryka Schtanke. Zorganizowała zwiedzanie muzeum geologicznego, gdzie specjalnie pokazano mi oryginał Archaeopteryxa. Miałem też okazję zwiedzenia słynnego Pergamonu. W tym czasie mieszkalem u dr Deringa. Skończyła się bowiem moja delegacja i przebywałem już w ramach urlopu. Deringowie mieli bardzo ładny i pięknie urządzonej domek na przedmieściach Berlina. Na ich i Eryki zaproszenie byłem na kolacji z tańcami w Hotelu Berlin. Tam bawiliśmy się prawie do rana.

Eryka Schtanke była geologiem i szefową Niemieckiego Towarzystwa Geologicznego. Na zaproszenie tej instytucji jeździłem na sympozjum do Drezna. Tam ją poznałem. Bardzo ułatwiła mi pobyt na terenie Niemiec. Dzięki jej staraniom tak wiele widziałem. Eryka była rozwódką. Okazywała mi dużo sympatii. Temu nie można się było dziwić. Jej męskie roczniki wyginęły na wojnie. Samotnych kobiet w Niemczech było znacznie więcej niż mężczyzn. Chcąc się jej za pomoc zrewanżować, zaprosiłem ją na urlop do Zakopanego. Towarzyszyłem jej przez dwa tygodnie w jeździe na nartach, kuligach, wieczorkach tanecznych i wycieczkach górskich. Po jej wyjeździe parokrotnie spotykałem się z nią w Berlinie. Po wyjściu za mąż za ochroniarza z obstawy Ulbrichta nasze kontakty zostały przerwane.

Będąc w Niemczech postanowiłem jeszcze poznać rodzinę Ani. W związku z tym pojechałem pociągiem do Zwickau. Przyjechałem tam już późnym wieczorem. Nie znając miasta wziąłem taksówkę, która zawiozła mnie pod wskazany adres. Z biciem serca zapukałem do drzwi. Rodzina nie była uprzedzona o moim przyjeździe i nie wiedziała, jak będę przyjęty. Nikogo z nich nie znałem. Nie byłem pewny, czy nawet wiedzieli o ślubie Ani. Wuj Paul i ciocia Ida okazali się bardzo serdeczni. Zostałem wycalowany i przyjęty jak najbliższy członek rodziny. Dużo mi opowiadano o Ani aresztowaniu i kłopotach z wyciągnięciem jej z obozu. Z wypowiedzi babci Góreckiej sądziłem, że rodzina ta ma jakieś polskie korzenie. Paul temu zaprzeczył. Opowiadał o swoim aresztowaniu po wojnie i brutalności niemieckich strażników. Poznałem też tam dalszą rodzinę teściowej. Po serdecznym pożegnaniu wracałem do Warszawy. Wujka Paula już więcej nie zobaczyłem, gdyż wkrótce zmarł. Ciocia Ida parokrotnie odwiedzała nas w Warszawie.

7-13.VIII.1963 ZSRR: Leningrad (Sesja RWPG w Leningradzie)

Od dyrektora Instytutu, prof. E. Rühle, otrzymałem polecenie prowadzenia tematyki RWPG. Temat ten przejąłem po zmarłym dr Obuchowiczu z Instytutu Naftowego w Krakowie. Problematyka ta dawała mi duże możliwości kontaktów ze specjalistami i częste zagraniczne wyjazdy. Byłem więc zadowolony.

Do Leningradu wyjechaliśmy pociągiem. W skład delegacji, której przewodniczyłem, wchodził: dr Jan Calikowski i dr Stefan Młynarski z IG w Warszawie oraz geofizyk, dr Banaś, z Instytutu Naftowego w Krakowie. Tematem tej roboczej sesji było uzgodnienie metod prac prowadzonych w naszych krajach. W Leningradzie byłem już po raz drugi. Miałem więc tu znajomości. Urządzono nam zwiedzanie Ermitażu i Peterhofu. W nocy towarzyszyło się spiło, a Calikowski chorował. Zły byłem na tych moich kolegów. Szczególnie w picu trzeba mieć umiar.

Wracając, na dworcu w Leningradzie poznałem Polaka mieszkającego w Wilnie. Zaczęliśmy rozmawiać. Chętnie nawiązał z nami kontakt i przyszedł do naszego wagonu. Zaczęliśmy się wypytywać o to miasto i panujące stosunki. Byliśmy bardzo ciekawi, jak żyją tam nasi rodacy, którzy nie wrócili do Polski. Mówił, że można się przyzwyczaić. On został, bo miał tam dom i rodzinę. Mieliśmy z sobą alkohole kupione na prezenty. Z takiej okazji zostały odkorkowane. W serdecznej atmosferze nasz nowy znajomy zaprosił nas do Wilna. Pokaże nam miasto i przenocuje. Było to ryzyko, bo oficjalnie tego nie można było zrobić. Pokusa była jednak duża.

Zaczęliśmy dyskutować, co robić? Jaś Calikowski, wieczny pesymista i malkontent, powiedział, że i tak nie wyśiądziecie, po co więc się zastanawiać. To spowodowało, że z Banasiem postanowiliśmy skorzystać z zaproszenia. Wysiedliśmy na stacji w Wilnie. Nasz gospodarz i jego rodzina byli bardzo serdeczni. Obwieziono nas swoim starym samochodem i pokazano zabytki miasta: Ostrą Bramę, dawny Uniwersytet Stefana Batorego, Katedrę z zewnątrz. Tam było teraz muzeum. Byliśmy w pięknym kościele na Antokolu, na górze zamkowej Giedymina i na cmentarzu na Rossie. Zjedliśmy u nich obiad i kolację. Mieszkali we własnym dużym domu, więc nie było kłopotu ze spaniem.

Nazajutrz pełni wrażeń i zadowoleni z decyzji zostaliśmy odwiezieni przez naszych miłych gospodarzy na dworzec. Tam dopiero zaczęliśmy się

bać, czy nie będą jakieś przykrości ze strony władz. Jechaliśmy na kupione bilety do Grodna. Nikt się jednak nie zorientował i już bez kłopotów dojechaliśmy do Warszawy.

13-26.X.1965. ZSRR

(Wyjazd roboczy w ramach RWPG do Moskwy)

Jechałem do Instytutu Naftowego w ramach RWPG (temat: mapy paleogeograficzne obszarów granicznych między Polską a ZSRR). Do Moskwy leciałem samolotem. Na lotnisku czekał na mnie prof. Sazonow. Znowu zakwaterowany zostałem w hotelu „Ukraina”. Przez cały czas mojego pobytu pracowałem intensywnie na miejscu, zestawiając i zgrywając przywiezione materiały. Prof. Sazonow był człowiekiem niesympatycznym. Wiedziałem, że jest filatelistą, w związku z tym kupiłem mu w prezencie szereg nowych polskich znaczków pocztowych. Na drugi dzień zwrócił mi prezent, bo podobno już je miał. Było mi przykro. Prezentu nigdy się nie zwraca.

Osobą, która zajmowała się mną podczas całego pobytu była jego asystentką, Nazywała się Kotowa i z wykształcenia była inżynierem geologiem. Dzięki niej na nowo byłem w Teatrze Wielkim i na wystawie gospodarczej w parku Sokolnickim. Widziałem również panoramę bitwy pod Borodino. Od Kotowej nasłuchiwałem się strasznych rzeczy o jej szefie. Wprost go nie nawidziła. Przez ich wspólną do siebie niechęć miałem i ja przykrości. Opisałem je w części swoich wspomnień poświęconych pracy w Instytucie. Do Warszawy również wracałem samolotem.

24-29.I.1966. ZSRR

(Udział w sesji Towarzystwa Paleontologicznego w Leningradzie)

W sesji oprócz mnie uczestniczyli dr J. Kopik i dr L. Karczewski. Jechaliśmy pociągiem do Wilna, gdzie była przesiadka i dalej pociągiem do Leningradu. Wyjazd ten był dla mnie bardzo ważny. Będąc kierownikiem Zakładu musiałem znać najnowsze metody badań prowadzonych u naszych wschodnich sąsiadów. Ponadto chciałem poznać dalszych specjalistów i nawiązać z nimi współpracę.

Leningrad w zimie zupełnie inaczej wyglądał niż latem. W czasie wolnym od obrad robiliśmy nocne zdjęcia oświetlonych pałaców i pomników. Mieszkailiśmy w hotelu „Leningrad” (dawny carski Angleterre). Por-

tier dając nam klucze powiedział, że w tym właśnie pokoju popełnił samobójstwo znany rosyjski poeta, Jesienin.

Podczas tego wyjazdu poznałem akademika Wiałowa. Był bardzo ciekawym człowiekiem. Przed rewolucją ukończył „Szkołę Paziów” przeznaczoną dla wybitnie zdolnej młodzieży szlacheckiej. Ojciec jego był carskim generałem. Ponadto, był on świetnym gawędziarzem. Oprawdzał nas po nocnym Leningradzie opowiadając historię zabytków. Pokazywał, gdzie Josupow zamordował Rasputina i gdzie wrzucone były jego zwłoki do Fontanki. Z takimi ludźmi kontakt był prawdziwą przyjemnością.

Wracaliśmy koleją do Wilna. Tam całą noc wypadało czekać na dzienny pociąg do Warszawy. Nie szukaliśmy miejsca w hotelu. Zwiedzaliśmy Wilno mroźną zimową nocą. W swej wędrówce byliśmy nawet na zamkowej górze. Nikt z nas nie zmarł, a wrażenia pozostały. Tylko milicja podejrzliwie na nas patrzyła, lecz nie zatrzymywała.

4-17.III.1966. NRD

(sesja RWPG w Magdeburgu)

W sesji oprócz mnie wzięli udział dr Olewicz i dr Zieliński z Instytutu Naftowego z Krakowa. Przedstawialiśmy tam nasze najnowsze materiały dotyczące poszukiwań naftowych w Polsce. Gospodarze urządzili nam wycieczkę geologiczną w góry Harzu ze zwiedzaniem pięknego Wernigerode. W Magdeburgu chodziłem oglądać stare forty, gdzie internowany był Józef Piłsudski. W drodze powrotnej byliśmy na terenach wystawowych w Lipsku. Zatrzymaliśmy się również w Berlinie i Poczdamie. Zorganizowano nam wycieczkę do słynnego zespołu pałacowo-parkowego Sanssouisi. Byłem również w pałacu Cecilienhof, gdzie odbyła się konferencja poczdamska. Zachwycił mnie tam wnętrza.

18-25.VIII.1968. Czechosłowacja

(XXII Międzynarodowy Kongres Geologiczny w Pradze)

Spełniły się moje oczekiwania: jadę na Międzynarodowy Kongres Geologiczny do Pragi. Raz na 4 lata odbywają się takie kongresy w różnych częściach naszego globu. One rządzą geologią. Bez ich zgody nie można nic zmieniać w przyjętych i zatwierdzonych schematach geologicznych. One jedyne są władne do wprowadzenia wszelkich zmian i poprawek. Na kongresach spotykają się i dyskutują najwybitniejsi przedstawiciele danego kie-

runku. Dyskusje prowadzone są na wcześniej przygotowanych, doskonale opracowanych trasach i wytypowanych odsłonięciach. Dla każdego geologa udział w Kongresie jest nobilitacją.

Z Polski na tę wielką międzynarodową imprezę wyjechała parooosobowa delegacja. Każdy z nas wcześniej przygotowywał materiały do przewodnika kongresowego. Wycieczki terenowe, będące uzupełnieniem posiedzeń, nie ograniczały się tylko do Czechosłowacji. Przechodziły również na teren Polski, Niemiec, Węgier, Rumunii i Austrii. Każdy z tych krajów, przygotował u siebie trasy i najlepsze wybrane odsłonięcia.

Do Pragi pojechaliśmy pociągiem. Wszystkie hotele w mieście były zajęte przez uczestników Kongresu. Nas zakwaterowano w domu studenckim na przedmieściach Pragi. Dzieliłem pokój z doc. W. Ryką. W sąsiednich pokojach mieszkali inni koledzy i Dyrekcja Instytutu. Pierwszego dnia, zaraz po oficjalnym otwarciu, zostaliśmy zaproszeni przez delegację radziecką. Zaczęli najeżdżać na Dubczeka i Czechów. Mówili, że szykuje się u nich kontrrewolucja i mamy być ostrożni. Wydawało się to nam dziwne; czy chcą nas do swoich skrajnych poglądów przekonać? Zawsze tam było wszystko upolitycznione, więc pewno im kazano.

Wieczorem w czwórkę: Dyrektor IG, prof. J. Czerwiński, doc. Stefan Kozłowski, doc. W. Ryka i ja spacerowaliśmy po pięknie oświetlonym, pełnym ludzi Placu Wacława (Vaclavske Namesti). Otwarte sklepy i lokale, z których dochodziła muzyka. Jednym słowem: spokój i radość. Praga po ostatnich zmianach nie była tak szara, jak reszta krajów socjalistycznych. Znajdowała się w okresie przemian zapoczątkowanych przez Dubczeka. Przez historię okres ten nazwany został "Rewolucją Goździków".

Stojąc pod jednym ze sklepów, głośno rozmawialiśmy. Nagle podszła do nas jakaś niewiasta i zapytała się, czy jesteśmy z Polski. Zaczęła się wypytywać, jak jest u nas. Powiedziała, że jest lekarką polskiego pochodzenia mieszkającą w USA. Przyjechała leczyć się do Karlowych Warów. Zapytaliśmy się, dlaczego będąc tak blisko, nie odwiedzi swego starego rodzinnego Kraju. Na to odpowiedziała, że to jest niemożliwe. Jak by zobaczyła żołnierzy rosyjskich, to by umarła. Na nasze zapewnienie, że poza polskimi innymi nie zobaczy oświadczyła, że to nie są Polacy, tylko Rosjanie ubrani w polskie mundury. Nauczono mówić ich po polsku i kazano udawać Polaków. Wie lepiej, bo czyta gazety. Po naszym oświadczeniu, że to nieprawda, obrażona odwróciła się i odeszła. Następnego dnia dopiero zobaczyła prawdziwych Rosjan. Była na pewno przekonana, że ci, z który-

mi rozmawiała, to byli też Rosjanie przygotowujący inwazję Czechosłowacji.

Po powrocie do naszego miejsca zamieszkania całą noc słycać było huk silników samolotowych. Sądziłem, że śpimy gdzieś blisko lotniska, na którym jest straszny ruch. Ten nieustający warkot nas budził. Rano dobijanie się do naszego pokoju. Podają komunikat. Wojska Układu Warszawskiego wkroczyły do Czechosłowacji. Kongres zamknięty. Delegacje poszczególnych krajów opuszczają Pragę. Nam radzono, byśmy nie wychodzili z hotelu. Mimo takich zaleceń w kilku ruszamy na miasto.

Na przedmieściach ulice puste, zupełnie bez ruchu. Bliżej centrum widać stojące po bramach grupki dyskutujących, podekscytowanych ludzi. Przed Hradczanami czołg tarasuje wejście do zamku. Obok stoją rosyjscy żołnierze. Pytam się, jak można dojść do centrum. Tego nie wiedzą; tu droga jest zamknięta. Od strony miasta pojawiła się jakaś czarna, przypuszczalnie rządowa limuzyna. Kierowca jedzie na Hradczany. Gdy jadący zobaczyli czołg i żołnierzy, natychmiast się wycofali. Pewno jakiś minister chciał się skontaktować z Dubczekiem. W tym czasie był on już internowany.

Większość sklepów była zamknięta. Na ścianach pojawiły się napisy: „Breżniew równa się Hitler, a sowiecka gwiazda, to swastyka”. Na Małą Stronę wjeżdżała kolumna sowieckich czołgów. Stojący ludzie płaczą i wygrażają. Z drugiej strony Weławy słycać wybuchy i widać dymy. Idziemy w tym kierunku. Główna ulica, Václavské náměstí, pełna czołgów, wozów pancernych i ludzi. Słycać krzyki i pojedyncze strzały. Na pomniku Wacława pełno czeskich i czarnych żałobnych flag. Z tyłu Muzeum Narodowego widać dymy. To paliła się rozgłośnia radiowa na Winogradach. Tam doszło do walk. Zniszczony tramwaj, popalone samochody, połamane drzewa. Obok dopalający się sowiecki czołg. Znowu widać ludzi niosących na czeskiej fladze jakieś zwłoki, śpiewają i krzyczą.

Cofamy się znowu na Václavské náměstí. Ktoś na czołg rzucił zapalającą butelkę. Rozpoczyna się strzelanina. Skoczyliśmy do niezamkniętego sklepu i tam leżymy na ziemi. Nie wiemy, gdzie i kto strzela. W koło tylko słycać serie z broni maszynowej i krzyki ludzi. Okazało się, że ostrzelano budynek Muzeum Narodowego. Serie poodbijały szary tynk, na którym widać białe ślady po kulach i powybijane okna. Zacząłem fotografować; jakiś wojskowy biegnie w moją stronę. Wpadam do bramy; tam jest dużo ludzi. Nie rozpoznał mnie. Straciłbym pewno aparat.

Przy każdym czołgu stoi tłum i wymyśla żołnierzom. Krzyczą, dlaczego zbrojnie wkroczyli do państwa socjalistycznego. Jeden z żołnierzy

bijąc się w piersi tłumaczył: taki dostali rozkaz. Jeszcze dzisiaj rano był święcie przekonany, że są w Niemczech Zachodnich. Przykro było patrzeć na tych młodych żołnierzy, którzy nie wiedzieli, jak się tłumaczyć i co robić. Jak się bronić przed napastliwym tłumem? To była dla nich dziwna wojna. W mieście komunikacji nie ma żadnej; wracamy piechotą do naszej oddalonej kwatery.

Na moście „Karola”, przeżyliśmy ciężkie chwile. Rozgorączkowana grupa młodych ludzi, po starciach z Sowietami, zaczęła nas. Wtedy poznała, że jesteśmy Polakami. Zaczęto nam wymyślać. Od nich dowiedzieliśmy się, że do Czechosłowacji wkroczyły również polskie oddziały. Krzyczano, że stoimy zawsze po stronie ich wrogów, podobnie jak to miało miejsce w 1938 r. Przypomniano pomoc Hitlerowi i zajęcie Zaolzia. Ci podenerwowani młodzi ludzie stawali się coraz bardziej agresywni. Była obawa, że nas zrzucą z mostu do Wełtawy. Nikt by nam wtedy nie przyszedł z pomocą. Dopiero nasz kolega, doc. Sawicki, wybrał nas z opresji. Rzucił swoją teczkę na ziemię i zaczął głośno Rosjan przeklinać wymieniając ich wszystkie zbrodnie. Krzyczał: „Nie sądzicie, że jesteśmy z tymi bandytami. Jesteśmy tak jak i wy, w sowieckiej niewoli”. To naszych prześladowców przekonało. Wspólnie zaczęliśmy przeklinać Sowietów, Breżniewa i Gomułkę. Na zakończenie uściskali nam ręce i rozstaliśmy się w przyjaźni. Byliśmy uratowani, a tak mogło się źle skończyć.

Wszystkie delegacje na Kongres zostały z Pragi ewakuowane. Nas zostawiono i nikt nami się nie zajmował. W polskiej ambasadzie było masę ludzi oczekujących pomocy. Na budynku ambasady ktoś farbą umieścił napis – wstydzicie się Polacy. W sklepach nie należało mówić po polsku. Sprzedawali, lecz zawsze były złośliwe uwagi. W następnych dniach trochę się uspokoiło. Miasto było oklejone różnymi antysowieckimi hasłami i ry sunkami. Wydawana była niekontrolowana prasa. Wszędzie sowiecka gwiazda równała się swastyce. Zdejmowano szyldy z nazwami ulic, by okupacyjne władze miały trudności z poruszaniem się po mieście. Działały tajne radiowe rozgłośnie. Ludzie na ulicach chodzili i ostentacyjnie głośno je słuchali.

Wojsko czeskie nie było rozbrojone. Po mieście chodziły wojskowe, wrogie sobie patrole (sowieckie i czeskie). Obie strony nie zaczęły się. Ogłoszono godzinny strajk: wtedy zamarł cały ruch. Akcja ta złapała mnie i dyrektora Czermińskiego na mieście. Nie wiedzieliśmy, co to jest. Pytać się, by nas nie rozpoznano, było strach. Kto pojawiał się na ulicy, zaraz na niego krzyczano i rzucano z okien różnymi przedmiotami. Zmuszano do schowa-

nia się po bramach. Musieliśmy stać spokojnie w bramie jakiegoś domu, nie wiedząc, jak długo to potrwa.

Dopiero po tygodniu zostaliśmy ewakuowani do Polski. Kongres się nie udał. Zostały po nim jednak silne i wciąż żywe wspomnienia, które zapomnieć będzie trudno. Pozostała z takim trudem zrobiona dokumentacja fotograficzna. W pamięci zostanie również podziw dla tego narodu, jak mądrze i błyskawicznie potrafili się zorganizować. Jak wiedzieli, gdzie jest granica, której nie wolno przekroczyć, by uniknąć niepotrzebnych zniszczeń i ludzkich strat. Wiedzieli jak walczyć o swoje ideały.

Po powrocie do Warszawy pierwszy sekretarz partii, Janusz Biernat, spotkał się z uczestnikami tego przerwane Kongresu. Chciał usłyszeć relacje z przebiegu zdarzeń. Niewielu kolegów chciało na ten temat coś mówić. Na zakończenie spotkania zażądał, by nasze wypowiedzi nie odbiegały od oficjalnego stanowiska partii. Nasz kolega, doc. Henryk Pendias, nie zabierał w tej sprawie głosu, mimo to miał przykrości. O mało nie został usunięty z kierownictwa zakładu i z pracy. Zajścia w Czechosłowacji były pretekstem do personalnych rozgrywek. Opisałem to w części pamiętników dotyczącej Instytutu.

25.I.–5.II. 1969. ZSRR

(XV Sesja Towarzystwa Paleontologicznego w Leningradzie)

Do Leningradu jadę pociągiem razem z dr L. Karczewskim. Udział w sesji, na którą dostaliśmy zaproszenia, był dla nas bardzo ważny. Rozpoczęliśmy opracowanie paleontologicznych katalogów w ramach „Budowy Geologicznej Polski”. Chcemy na tej sesji się zaprezentować i pochwalić. Światowej sławy Akademik Naliwkin po naszych wystąpieniach oficjalnie nas pochwalił. Publicznie oświadczył, że polskie doświadczenia im pomogą. Polacy to już kończą, co my mamy dopiero w planie. W tym czasie to było dużym komplementem. Oficjalnie mówiło się tylko o przodującej na świecie nauce radzieckiej.

Akademika Naliwkina poznałem w Polsce. Wielokrotnie do nas przyjeżdżał. Ja organizowałem jego wszelkie spotkania ze specjalistami i wyjazdy w teren. Bardzo interesował się naszą historią i zabytkami. Szczególnie upodobał sobie Łazienki i Kazimierz nad Wisłą. Jeżdżąc z nim często zabierałem z sobą syna. Obaj lubili dyskutować. W Kazimierzu podczas obiadu chciał zabrać przyniesioną dla Norberta porcję. Uważał, że jest za duża dla

młodego chłopaka. Głodny Norbert złapał za talerz, ciągnie i nie pozwolił swojego dania odebrać. Wyglądało to bardzo śmiesznie.

Naliwkin był prezydentem Akademii Nauk ZSRR. Człowiekiem na co dzień spotykającym się z najwyższymi osobistościami w państwie. Opowiadał o swoich kontaktach ze Stalinem i Chruszczowem. Raz kupując w Warszawie kapelusz dla żony mierzył go na mojej głowie. Wywołało to wielką radość w sklepie. Był on też znanym filatelistą. Ja w tym czasie zbierałem Mongolię. W Leningradzie dostałem od niego najstarsze serie znaczków mongolskich i pierwszy polski znaczek z 1861 r., z czego się bardzo ucieszyłem. Trafiliśmy na uroczystości 90-lecia akademika Jaworskiego. Był on Polakiem z pochodzenia. Musiałem wystąpić z oficjalnym przemówieniem na jego cześć.



Wizyta prof. Dmitra Naliwkina, 1963. Od lewej - Edward Rühle, Naliwkin, S. Cieśliński, Jagielska.

W niedzielę pojechaliśmy z Leonem pod Leningrad, do Puszkina. To dawne „Carskie Sioło”, rezydencja Carów. Zwiedzaliśmy wnętrza pałacu i dawną Bursztynową Komnatę. Była pusta. Na ścianach wisiały tylko fotografie, jak kiedyś tu wyglądało. Postanowiono ją odtworzyć. Potrwa to jednak wiele lat. Pokazywano nam również miejsce w parku, gdzie Rasputin

był pochowany. Opowiadano, jak w okresie rewolucji został przez Bolszewików odkopany i następnie spalony.

26.X-1.XI.1969. ZSRR

(Robocza konferencja RWPG)

Do Moskwy lecimy samolotem. Z Polski jedzie prof. J. Czermiński, doc. Maria Pajchłowa i ja. Temat - uzgadnianie zasięgów map paleogeograficznych na obszarze Platformy Rosyjskiej. Materiały przygotowane na to spotkanie były podstawą wydania nowego, rozszerzonego atlasu paleogeograficznego Polski. Podczas całego pobytu, poza Teatrem Wielkim, nigdzie nie chodziliśmy. Było tak dużo pracy, że w Instytucie Naftowym siedzieliśmy od wczesnego rana, do późnego wieczora. Był to tylko wyjazd roboczy.

3-14.V.1970. ZSRR

(Urlop i pobyt w Moskwie na prywatne zaproszenie)

Jedziemy z Anią pociągiem do Moskwy na zaproszenie prof. O. Mazarowicza. Jest to rewanż za moje zaproszenie go do Polski. Ponad rok temu Profesor przyjechał z żoną i był przez dwa tygodnie w naszym kraju. Ulokowałem ich w Warszawie, w mieszkaniu Emila Woźnego. Emil był w tym czasie w delegacji. Byli więc nieskrępowani. Jadali u nas w domu, a ja organizowałem im przyjemności. Goście widzieli w Polsce bardzo dużo, łącznie z Krakowem. Obwoziłem ich swoją „Syrenką”.

Teraz my byliśmy proszeni. Musiałem z Anią walczyć, by namówić ją na wyjazd. Jeszcze ostatniego dnia przed wyjazdem chciała zrezygnować i zostać. Jak by to wyglądało, gdybym ja przyjechał sam? W Moskwie na dworcu czekali na nas Mazarowicze i Pietrenkowie. Byli służbowym uniwersyteckim samochodem. Mazarowicze dali nam pokój w swoim ładnym mieszkaniu. Było nam tam bardzo dobrze i wygodnie. Pierwszego dnia zabrani zostaliśmy do teatru Obrazcowa na „Niezwyczajny koncert”. Ania była zachwycona. Mówiła, że Obrazcow powinien dostać nagrodę Nobla za swoją twórczość. W następnych dniach dużo zwiedzaliśmy. Byliśmy proszeni na Uniwersytet Moskiewski. Tam poznałem szereg nowych i nieznanych mi do tej pory profesorów geologii. Następnie zaprowadzono nas do operetki. Była wystawiana „Sylwia” Emmericha Kalmana.

Zwiedzaliśmy Muzeum Puszkina, Galerię Trietiakovską i pod Moskwą, pałac w Archangielskoje. Postarano się dla nas o zaproszenie do „Muzeum

Diamentów” na Kremlu. Czegoś podobnego dotychczas nie widziałem. Diamenty szlifowane i nieszlifowane, diamentowy „Order Orła Białego”, który należał do Stanisława Augusta. Były też samородki złota i platyny ważące po kilkanaście kilo. Do tego „Алмазного Фонду” bardzo trudno się dostać. Wymagało to specjalnych protekcji Uniwersytetu Moskiewskiego. Dla siebie Mazarowicze tym razem nie dostali zaproszeń.

Ania bardzo się przestraszyła, gdy jakiś podróżny zaczął ją i zaczął się coś pytać. Nie bardzo rozumiała i nie wiedziała, o co mu chodzi. Siedzący obok moskwiczanie był ciekawy, dlaczego w tak słabo oświetlonym miejscu, jak metro, chodzi w ciemnych okularach. Sprawa się więc wyjaśniła i było po strachu. W następnych dniach byliśmy w polskim kościele na mszy i na sławnym cmentarzu: „Nowodiewicze Kładbiszcze”. Tam pokazano nam groby: złocony Chruszczowa i kamienną rzeźbę kobiety na mogile Nadieżdy Allilujewej – zamordowanej żony Stalina. Jakaś stara babcia nie chciała wpuścić murzyna do cerkwi. Twierdziła, że to diabeł. Jak widać, fanatyzm religijny nie ominął i Rosji Sowieckiej. W dniu 9 maja oglądaliśmy paradę zwycięstwa i wspaniałe ognie sztuczne. Urlop był bardzo udany. Odprowadzani przez naszych przyjaciół na dworzec, wracaliśmy pełni wrażeń pociągami do kraju.

3–29.VIII.1970. Bułgaria

(urlop „Syrenka” z Norbertem)

Na ten urlop Ani nie udało mi się namówić. Zdecydowałem się jechać tylko z Norbertem. Samochód wydawał się dobrze do drogi przygotowany. Zabraliśmy z sobą dużo jedzenia, by za granicą nie trzeba było wydawać socjalistycznych dewiz. Pierwszą noc śpimy w Dukli, oglądamy całą dolinę śmierci. Tu podczas drugiej Wojny Światowej zginęło ponad 90 tysięcy ludzi. Jak Koniew mógł ich tak pędzić na umocnione i nie do zdobycia pozycje? To było mniejsze Verdun. Pewno Stalin mu tak kazał. Śpimy blisko jakiegось mauzoleum byłych właścicieli Dukli. Podobno łobuzeria z trumien powyciągała szczątki i poustawiała je pod ścianami na zewnątrz.

Następnie jedziemy przez Koszyce, Miskolc, Debreczyn, Oradea, Kluż, Sybin, przełom Czerwonej Wieży, Ploeszti, Bukareszt, Dziurdzu, Russe do Warny. Tam odszukujemy koleżankę z pracy, Krysie Wyrwicką z dziećmi i jej przyjaciółkę, Wandę Herz. Wanda, z pochodzenia Żydówka, była asystentką na socjologii i po 1968 roku została wyrzucona z uczelni. Była ona przyjaciółką córki Bieruta, która z domu nazywała się Fornalska, a po mężu

Jankowska. Towarzystwo to poznaliśmy na przyjęciu u Krysi. Ania była zaszokowana i zaraz chciała wychodzić, jak zaczęli śpiewać pieśni rosyjskie. Panie chciały, byśmy zamieszkali w Warnie. Znalazły dla nas kwatere. Była droga, w centrum miasta i na drzwiach wisiał żalobny wieniec. Właściciel wynajmowanego pokoju przed paroma tygodniami zmarł na raka płuc. To nam się nie podobało. Po tygodniu, wynieśliśmy się do Albeny i na plaży rozbiliśmy namiot. Do morza było parę kroków

Szukając towarzystwa zaproponowałem paniom, by na pewien czas przenieść się do nas, do Albeny, gdzie jest znacznie lepiej, niż na kwatere w centrum Warny. Z przyjemnością to zrobiły. Odstąpiliśmy im nasz duży namiot, a sami z Norbertem spaliśmy w samochodzie. Zaczęłem urządzać wycieczki do Kamiennego Lasu, Słonecznego Brzegu i Kaljakry. Z początku było sympatycznie. Któregoś dnia Krysia po wypiciu większej ilości wina poleciała późnym wieczorem kąpać się do morza. W ciemnościach nie było jej widać. Przestraszona Wanda zaczęła się o nią bać. Jej dzieci wystraszone płakały. Proszono mnie o pomoc. Wskoczyłem do wody, odszukałem i wyniosłem na brzeg pijaną i gołą Krysię. Na tym tle doszło między paniami do kłótni.

Początkowa idylla zaczęła się psuć. Krysia napuszczana była przez Wandę. Powody zawsze się znajdują. Nie wożę je samochodem po okolicznych kurortach. Nie zapraszam do lokali na wino i nie chcę chodzić na tańce. Kończyły się też przywiezione z Polski zapasy żywności. Panie przyjechały się bawić, a nie siedzieć w namiocie i tylko na plaży. Ja je rozumiałem, lecz niestety, nie miałem pieniędzy. Wykupiony niewielki przydział obcej waluty musiał starczyć nam na powrót. Bez benzyny się nie pojedzie. Po nardzie z Norbertem pobyt w Albanii postanowiliśmy skrócić. W związku z tym odwiozłem panie do Warny. My jeszcze 2 dni zostaliśmy na miejscu. Rozkoszowaliśmy się mieszkając w wygodnym namiocie, a nie w ciasnym i nagrzanym samochodzie.

W drodze powrotnej zajechaliśmy do Mamaja; tam na urlopie przebywał Jacek Skassa. Przejeżdżając most na Dunaju w Hirsowa nie mogłem włączyć trzeciego biegu. Rzędy samochodów, ja jadę dwójką bardzo wolno. Obawiam się, by nie zakorkować mostu. Szczęście, udało się. Biegi na nowo zaczęły się włączać. Jedziemy dalej. Mijamy Ploeszti. Jest wieczór, zaczyna się psuć pogoda. Chcemy dojechać do Synai i tam na kempingu nocować. Nagle coś trzasnęło. Silnik chodzi, a samochód staje. Wiem, to awaria skrzyni biegów. Najgorsza rzecz, jaka się mogła stać.

Co robić? Zjechałem na pobocze. Jest niedziela wieczorem, ruch duży i zaczyna padać Droga wąska, muszę stać na światłach. Akumulator nie na długo starczy. Stałem koło samochodu szukając jakiegoś wyjścia. Mija nas „Syrenka” i zatrzymuje się. Jadą jacyś państwo z synem i pytają, co się stało? Objaśniam, że mam awarię i nie wiem, co robić? Proponują pomoc, wezmą nas na hol. Po przejechaniu paru kilometrów silnik ich się zagrzał. Do Synai jest cały czas ostro pod górę. Boją się, że ich silnik nie wytrzyma. Stanęliśmy w skalnej niszy; tu już się nie blokuje drogi. Światła mogą wygasić. Jest już noc, pada deszcz, a w koło pustka, góry i las. Ścieżką z lasu wychodzi paru mężczyzn z pochodniami. Przechodzą drogę i na nowo znikają w lesie. Wygląda to groźnie i niesamowicie. Proponuję naszym wy-bawcom, by nas tu zostawili. Będę coś kombinował. Tego jednak nie chcą zrobić. Chcą z nami czekać.

Nareszcie pojawia się jadący w stronę Synai duży ciężarowy samochód. Zatrzymuję i proszę, by wziął mnie na hol. Zgadza się. Podciąga mnie pod camping. Nie mając czym kierowcy płacić dają mu dwie nowe koszule. Jak się zgodził, radość. Pieniądze mam ściśle wyliczone, tylko na campingi i benzynę. Do jedzenia mamy jeszcze parę puszek wiezionych z Warszawy. Pogoda straszna, nie możemy rozbić namiotu. Śpimy w samochodzie. Obok nas stanęła jeszcze jedna „syrenka”. Tam więcej osób. Jest burza i tak leje, że o rozstawieniu namiotu nie ma mowy. Proponuję, że jedną osobę wezmę do swojego samochodu. W trójkę od biedy można spać. W czwórkę jest to niemożliwe.

Następnego dnia z rana nasi wczorajsi wybawcy proponują, że podciągną nas pod warsztat samochodowy. Nie wiem, czym będę płacił, lecz nie mam wyjścia. Jest jeszcze ciemno. Widać duży napis „Autoservire”, czyli to tu. Tam się serdecznie żegnamy. Ci mili Państwo przedstawiają się. Zapamiętałem nazwisko, Woznicy i mieszkają w Józefowie pod Warszawą. Pan Jerzy pracuje w Instytucie w Międzyzlesiu. Po powrocie do Polski odszukałem ich, by jeszcze raz podziękować. Bardzo się z nimi zaprzyjaźniłem. Byłem im bardzo wdzięczny za to, co dla nas zrobili.

Gdy się rozwidniło zobaczyłem, że „Autoservire” znaczy po rumuńsku sklep samoobsługowy, a nie warsztat, gdzie reperują samochody. Moja „syrenka” nie na chodzie, więc warsztatu szukać nie mogłem. Nie było innego wyjścia, wziąłem się sam za robotę. Musiałem silnik rozebrać i dokonać szeregu gruntownych przeróbek. Do przerzucania biegów trzeba było używać dźwigni centralnego ogrzewania. W trakcie jazdy wykonywał to Norbert. Na dwóch biegach (trzecim i czwartym) ruszyliśmy w kierunku odle-

glej Polski. Wracaliśmy przez Braszów, Sybin, Turde, Kluż, Oradee, na Szolnok.

Drzałem, czy znowu coś nie nawali. Jazda pod każdą górkę była straszna. Silnik, by ruszyć, musiał pracować na najwyższych obrotach. Chciałem wracać jak najkrótszą drogą do domu. Norbert uparł się natomiast, że chce jechać przez Budapeszt, którego nie widział. Trzeba było dołożyć kilkaset kilometrów. Jazda niesprawnym samochodem była prawdziwą sztuką. Z Norbertem jednak nie wygrałem. Pojechaliśmy do Budapesztu. Pobyt nasz trwał tam całe 3 dni. Jakiś sąsiad z campingu woził nas po mieście swoim samochodem.

Z Budapesztu wyjechaliśmy, jak się tylko zaczęło rozwidniać. Chciałem przejechać miasto przed ruchem. W bagażniku mieliśmy straszny bałagan. Jedzenie wymieszane z kluczami samochodowymi. Był to efekt awarii naszego pojazdu. W Szachach na granicy z Czechosłowacją wścibski celnik wsadził rękę do naszych bagaży, a tam była marmolada. Więcej już nie sprawdzał. Dalej przez Kraków, już bez kłopotów, dojechaliśmy szczęśliwie do Warszawy.

16–25.XI.1970. NRD

(Robocze spotkanie na temat standaryzacji stratygrafii między PRL i NRD)

Jadę z Lidią Jakubowską do ZGI (Centralnego Instytutu Geologicznego) w Berlinie. Tam prowadzimy rozmowy dotyczące współpracy naszych instytucji. Temat koordynuje Zakład Stratygrafii, którym kieruję. Strona niemiecka urządza wyjazd terenowy na odsłonięcia subhercyńskiej kredy, będącej przedmiotem moich zainteresowań. Prowadzi I. Diner. Jedziemy do Halberstadt, Quedlingburga, Blankenburga, Wernigerode, Ilsenburga, Osterwicka i innych miejscowości. Następnie jedziemy do Przedsiębiorstwa Geologicznego w Halle i na Akademię Górniczą do Freibergu. Tam gości nas dr K.A. Tröger. Powrót do Berlina i do Warszawy.

25–30.I.1971. ZSRR

(XVII Sesja Towarzystwa Paleontologicznego w Leningradzie)

Na sesję jedzie doc. Lidia Malinowska, inż. Lidia Jakubowska i ja. Do Leningradu lecimy samolotem. Oprócz interesujących nas referatów atrakcją są spotkania z wieloma rosyjskimi przyjaciółmi. Jak zwykle, nasi go-

spodarze zaprosili nas na balet do Teatru. Zdziwieni byli, że się wykręciłem. Woląłem spotkania i rozmowy z ciekawymi ludźmi poza teatrem. Wieczorem, po powrocie do hotelu, Lidka Malinowska schowała się do szafy, Lidii Jakubowskiej kazała powiedzieć, że w mieście zaginęła. Nie dałem się na to nabrać. W drodze powrotnej lecimy samolotem węgierskich linii lotniczych. Leci tylko parę osób. Obsługa męska dała nam dużo węgierskiego wina. W głowach nam się zakręciło i podróż była wyjątkowo przyjemna.

17-31.X.1971. Francja

(Uczestnictwo w sesji UNESCO w Paryżu)

Dyrekcja deleguje mnie na sesję UNESCO do Paryża. Jadę razem z Zastępcą Dyrektora Instytutu do spraw Geologii Podstawowej, doc. Aleksandrem Jelińskim. Jesteśmy oficjalnymi i jedynymi delegatami Polski na tę sesję. Paszporty otrzymaliśmy z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Temat sesji, to powołanie międzynarodowego programu korelacji geologicznej – IGCP.

Z Warszawy jedziemy pociągiem przez Berlin, Magdeburg, Brunswick, Hanower, Bochum, Düsseldorf, Kolonię, Aachen, Łagę i Brukselę. Tam mamy przesiadkę i trochę czasu na zwiedzenie miasta. Po paru godzinach jedziemy do Paryża. Jestem pierwszy raz na Zachodzie i miasto robi na mnie wielkie wrażenie. Wynajęliśmy z Jelińskim jeden wspólny pokój w hotelu koło dworca. Staramy się, by było jak najtaniej. Następnego dnia idziemy do Polskiej ambasady. Każą nam wynająć dwa pokoje. Dwóch mężczyzn w jednym pokoju, to nieprzyzwoicie. Dają nam adres taniego hotelu "Di Metro" na bulwarze Magenta.

Punkt jest bardzo dobry, bo w centrum, ale hotel nieciekawy. Bardzo ciemne pokoje. W każdym z nich, oprócz umywalni jest bidet. Nad łóżkiem na suficie jest zawieszona wielkie lustro. Nie wstając można się przeglądać. Tu musiał być dawniej burdel. Najważniejsze, że mamy osobne pokoje i jest tak, jak potrzeba.

Rejestrujemy się w sekretariacie UNESCO. Spotygam tam bardzo dużo znajomych geologów z różnych krajów. Przyjechali tak jak my na sesję. W składzie delegacji radzieckiej znam prawie wszystkich. Sesję otwiera Dyrektor Generalny UNESCO. Mówi o celach powołania tego programu. Wiąże się on z obawą kryzysu energetycznego na świecie. Obrady prowadzone są w 5 językach i odbywają się zarówno przed, jak i po południu.

Praktycznie siedzimy tam całymi dniami. Każdego dnia dostajemy komplet drukowanych materiałów, więc nie trzeba robić notatek.

Wieczorami, w soboty i niedziele, zwiedzamy miasto. Zapoznajemy się z najważniejszymi zabytkami. Jedziemy do Wersalu i oglądamy Luwr. Byliśmy również na „Pchlim targu”, czyli paryskim bazarze. Po sklepach szukam prezentów dla Ani. Kupiłem, ale były nietrafione. Wybrałem wełnę o kolorze zielonym „morskim”; takiego nie lubi. Kupiłem pantofle, niestety za duże. Natomiast bardzo ładne palto okazało się za małe. Odwiedziliśmy pod Paryżem moich znajomych, Nartowskich. Jędrzek był moim rówieśnikiem i czołowym polskim koszykarzem. Wyjechał do Francji i tam został. Do Polski wracamy przez Liège, Kolonię i Berlin. Po powrocie z Zachodu kraj nasz wydał się taki szary i bezbarwny. Wspólnie z Dyrektorem przygotowaliśmy raport dla MSZ i Służb Geologicznych. Zalecenia programu musiały być wdrażane do tematyki badań geologicznych.

29.II–2. III.1972. NRD

(Roboczy wyjazd, temat RWPG – Mapy Metalogeniczne)

Jadę sam. Wyjazd pociągiem do Berlina. Uzgadniałem tam kontakty map przygotowanych wspólnie z Niemcami. Temat „Metalogeneza” prowadził Dyrektor Naczelny IG, prof. Roman Osika. Z profesorem Osiką lubiłem współpracować, gdyż był to wyjątkowo uprzejmy i porządny człowiek. Ja za niego często musiałem jeździć na robocze spotkania. W ZGI umówiony byłem z dr Lecheld.

Zawsze widząc profesora Osikę przypominała mi się śmieszna historia z przed lat. Gdy w IG wprowadzano zaostrzoną dyscyplinę i straszne tajności, to nawet między naszymi budynkami obowiązywały przepustki. Bez nich nie można było się dostać do Instytutu. Z tego powodu raz nawet Profesora nie wpuszczono do gmachu. Mimo, że pełnił funkcje kierownicze w Instytucie i wszyscy go dobrze znali. To już była paranoja.

29.V.–2.VI.1972. ZSRR

(Roboczy wyjazd, temat RWPG – Mapy Metalogeniczne)

Na polecenie dyrektora Romana Osiki pojechałem pociągiem do Leningradu. Tam uzgadniałem sprawy redakcyjne wspólnie wydawanych map. Na miejsce przyjechałem bardzo rano, nikt więc po mnie nie wyjechał. Mia-

sto dobrze znałem i sam trafiłem do WSEGEI, czyli Instytutu Geologicznego. W tym czasie trwały „Białe Noce”. Przed 5 rano poszedłem nad Nową, usiadłem i przyglądałem się rzece. Była piękna słoneczna pogoda. Czulem wewnętrzną radość, jaki ten świat jest piękny. Rozmowy na miejscu prowadziłem z prof. Staryckim i kand. nauk, Udałową. Czas wolny spędzałem na spacerach po pięknym starym Leningradzie. Na zaproszenie gospodarzy byłem w dawnym cesarskim teatrze (Maryjskim) na balecie „Spartakus”. Wystawiony był wspianale.

Ze Staryckim miałem kiedyś śmieszne przejście. Przed paru laty przyjechał do Warszawy na zaproszenie dyrektora Osiki. Odbierałem go z dworca. Był wtedy po raz pierwszy w Polsce. Zaraz po przyjeździe zapytałem się, jakie ma życzenia. Prosił, bym pokazał mu w Warszawie pomnik i ulicę Lenina. Fotografuje te obiekty w miastach, które odwiedza. Jakie było jego zdumienie, gdy usłyszał, że ani pomnika, ani ulicy takiej tu nie ma. U nas w każdej wsi takie są, mówił zdziwiony.

Jechaliśmy ulicą Nowy Świat; w tym czasie dla ruchu jeszcze nie była zamknięta. Z daleka widoczne były kościoły Starego Miasta. Gość wiedział, że miasto było doszczętnie zniszczone. Sądził jednak, że kościoły ominął ten zły los. Bo, jak czytał w „Prawdzie”, księża razem z Niemcami mordowali ludność cywilną. Temu zaprzeczyłem, on jednak wiedział swoje i lepiej. Takie gazety, jak „Prawda”, pisały tylko prawdę i było na ten temat wiele artykułów. Następne pytanie: „Jeśli były zniszczone, to kto je odbudował?”. Odpowiedziałem: „Państwo i organizacje kościelne”. „Co teraz tam się znajduje?” Cóż mogłem powiedzieć: „Domy modlitwy”. „Jak to? Państwo odbudowuje i oddaje wrogim księżom?” Był zdumiony.

Następnie opowiadam, że nie tylko domy i kościoły, ale i wszystkie warszawskie pomniki były również zniszczone. Na Krakowskim mijamy Kopernika. Piękny, to widzi. Rzeźba słynnego Thorvaldsena. Powinien tu być. Dalej, konna postać ks. Józefa Poniatowskiego. Również tego samego rzeźbiarza. Pyta się: „To ten marszałek Napoleona, co był w Moskwie?” Dziwi się, dlaczego został odtworzony. Mówię, że to dar Kopenhagi. To rozumie, ale dlaczego my go tu w takim punkcie postawiliśmy? Mijamy Mickiewicza. Patrzy z aprobatą. Dobrze wie: był przyjacielem Puszkina. Z daleka widać kolumnę na tle zamku. „Któż to taki?” Odpowiadam: „Zygmunt III Waza”. „To ten, co zajął i okupował przez 4 lata Moskwę?” „Tak, ten sam”. „I on był na nowo postawiony?” Gdy potwierdziłem, pokręcił głową z niedowierzaniem. Skręcamy w Podwale; przed nami nowy pomnik. „Czyj to jest?” Odpowiadam: „Szewc i pułkownik, Jan Kiliński”. Widzi, że

żołnierz, bo trzyma w ręku szablę. O takim nigdy nie słyszał. „A z kim on wojował?” Co mogłem powiedzieć? „Z Moskalami”. Z wyrzutem się znowu pyta: „I jego też odbudowano?” Przytaknąłem; więcej już pytań nie było. Co sobie o nas pomyślał, tego już nie wiem.

Nasi goście ze wschodu zawsze byli czymś zdziwieni, gdy po raz pierwszy przyjeżdżali do Polski. Byliśmy dla nich już krajem zachodnim i prawie kapitalistycznym. Nie mogli zrozumieć, dlaczego rolnictwo nie jest skolektywizowane. Dziwiły ich prywatne sklepy i bazar Różyckiego. Jeden z gości się kiedyś zapytał: „Warszawiacy pewno nie wiedzą, że jest taki bazar? Gdyby wiedzieli, to by wszystko wykupili”. Co mogłem powiedzieć?

2–29.VIII.1972. Jugosławia

(urlop samochodowy z Anią i Norbertem)

Nareszcie zmieniłem samochód. „Syrenkę” po remoncie odsprzedałem Dierzykowi, a ja dostałem z Instytutu przydział na „wartburga”. To już był samochód z prawdziwego zdarzenia. Nie musiałem stale przy nim pracować i obawiać się, że w każdej chwili nawali. W związku z tym postanowiłem ruszyć dalej w świat. Wybór padł na Jugosławię. Tito nie podporządkował się Moskwie i prowadził niezależną politykę. Miał otwarte granice, zarówno z nami, jak i krajami kapitalistycznymi. Dla nas był to już Zachód. Jak zwykle, z dużymi oporami udało mi się namówić na wyjazd Anię. Norberta nie trzeba było namawiać.

Do Nowego Targu jechali z nami Watychowie (kolega z pracy z żoną). Był on góraliem i jechał odwiedzić swoją dziewięćdziesięcioletnią matkę. U nich nocowaliśmy. Następnie nasza droga prowadziła przez Budapeszt; tam złapał nas straszny deszcz. Dalej jechaliśmy przez Seged do Belgradu. Byłem tam umówiony z Borkiem Milakowiczem. Był on serbskim geologiem i przebywał w moim Zakładzie na stypendium. Miał nam pokazać miasto, lecz nie przyszedł. Miałem do niego o to pretensję. Wielu ludziom z pierwszego inteligenckiego pokolenia brakowało „kindersztuby”.

Miasto bardzo nam się podobało. Sklepy pełne towarów i dużo kolorowych reklam. Nie tak, jak u nas wtedy w Polsce. Następny etap, to Sarajewo. Bardzo ładnie położone. Tam odnaleźliśmy miejsce, gdzie Princyp zastrzelił księcia Ferdynanda i jego żonę. Te zdarzenie było bezpośrednią przyczyną wybuchu I. Wojny Światowej. Gdy prosiłem o informację, jakis przechodzień zaprosił nas do swego biura na herbatę. Było to bardzo sympatyczne. Z Sarajewa, przez piękną dolinę Neretwy dojechaliśmy do Mostaru.

Tam z ciekawością oglądaliśmy tureckie miasto z licznymi meczetami i słynny kamienny most. To tu nakręcano był austriacko-jugosłowiański film „Ostatni Most” z Marią Schell. Film ten zaliczam do najlepszych, jakie kiedykolwiek widziałem. Dalej wyjechaliśmy nad Adriatyk. Widoki oszałamiające: morze, góry i błękitne niebo. Jedziemy do Dubrownika, zwiedzamy miasto. Zatrzymujemy się na campingu w Mlini. Tu będziemy głównie odpoczywać.

Camping położony na wysokim morskim brzegu. Wkoło południowa roślinność, pinie i agawy. W głębokim jarze wrak rozbitego samochodu. Ostrzega, by uważać. Obok nas stali Francuzi i Niemcy; ci ostatni pijący całe hektolitry piwa. Anię pod figowcem ugryzła pszczoła. Tak krzyczała, że nasi zagraniczni sąsiedzi musieli ją ratować. Najważniejsze, że skończyło się na bólu i strachu. Jest uczulona na jad pszczeli. Urządzamy wycieczkę na południe do Kotoru i nad Zatokę Kotorską. Okolica i widoki precudne. Poniżej kempingu nowoczesny hotel, w którym akurat mieszkali Liz Taylor i Richard Burton. Grali oni główną rolę w nakręcanym właśnie filmie „Birtwa o Neretwę” Film ten zrobił na mnie duże wrażenie.

Podczas naszego pobytu męczyły nas straszne upały. Jednego dnia nareszcie się zachmurzyło; przyjeśliśmy to z ulgą. Leżąc na leżaku zauważyłem poruszenie. Sąsiedzi głośno coś wykrzykiwali gestykułując rękoma. Wszyscy wpatrują się w czarną chmurę na horyzoncie. Wtedy zauważyłem parę wirujących czarnych słupów. Ich wysokość przekraczała znacznie kilometr. Zbliżała się trąba powietrzna. Ludzie wpadli w panikę. Składali namioty. Ja złapałem aparat i z Norbertem robiliśmy zdjęcia. Wiedziałem, że jeśli na nas nadciągnie, to nie tylko namioty, ale i samochody nam zniszczy. Szczęście „trąba” przesuwała się równolegle do wybrzeża nie wyrządzając szkód.

Następny etap, to Split. Oglądaliśmy pałac Dioklecjana. Wzdłuż bulwaru aleja palm. Jest to najdalej na północ wysunięty punkt zasięgu tych roślin w Europie. Jedziemy wybrzeżem na Trogir. Tam zwiedzamy katedrę romańską. Wygląda na nasz barok. Nie ma nic z surowości tego stylu. Przez Szybenik dojechaliśmy do Zadaru. Przed nami wiał tu huraganowy wiatr. Widzieliśmy tego skutki. Campingowa przyczepa została zdmuchnięta z drogi w przepaść. Zawisła na samochodzie zaklinowanym między słupkami. Robiłem zdjęcia, wyglądało to groźnie.

Rijeka, to znane miasto. Dawniej miejscowość ta nazywała się Fiume i była włoskim portem wojennym. Zwiedzaliśmy kurort Opatija i półwysep Istria. W Puli podziwiamy świetnie zachowane Koloseum. Do dzisiaj odbywają się tam różne imprezy. Wrażenie na nas zrobiły typowo włoskie

miasteczka takie, jak Koper i Portorož (dawna Santa Lucia). Następnie jedziemy do Postojnej – tam oglądamy jedną z największych na świecie grot. Wjeżdża się kolejką. Wystraszona Ania uciekła i nie chciała za nic tam jechać. Po wyjściu z podziemi, gdy opowiadaliśmy o oglądanych cudach, zaczęła załować i wreszcie – chce ją zobaczyć. Dzięki temu byliśmy tam dwa razy. Widzieliśmy też grotę w Pivce: „Pivka Jama”.

W miejscowości Predjamski Grad oglądamy zamek stojący u wylotu wielkiej pieczary. Jedziemy do Lubljany. W Zagrzebiu przeżyliśmy chwilę grozy. Norbert nie wszedł do autobusu, którym wracaliśmy na camping. Ania zauważyła to dopiero w trakcie jazdy. Miasta nie znał. Nie wiedzieliśmy, co robić. Sprytny chłopak wrócił piechotą napędzając nam tylko strachu. Za namową Norberta pojechaliśmy dodatkowo podziwiać przepiękne Plitwickie Jeziora. Sceneria bajkowa. Jest to Jugosłowiański park narodowy. Masa jezior i wodospadów. W słońcu widoczne liczne tęcze. Tam nakręcano przygodowy film „Winnetou”. Wracaliśmy pełni wrażeń przez Varaždin, Balatonfired (gdzie gryzły nas komary), następnie Gyr, Bratysławę, do Warszawy.

25–30.VI.1973. ZSRR

(Służbowy wyjazd do Leningradu)

Jadę sam pociągiem do Leningradu. Jestem proszony do WSEGEI na konsultacje w sprawie map metalogenicznych. Temat RWPG. Trafiam znów na białe noce; zawsze robi to na mnie wrażenie. W mieście w tym czasie nie zapalają w nocy lamp ulicznych. Ludzie spacerują całą noc, bo widno. Szaro robi się między pierwszą i drugą. O trzeciej znów świeci słońce. Oglądałem nocną imprezę na Newie. Moi gospodarze urządzili mi wycieczkę do Pawłowska. Była to rezydencja Cara Pawła zamordowanego z rozkazu Katarzyny II. Piękny pałac i park. Pawłowski leżał już w strefie zamkniętej dla cudzoziemców. Jechałem służbowym samochodem, więc nie byłem kontrolowany.

5.VIII–1.IX.1973. Włochy

(Pierwszy urlop w Zachodniej Europie)

Inicjatorem wyjazdu na urlop do Włoch byli Woźnicy. Chcieli jechać, ale sami się bali. Stąd wyszła od nich inicjatywa. Propozycję przyjąłem z dużą radością. Wtedy zwrócili się z prośbą. Chcieli zabrać z sobą

przyjaciółkę, Olgę Hattowską. W swojej „Syrence” nie mieli jednak miejsca. Proponowali, bym zabrał ją do swego samochodu. Naturalnie się zgodziłem. Ania, jak zwykle, kategorycznie odmówiła wyjazdu. Miałem więc jechać tylko z Norbertem. W takim układzie ktoś miły i potrafiący gotować był bardzo potrzebny. Woźnicy przedstawili mi Olgę, która od momentu poznania budziła sympatię. Przyszłą trasę omawialiśmy wspólnie u Woźników w Józefowie.

Pracując w Instytucie nad redakcją „Budowy Geologicznej Polski” opowiadałem o swoich planach prof. Józefowi Obercowi z Uniwersytetu w Wrocławiu. Słuchał z zainteresowaniem i podziwiał inicjatywę. Następnego dnia dostaję telefon z Wrocławia. Profesor pytał się, czy nie potrzebujemy kucharza na powyższą wyprawę. Ofiarowuje swoje usługi. Odmówić nie mogłem, tym bardziej, że należał do ludzi wyjątkowo sympatycznych. Miałem więc już komplet w samochodzie. Gdy o wyjeździe wieść się rozniosła, przyszła do mnie koleżanka z zakładu, dr Ewa Biedowa. Chciała jechać z mężem swoim samochodem w naszej montującej się grupie. Odmówić nie można było. zaproponowałem, że jeśli jadą tylko we dwoje, to niech wezmą jedną osobę ode mnie. Będzie wtedy po 3 osoby w samochodzie. Wyrażono zgodę, lecz ani Profesor, ani Olga nie dali się ruszyć. Wtedy Biedowie znalazli następną chętną. Była to Stefania Bonderowa z Instytutu.

Podróż zaczęliśmy od Wrocławia. Tam czekał na nas Profesor z obiadem. Jak zobaczyłem, ile rzeczy chce z sobą zabrać, włosy stanęły mi na głowie. Masa żywności, duża deska do krajania, osełka i wiele innych zbędnych, jak sądziłem, rzeczy. Dopelnieniem wszystkiego była gruba, 5 toмова encyklopedia i młotek geologiczny. Mimo usilnych nalegań z niczego nie chciał zrezygnować. W samochodzie zrobiło się strasznie ciasno. Jedyna nadzieja, że jedzenia zacznie w drodze ubywać.

Droga nasza prowadziła przez Zgorzelec, Drezno, do Norymbergi. Tam zwiedzaliśmy wielki hitlerowski stadion, gdzie odbywały się słynne partyjne uroczystości. Następnie jedziemy przez Monachium, Garmisch Partenkirchen, do Innsbrucku. W drodze, jadąc z góry tak nagrzały mi się hamulce, że zjechałem na awaryjny zjazd, przeznaczony na wypadek pospuscia się hamulców. Zjawiła się policja i natychmiast kazała mi odjechać i nie blokować zjazdu. Na campingu brzydka pogoda; siedzimy w namiocie. Z pobliskiego lokalu słychać było muzykę i śpiewy tyrolskie z jodłowaniem. Robiło to wrażenie.

Następnie przejazd doliną Innu do Lichtensteinu. Tam zatrzymujemy się w Vadus. Jedyna stolica państwa mająca statut wsi. W Szwajcarii je-

dziemy przez Zurych, Berno, Lozannę, do Genewy. Tam idziemy zobaczyć gmachy Ligi Narodów. Od południa objeżdżamy Jezioro Genewskie. Fotografuję piękny zamek Chillon. Następnie Monte Rosa, skąd widać Matternhorn – najpiękniejszą górę Alp. Za namową Norberta decyduję się forsować przełęcz Furkę. Nie wiedziałem, że jest tak eksponowana. Widoki piękne, lecz włosy stawały mi dęba ze strachu. Droga „agrafka” bez zabezpieczeń, prowadzi skalnym urwiskiem ponad lodowce. Przełęcz położona między doliną Renu i Rodanu należy do najtrudniejszych w Alpach. Tego wcześniej nie wiedziałem, bo bym się na nią nie zdecydował. Z wielką ulgą zjechałem do Andermatt. Mój „Wartburg” nie nadaje się na góry. Ma wolne koło i nie można hamować silnikiem, a zjazdy wielokilometrowe. Strach o hamulce, które się strasznie grzeją.

W Andermatt na campingu stanął koło nas jakiś samochód z rejestracją niemiecką. Jechał nim tylko kierowca. Zaczęliśmy rozmawiać. Powiedział, że jest księdzem mieszkającym w Schwarzwaldzie i wraca z Watykanu. Wspominał, że w okresie wojny był w Afrika Korps. Widząc nasze bagażniki załadowane jedzeniem, dziwił się. Po co my to wozimy, przecież wszystko tu można dostać w sklepach. Musiałem mu tłumaczyć, że oszczędzamy na dewizach. Bo mogliśmy wymieniać tylko po 100 dolarów na osobę. Gdybyśmy chcieli jedzenie kupować, to nie starczyłoby na benzynę. Wiedząc, że jedziemy do Włoch, chciał dać nam liry, które mu zostały z pobytu we Włoszech. Naturalnie odmówiłem. Przed samym wyjazdem, przedstawił się, że nazywa się Kihnle i dał Norbertowi przewodnik po Rzymie. Po wjeździe do Włoch okazało się, że do przewodnika wsadził pieniądze. Było mi głupio, lecz co było robić.

Po powrocie do Polski napisałem do Episkopatu w Niemczech, prosząc o adres księdza. Odpowiedź i adres zaraz otrzymałem. Napisałem podziękowanie i wysłałem po niemiecku piękny album o Polsce. Zaczęliśmy utrzymywać przyjacielskie kontakty. W okresie „Stanu Wojennego” parokrotnie przesyłał paczki żywnościowe. Przyjechał też do Polski. Był u nas w Warszawie i u Norberta w Katowicach.

Następnie przez przełęcz św. Gotarda, której się bałem, zajęchaliśmy do Lugano. Przy Furce przełęcz ta nie stanowiła żadnej trudności. Następny punkt, to Mediolan. Zwiedzamy zabytki – piękna katedra i pałac Sforzów. Dalej Bolonia z dużym wojennym polskim cmentarzem. Oglądamy zabytki Pizy z krzywą wieżą. Wrażenie zrobiła Florencja, słynne miasto renesansu. Fotografuję, by wszystko zachować w pamięci. Na moście złotników kupili-

śmy z Norbertem dla Mamy prezent. Była to kamea oprawna w złoto. Nie podobała się, bo była zbyt mała,

Tu na campingu doszło do nieprzyjemnego zdarzenia. Woźnicki po-drapał swój samochód o drzewo. To pewno było powodem, że pani Hania przyszła do mnie z wyrzutami. Stwierdziła, że wstydzimy się ich „Syrenki”; dlatego chcą od nas odjechać. Ja zgłupiałem. Mówiła, że nie wie co zrobić z Olgą, bo u nich nie ma w samochodzie miejsca. Oświadczyłem, że to jest nieprawda i że Olgi nie mam zamiaru oddać. Bardzo z nią jesteśmy zaprzy-jaźnieni. Wtedy sprawa się wyjaśniła. Norbert do Krzysia, syna Woźnic-kich, jak to chłopaki, krytykował „Syrenki”. My mieliśmy Wartburga, więc było to coś lepszego. Tak przez młodych głupoli mogło dojść do niepo-trzebnych nieporozumień.

Rzym mi się nie podobał. Stare, brzydkie, średniowieczne budowle i gruzy antyku robiły wrażenie zburzonego miasta. Po zniszczonej Warszawie tego miałem dosyć. Naturalnie zwiedzaliśmy Forum Romanum, Koloseum, stare fontanny i pomniki. Podziwiałem Kolumnę Trajana i Łuki Triumfalne, w tym Łuk Sykstusa Sewera, Zamek Anioła i wiele innych. Cały dzień po-święciliśmy na Watykan. Wrażenie zrobiła Bazylika, Muzeum Watykańskie i Kaplica Sykstyńska. Byliśmy też w kościele „San Pietro in Vincoli” z łań-cuchami, jakimi miał być skuty św. Piotr,

Z Rzymu ruszamy na Monte Casino; tam zwiedzamy polski cmentarz i klasztor. Na campingu okradziono jakichś turystów z Polski. Wybito szyby w samochodzie i zabrano nie tylko pieniądze, lecz i paszporty. We Wło-szech strasznie trzeba uważać. Kraj ultrakatolicki, a złodziej na złodzieju. Neapol był dla mnie zaskoczeniem. Strasznie brzydki i śmierdzący; tu mieszkać bym nie chciał. Przypomina się słynne powiedzenie, „zobaczyć Neapol i umrzeć”, my dodajemy: „ze smrodu”. Wąskie śmierdzące uliczki i zniszczone fasady domów. Następnie jedziemy do Sorrento. W morzu chciałem się wykąpać, a woda jak w szambie, śmierdząca i z fekaliami. Do Capri płyniemy statkiem. Tam wynajętą łodzią dostajemy się do Lazurowej Grotty. Ona robi wrażenie. Ciemno, a wszystko zanurzone w wodzie świeci. Idziemy na Villa Jowis i na Anacapri. Tu dopiero jest naprawdę ładnie.

W drodze powrotnej w programie był Wezuwiusz. Niechętnie tam je-chałem, stromo i bałem się o samochód. Profesor nie chciał słyszeć, by po-patrzeć tylko z dołu. Kolejką dotarliśmy na samą wargę wulkanu. Dziura straszna. Od 1944 roku jest nieczynny. Miejscami jednak było widać snują-ce się dymy. Następnie jedziemy do słynnej Pompei, obejrzeć wykopaliska. Miasto zachowane wspaniale. Robią wrażenie odlewy ludzi, którzy zginęli

przy wybuchu. Na Herkulanum i Stabię nie ma już czasu. Jest niedziela, Biedowie też się tu zjawili po mszy w kościele. Opaczność nad nimi czuwała. Od razu trafili na antyczne burdello. My ateusze tego nie mogliśmy znaleźć, a to był gwóźdź programu.

Wracamy na Rzym i przez Perugię dojeżdżamy do Asyżu. To miasto św. Franciszka. Posiada piękne zabytki. Tam czekamy na przyjazd naszych współtowarzyszy. Trudno nam się dogadać co do dalszej trasy. Są różne propozycje i nie ma jednej decyzji. Po wyjeździe z Asyżu pogubiliśmy się. Każdy z nas już miał własne plany, dlatego nie starałem się ich odszukać. Woźnicy trzymali się Biedów, więc nie zostali sami. W Rimini odpoczywamy przez parę dni nad morzem. Plaża zatłoczona i nic ciekawego. Robimy wycieczkę do San Marino. Następnie przez Rawennę dojeżdżamy do Padwy. Tam idziemy na słynny stary Uniwersytet. Przed wiekami kształciło się na nim wielu Polaków. Są tam popiersia niektórych z nich: Kopernika, Jana Zamojskiego i Jana Sobieskiego. Byliśmy też w kościele z relikwiami św. Antoniego.

Docieramy do Wenecji. Poza placem św. Marka nic mi się tam nie podoba. Wszystko brudne i śmierdzące, łącznie z wodą w kanałach. Zwiedzając zabytki odszukujemy nawet renesansowy pomnik Kondotiera. Kopię jego mamy w Warszawie. Wieczorem przejażdżka tramwajem wodnym po Canale Grande. Gondolierzy śpiewali piękne pieśni neapolitańskie. Nam starszym się to podobało, a Norbertowi nie. Różnica pokoleń. Przez przełęcz Villach wjeżdżamy do Austrii. Zatrzymujemy się nad Ossiacher See. Norbert dostał gorączki. Nie bardzo wiemy, co robić. Musi leżeć w śpiworze, dostaje parę aspiryn, gorącą herbatę i od Oberca kieliszek wódki. To pomogło, następnego dnia było już po chorobie.

Profesor ciągnie nas do słynnej Akademii Górniczej w Leoben. Następnie przez Mayerling dojeżdżamy do Wiednia. Tu plan zwiedzania też mamy duży. Oglądamy miasto i jego zabytki z katedrą św. Stefana, Grinzing i słynne wesołe miasteczko na Praterze. Tam pamiętam "dom strachów" Osobny punkt to Kahlenberg, miejsce związane z Janem Sobieskim. Z Wiednia przez Bratysławę wracamy do Polski.

10-15.VI.1974. Czechosłowacja

(Bezde wizowa wymiana między Instytutami w Warszawie i Pradze)

Jadę pociągiem do Pragi z dr L. Karczewskim. W Ustrzednim Geologicznym Instytucie mamy zapoznać się z najnowszą metodyką prac stratygra-

ficznych. Osobą, która nami się zajmuje, jest dr J. Krzyż. Jesteśmy przyjęci przez dyrektora Milera; stara się on ułatwić nasz pobyt. Dyrektora poznałem już wcześniej na kolokwium w Dreźnie. Był on również moim gościem w Warszawie i na kolacji u mnie w mieszkaniu. Gospodarze organizują wyjazdy terenowe. Pokazują najciekawsze odsłonięcia paleozoiku Barrandienu i kredy koło Kładna. Zwiedzaliśmy również średniowieczny zamek w Karlsteinie. Ja Pragę dość dobrze znam; oprowadzam po niej Leona, który był tu po raz pierwszy. Naturalnie, zachodziliśmy do restauracji u Szwejka. Pobyt był krótki, lecz udany.

28.VII.–24.VIII.1974. Turcja

(Samochodowy urlop z Anią, Olgą Hattowską i Norbertem)

Inicjatorką tego wyjazdu była Ola. Miała rodzinę w Istambule i została tam zaproszona. Zaproszenia otrzymaliśmy również i my. Jak można było z takiej okazji nie skorzystać? Na krótko pojechali również z nami Biedowie i prof. Józef Oberc. Po paru dniach pobytu w Istambule wyjechali zwiedzać Grecję. My cały urlop postanowiliśmy poświęcić tylko Turcji. Droga nasza prowadziła przez Przemyśl i Lwów. We Lwowie zajechałem do Instytutu Geologicznego. Byłem tam po raz pierwszy. Bardzo serdecznie nas przyjęto. Ukraińskich geologów znałem głównie z literatury. W Instytucie zjedliśmy obiad. Chciano nas zatrzymać na dłużej i proponowano pokoje gościnne. Czasu jednak nie było.

Przez Tarnopol dojechaliśmy do Trembowli. W restauracji trzeba było coś zjeść. Odbywało się tam jakieś przyjęcie dla kolchoźników. Na stołach stało wiele butelek z alkoholem i ogórki kwaszone. Przypomniał mi się wtedy dowcip: ile Rosjanin może wypić wódki. Gdy pytano się o ilości: butelka, beczka, cysterna? Potwierdzał, że Człowiek Radziecki takie ilości pije bez kłopotu. Na pytanie, czy wypilby morze alkoholu? Odpowiedział przecząco. Nie może, bo nie starczy ogórków.

Następnie mijamy Czortków i Czerniowce. Przejazd przez terytorium ZSRR nie był łatwy. Drogi powybijane i w złym stanie. Można było się poruszać tylko wyznaczonymi trasami. Częste stałe punkty kontrolne nie zatrzymywały pojazdów. Spisywały tylko numery przejeżdżających samochodów. Dane te przekazywano do następnych punktów. Jeśli ktoś zjechał z trasy, lub się na dłużej zatrzymał, zaraz wszczynano poszukiwania. Były wtedy kłopoty.

Jadąc przez „Najwspanialszy Kraj Świata” przypomniały mi się opowiadania znajomego, pracownika zaopatrzenia z Instytutu - Żdaniuka. Swoim samochodem pojechał odwiedzić rodzinę mieszkającą koło Mińska Białoruskiego. Nie widział ich od wielu lat. Sam był Białorusinem i tam urodzonym. Podczas wojny wcielono go do polskiej armii. Po wyjściu z wojska nie wrócił do Rosji, ożenił się i pozostał na stałe w Polsce. Jadąc pierwszy raz w odwiedziny kupił w prezencie duży dywan zgodnie z życzeniem białoruskiej rodziny. Na granicy dywan został zatrzymany w depozycie, przewozić bowiem do Rosji takich rzeczy nie było wolno. Następnie celnicy poszukując jakiejś kontrabandy rozebrali mu samochód. W wielu miejscach pościągali nawet tapicerkę i wypuścili z 5 kół powietrze. Szukali, czy tam czegoś nie ma. W takim stanie zostawili rozbebeszony samochód. Musiał się dobrze namęczyć, by na nowo całość złożyć i napompować wszystkie koła. Kompresorów w tym czasie na przejściach nie było.

Do rodziny pod Mińsk dojechał już bez przeszkód. Było mu tylko przykro, że zamówiony wcześniej prezent zatrzymano na granicy. Kłopoty zaczęły się później. Zgodnie z zarządzeniem, poszedł meldować się na milicję. Tam zapytał się, czy może pojechać w celach turystycznych do Moskwy? To jest już tak blisko. Odpowiedziano, że naturalnie. Musi tylko napisać i złożyć odpowiednie podanie. Gdy dopełnił tę czynność, spytał się, kiedy dostanie odpowiedź usłyszał, że bardzo szybko, bo w ciągu miesiąca. „Ja tylko na 2 tygodnie tu przyjechałem”, wykrzyknął zdenerwowany. Jeśli tak, to się nie da. Miał jedną sprawę już z głowy.

W trzecim dniu pobytu pojechał swoim samochodem odwiedzić dalszych krewnych. W drodze złapała go kontrola drogowa. Zażądano pozwolenia na poruszanie się w danej okolicy. Takiego nie miał i nawet o takim nie słyszał. Gdzie trzyma samochód? Pod oknem, odpowiedział. To ludzie widzą obcą rejestrację? Potwierdził. Spisano protokół, ukarano mandatem i natychmiast kazano odstawić samochód do Mińska na parking. Do rodzinnej wsi może dojechać koleją.

Tak się zdenerwował, że natychmiast, mimo protestów, postanowił wracać do Polski. Na granicy zaczęły się na nowo kłopoty. Celnicy pewno uprzedzeni, po raz drugi rozebrali mu na kawałki samochód. Musiał znów sam na nowo je składać. Była to już typowa szykana. Za ostatnie posiadane ruble wykupił z depozytu celnego dywan. Następnie zażądano opłaty za korzystanie z rosyjskich dróg. O tym podatku nawet nie wiedział i nie miał już z sobą żadnych rubli. Chciał opłacić w złotychkach. Nie można. Pytał się, więc co ma w takim razie robić? Usłyszał, będzie stać, dopóki nie za-

placi. Zaczął się wyklócać, nie wiedząc, że naraża się na dodatkowe represje. W końcu poszedł na przejście graniczne i prosił przekraczających ludzi o zapomogę. Zaczęto się składać. Wyszukiwać w kieszeniach zapomniane kopiejki. Czuł się jak żebrak. Dopiero po złożeniu całej sumy, około 5 rubli, pozwolono mu nareszcie odjechać. Na zakończenie został powiadomiony, że ma zakaz na 10 lat wjazdu do ZSRR. Była to kara za łamanie nieludzkich przepisów.

Sypialiśmy jak zwykle na campingach. Przez Suczawę, Roman, Gałac, dojechaliśmy do Konstancy. Była to bardzo długa trasa. Przejechałem jednego dnia ponad 700 km. Byłem bardzo zmęczony. Tam w Mamaja spotkaliśmy Marysię i Zbyszka Szańkowskich. Byli tu samochodem na urlopie. Częstoowali nas alkoholem, mieli z sobą całą skrzynkę. Bardzo się dziwiliśmy. Upał, alkohol i piwo, nie idą z sobą w parze.

Następnie przejazd przez Bułgarię. W Warnie oglądamy pomnik i mauzoleum Warnieńczyka. Potem Słoneczny Brzeg, Burgas i Małko Tyrnowo, dojeżdżamy do granicy tureckiej. Tu zaczyna się wszystko nowe. Mamy wielką sympatię do Turków. Powód: kraj, który nie uznał rozbiorów Polski. Wjeżdżamy do Istambułu. Już z daleka widać potężne mury dawnego Bizancjum. W nowoczesnej dzielnicy Jesziljurt, blisko lotniska, odnajdujemy adres rodziny Oli. W Istambule mieszkają od paru lat. Pan Sielicki pochodzi z Polskich Kresów. Podczas wojny wywieziony w głąb Rosji. Ewakuowany z armią Andersa, służył w II Korpusie. Brał udział w bitwie o Monte Casino. Po wojnie skończył studia, o ile wiem to chemię i osiadł na stałe w Anglii.

Mieszkanie bardzo piękne i duże. Mieści się w 2 piętrowej willi, wkoło zieleni ogródka. Właściciel był w tym czasie sam. Żona jego pojechała na pewien czas do Anglii. W związku z tym w domu rządzi się same nasze panie. Gospodarz informuje, że lodówka jest pełna i mamy z niej dowolnie korzystać. Z okien ich mieszkania widać Bosfor i azjatyckie brzegi Anatolii. Duży taras. Jak zwykle na południu, kamienne podłogi. Chodzimy po nich bosy. W upalne dni, to sama przyjemność. Oprócz łazienki jest jeszcze pomieszczenie na dodatkowy prysznic. Często z niego korzystamy.

Istambuł pokazuje nam nasz gospodarz. Zwiedzamy słynne muzeum w Topkapi. Była rezydencja Sułtana. Wspaniałe zabytki i skarby. Oglądamy z ciekawością części haremowe. Następny punkt, to Hagia Sophia. Budowla ta za czasów bizantyńskich była najwspanialszym i największym na świecie kościołem. Po upadku Konstantynopola zamieniona na meczet. By pogodzić obie religie teraz jest muzeum. Z ciekawością oglądamy Błękitny Meczet

(Achmet Sultan) o 6 minaretach. Następną ciekawostką, to Meczet Sulejmana Wspaniałego z grobem jego żony Roksolany. Pochodziła ona z Polskiej Ukrainy i odegrała w Państwie Otomańskim znaczącą rolę. Lata, w których żyła, były okresem największego rozkwitu Turcji. Naturalnie, oprócz murów bizantyjskich zwiedzamy słynny Suk, wschodni bazar. Tam chyba wszyscy Turcy mówili po polsku.

Pan Sielicki zawiózł nas na Galatę, starą część Istambułu. To tu miał stracić oko Zagłoba. W dzielnicy tej mieści się katolicka parafia pod wezwaniem św. Antoniego. Tam pracował Polak, franciszkanin, ksiądz Filonowicz. On zaprowadził nas na ulicę Słodkich Migdałów. W obskurnej dzielnicy pokazał stary, odrapany i okropny dom. Mieszkał tam i zmarł Adam Mickiewicz. Teraz mieściło się w nim niewielkie i ubogie muzeum naszego wieszca. W piwnicy była tablica informująca, że w tym miejscu przez miesiąc spoczywała trumna ze zwłokami poety. W obawie przed cholera przez pewien czas nie pozwolono ciała pochować. Na tym domu-muzeum znajdowało się szereg tablic. Informowały po polsku i turecku o zdarzeniu, jakie miało tu miejsce. W polskim tekście było szereg błędów. Ciekawy byłem, kto to pisał. Kustoszem tego zaniedbanego obiektu była jakaś starszka Polka. Mężem jej był Rosjanin, były carski oficer. Podobno straszny pijak.

Po nabożeństwie zostaliśmy zaproszeni na kawę przez ks. Filonowicza. Było to nasze spotkanie z miejscową Polonią. Poznałem tam prof. Uniwersytetu w Istambule – Biskupskiego. Mówił piękną polszczyzną. Dowiedziałem się, że do tej pory nigdy nie był w Polsce. Profesor był przekonany, że Mickiewicza otruli agenci moskiewscy. Na tym spotkaniu były również dwie starsze panie, Polki, mieszkające tu od dziesiątków lat. Z jedną z nich zaprzyjaźnili się Sielicy. Była samotna. Wracając z kontraktu do Anglii zabrali ją do siebie. Do śmierci zapewnili jej godną starość. Traktowali ją jak członka rodziny. Mało jest ludzi, których było by na to stać.

Od miejscowej Polonii dowiedziałem się, gdzie pochowany został Dyktator Powstania Styczniowego, generał Marian Langiewicz. Pojechaliśmy tam pomodlić się na jego grobie. Miejscem pochówku był angielski cmentarz wojskowy z okresu Wojny Krymskiej (Haidar Pasza). Mieścił się on w azjatyckiej części Istambułu – Skutari. Przez Bosfor przepławiliśmy się promem. Cmentarz zadbane. Wskazał go jakiś młody Turek chwaliący się, że jest komunistą. Dałem mu za to parę polskich monet. By odszukać grób, trzeba było znów się pytać. Turecki cmentarny pracownik na pytanie Langiewicz od razu dodał - dyktator. Czyli wiedział. Grób ładnie utrzyma-

ny, napisy tylko w języku angielskim informowały, że leży tu były dyktator Polski i wymienione jego nazwisko.

Nasz gospodarz prosił nas do restauracji na typowo tureckie jedzenie. Pamiętam różne mięsa przekładane i razem pieczone. Gościnnie i wygodnie dom Sielickich trzeba było opuścić. Z Istambułu pojechaliśmy do polskiej wsi Polonezköy. Polacy nazywali ją Adampol, od imienia Adama Czartoryskiego. Po powstaniu Listopadowym kupił on ziemię i osadził tam byłych żołnierzy - uchodźców. We wsi odszukujemy ciocię Zosię Ryży powołując się na Sielickiego. Ciocia, sympatyczna starsza kobieta, zaprosiła nas do swego mieszkania. Na ścianie wisiał polski orzeł, portrety Piłsudskiego i Atatürka. Gospodyni chwaliła się pokazując krzesło, na którym u niej w domu siedział sam prezydent - wielki Atatürk. Chciała częstować nas obiadem. Zwiedzaliśmy polski kościół i cmentarz z grobem Ludwika Śniadeckiej-Sadyk. Robiły wrażenie groby wojskowych. Podane na nich były dane: gdzie walczyli w powstaniu i ich służba w armii tureckiej. Wzruszające było na przykład: pułkownik armii tureckiej Antoni Wieruski prosi o „Zdrowaś Mario”. W miejscowej herbaciarni nie wzięto od nas pieniędzy za zamówioną herbatę.

Przejazd przez Anatolię. W Gabze oglądamy miejsce śmierci i grób Hannibala. Jedziemy przez Izmit, Kütahya (przebywał tu Bem). Następnie Afion i słone jeziora na przedpolach Gór Taurus. To tędy wędrowali i walczyli Krzyżowcy podczas pierwszej krucjaty. Przez Denizli dojeżdżamy do Pamukale. Wspaniałe gorące źródła i białe trawertyny. Ślady rzymskich zabytków - ruiny Heriapolis. To tu spotykał się Antoniusz z Kleopatrami. Mieszkamy w tureckim hotelu. Duży basen, gdzie się kąpiemy, wkoło zieleń. Wewnątrz wszędzie miękkie dywany. Rano z pobliskiego minaretu Muezin wzywa na modlitwę. Ola się wystraszyła, że Turczynka chce ją porwać. Zabrała ją do siebie, by pokazać, jak się robi dywany. Ania narobiła rabanu; polecałem jej szukać i bronić. Nie było takiej potrzeby. Przy słodkiej herbacie miło spędziliśmy czas. Nagadać się było trudno, bo polski różni się bardzo od tureckiego.

Jedziemy do wspaniałego i dobrze zachowanego Efezu. Miasto św. Pawła i miejsce pierwszych Soborów. Podziwiamy agorę i wielki teatr, w którym do dzisiaj odbywają się przedstawienia. Następnie zwiedzamy Milet, Didymę i Bodrum. W tej ostatniej miejscowości był zamek i port Krzyżowców. Oglądamy ruiny słynnej świątyni Artemizjon spalonej dla sławy przez Herostratesa. Czy ten miał na zawsze wykreślić go z historii, a tymczasem przetrwał do dzisiaj. W Selczuk nad morzem Jońskim miesz-

kamy na campingu. Na plaży spotykamy Szwedkę, żonę Polaka pochodzenia żydowskiego. Mieszkają w Szwecji, a on nauczył ją mówić po polsku. Koło Efezu odszukujemy Domek Matki Boskiej. To tu, według XIX wiecznej niemieckiej wizjonerki, Matka Boska miała spędzać z apostołem Janem ostatnie lata swego ziemskiego życia. Ta niemiecka zakonnica nigdy tu nie była. W miejscu dokładnie opisanym wszystko się zgadzało. Znalezione tam kamienne fundamenty z przed 2000 lat. By się modlić przyjeżdżał nawet tu sam Papież – Paweł VI. Spod kaplicy i źródła, wspaniałe widok na wyspę Samos.

Przejazd przez duże miasto Izmir; to dawna Smyrna. Zwiedzamy ruiny Pergamonu. Stąd Niemcy wywieźli do Berlina wspaniałe zabytki, w tym cudownie zachowany ołtarz. Największe dzieło sztuki hellenistycznej. Powstał on około 180 lat przed naszą erą. Następnie podziwiamy Asklepion (świątynię Eskulapa – antyczne sanatorium) Dla mnie największym przeżyciem były ruiny Troi. Wychowałem się na Iliadzie i Odysei Homera. Podziwiałem Schliemanna i jego badawczą pasję. Chodziłem po nowym Ilium, powstałym na gruzach Troi. Szukałem śladów rzek Symocjs i Skamander. Oczami wyobraźni widziałem bohaterów tej wojny z przed 3200 lat. Patrzyłem na szczyt góry Ida, z której Zeus spoglądał na walczących herosów. Byli to:

Priam – król Troi,
 Agamemnon – król Myken,
 Hektor – jego syn,
 Menelaus – król Sparty, mąż Heleny.
 Parys - syn Priama, porwał Helenę,
 Helena – porwana żona Menelausa,
 Kasandra – córka Priama, branka Agamemnona. Zamordowana w Mykenach przez Klitajmestrę, żonę Agamemnona i Ajgistosa, jej kochanka.
 Achilles – bohater, zginął pod Troją,
 Odyszeusz - władca Itaki,
 Nestor - władca Pylos, najstarszy wódz,
 Andromacha – żona Hektora,
 Eneasza – ten, co ocalałych po zburzeniu Troi wyprowadził do Italii,
 Ifigenia - córka Agamemnona i Klitajmejstry, ofiarowana Bogom w ofierze za pomyślność wyprawy. Bogowie mieli ją zabrać do Taurydy.

Z Troi jedziemy na dawny Hellespont, Çanakale, Galipoli i Edirne. Sytuacja między Turcją i Grecją bardzo napięta. Grozi wybuchem konfliktu

między tymi dwoma krajami NATO. Wszędzie masy wojska, stanowisk broni maszynowej i różnych wojskowych pojazdów. Do anteny mam przychepioną turecką chorągiewkę. Wojskowi odnoszą się do nas bardzo uprzejmie. Wolimy jednak szybko opuścić niebezpieczną strefę. Nie ma się tu nawet gdzie wysuszać. W każdym krzakach jakieś bojowe stanowiska. Na granicy duża kolejka. Wracamy znowu na Małko Tyrnowo i Słoneczny Brzeg. Tam na campingu zagubiono nasze paszporty. Recepcjonistka powiedziała tylko „niama” i uważała sprawę za załatwioną. Zamiast odejść, stale zawracaliśmy jej głowę. Musiała w końcu przełamać lenistwo i paszporty znaleźć.

Dalej wracamy przez Warnę, Russe, Krajową i Żelazne Wrota na Dunaju. Tam nowa przygoda na campingu. W domkach strasznie dużo fruwalających dużych robaków. My śpimy w jednym z Norbertem i to nam specjalnie nie przeszkadzało. Mama dzieliła domek z Olą. Stamtąd długo w nocy dochodziły krzyki przerażenia. Nasza filozofia była taka: jeśli się nie można czegoś się pozbyć, to trzeba polubić. Następnie Timisoara, Arat, Oradea i Balaton. Tam śpimy; znowu dokuczały nam komary. Z Budapesztu jedziemy przez Łysą Polanę do Zakopanego. Zatrzymujemy się na krótko w Krakowie i powrót do Warszawy.

21.IX–5.X.1974. ZSRR – Czeczenia

(Kolokwium Inoceramowe w Groznym – Czeczeno-Inguska Republika)

Jadę z referatem na kolokwium Inoceramowe do Groznego. Będę go tam wygłaszał przed gronem specjalistów. Organizatorem tego kolokwium jest Sowiecka Akademia Nauk. Szefuje tej imprezie doktor Misza Pargament. Jestem z nim od dawna zaprzyjaźniony. Na moje zaproszenie przyjeżdżał do Polski. Było to dla niego wielkie przeżycie. Z Warszawy przez Moskwę lecę samolotem do Groznego. Już w drodze poznałem jedną z uczestniczek tego kolokwium, dr Udałową. W parę lat później spotkaliśmy się z nią w Algierii. Była z mężem na kontrakcie w EREM, w tej samej instytucji, w której i ja pracowałem. Bardzo się z nimi zaprzyjaźniłem.

Lecąc samolotem do Groznego, przy pięknej pogodzie widziałem całe pasmo górskie Kaukazu. Górował nad tym ośnieżony szczyt Elbrusu. Był to wspaniały widok. W Groznym kolokwium zakwaterowane było w wygodnej Turbazie (baza turystyczna). Tam odbywały się wszystkie posiedzenia i spotkania towarzyskie. Przez zawodową przewodniczkę obwiezieni zostaliśmy po mieście. Pokazała nam 5 pomników Lenina, bo tyle znajdowało się

w Groznym. Pięciokrotnie też usłyszałem jego życiorys. Cicho zapytałem się Miszy, powiedz, dlaczego jest ich tyle. On również szeptem odpowiedział „Dobrze, że jest tylko 5. Gdyby ktoś zaproponował postawienie następnego, nie byłoby opozycji”.

Wieczory, przy wspólnej kolacji, systemem kaukaskim spędzało się przy winie. Przepijało się toasty wygłaszając dowcipne oracje. Każdy wnoszący toast po zakończeniu swojego przemówienia udzielał głosu następnemu. O ile pamiętam, takie wystąpienia nazywały się po gruzińsku „nama-da”. Nasłuchałem się dużo dowcipów, często z radia Erewań. Politycznych jednak nie było. Akademik Wiałow dużo i ciepło mówił o Polsce, gdzie był parokrotnie. Siedząca obok mnie Rosjanka Natasza cicho powiedziała: „Szkoda, że ja tego nie zobaczę”. Wtedy zwróciłem się do niej, że ją do Polski zapraszam. Rosjanie bez zaproszeń prywatnie nie mogli jeździć. Bardzo za ten gest była mi wdzięczna. Wprost mi powiedziała, że uważa to za miły, lecz tylko żart. Słowa dotrzymałem. Wysłałem zaproszenie. Zorganizowałem jej pobyt w Warszawie i Krakowie. Było to dla tej sympatycznej, samotnej koleżanki po fachu, wielkie przeżycie. Zrobiłem dobry uczynek.

Dr Pergament w moim pokoju opowiadał, jakie miał kłopoty z synem. Wyjechał on pod Moskwę na wakacje. Kończył w tym czasie 18 lat. W Rosji jest to dla młodych ludzi wielkie święto. Dostają pierwszy dowód osobisty i nareszcie są dorosłymi. Syn nie czekając powrotu do domu, wyrobił sobie na miejscu taki dokument. Wbito mu tam miejscowe zameldowanie. W związku z tym Moskwa była dla niego zamknięta.

Chciał to odkręcić całymi miesiącami, bez skutku. To była tylko pomyłka wynikająca z niezajomości przepisów przez młodego człowieka. Walcząc o jego zameldowanie dr Pergament trafił nareszcie do generała, szefa moskiewskiej milicji. Miesiąc czekał na audiencję. Polecono mu przyzwoicie się ubrać i zabroniono odzywać. Z duszą na ramieniu poszedł. Weszli z sekretarzem do wielkiej, prawie pustej sali. Na jej końcu stało biurko, przy którym siedział ten dygnitarz. Powiedziano, że gdy generał na niego spojrzy, ma się bez słowa kłaniać. Zgodnie z poleceniem stanął na 5 metrów przed biurkiem. Sekretarz z jego dokumentami doszedł do generała i zaczął sprawę referować. Ten słuchał, założył okulary i spojrzał na kłaniającego się delikwenta. Bez słowa głową dał znać, że się zgadza. Szczęśliwy Misza tyłem, tak jak mu kazano, kłaniając się wycofywał się do wyjścia. Jak dobrze był ten proceder pomyślany. Zupełnie, jak z Gogola. Petent nie musiał samemu strzepić języka. Wystarczyło się tylko kłaniać.

Zaczęła się najciekawsza część zjazdu: wycieczki na odsłonięcia. Bałem się, czy dostanę na nie pozwolenia. Na każde moje opuszczenie Groznego organizatorzy musieli się starać o osobny dokument. Na niektóre z tras nie wyrażono zgody. W ostatniej chwili jednak zakaz cofano. Miałem więc szczęście. Wkoło Groznego widać było szyby naftowe, działające pompy i wysokie rury, tak zwane świece z płonącym gazem.

I-sza wycieczka prowadziła przez Wiedno (stolicę legendarnego Szamila). Przejazd przez przełęcz Haramia, 2119 m. Wiele wsi opuszczonych po wysiedleniu ludności. W Kezenoj i Hoj charakterystyczne budownictwo obronne z kamieni. Przypominają one wieże, do których można było się dostać tylko po drabinach z zewnątrz. Podobne średniowieczne budowle widziałem w Toskanii. Te ostatnie były jednak znacznie wyższe. Postój i wspaniałe odsłonięcia mieliśmy nad pięknym jeziorem Kizynoj Am.

II-ga wycieczka, to interesujący i malowniczy profil rzeki Argun.

III-cia wycieczka obejmowała "Wojenną Gruzjińską Drogę" do przełczy Gruzja i rejon góry Kazbek (nazwą tej góry nazwane były popularne rosyjskie papierosy). Wyjątkowo malownicza trasa. Mijaliśmy wiele wsi gruzińskich i czeczeńskich. Budownictwo niepodobne do europejskiego.

IV-ta wycieczka prowadziła na masyw Elbrusu. Obejmowała najwyższą część Kaukazu. Poszarpane urwiska, białe w śniegu szczyty i zielone dna dolin pozostawiały niezapomniany urok. Wychodząc późnym wieczorem ze schroniska podziwiałem dziką i piękną panoramę gór. Przy świetle księżycy bajkowo wyglądały wysoko zawieszony lodowce, odcinające się od skalnych stoków. W kierunku szczytu wjechaliśmy kolejką linową. Wyżej do lodowców trzeba było iść na piechotę. Zdobycie wierzchołka nie sprawiłoby trudności. Jest to taki wysoki stożek. Wojska niemieckie w 1943 roku dotarły tu i zdobyły górę. Zdjęcia tego sukcesu i strzelców alpejskich w białych ubraniach publikowano w gazetach. Było pięknie. Obiecowałem, że tu jeszcze kiedyś powrócę. Nie zanoszą się jednak, bym teraz mógł to zrealizować.

Będąc tu nie przewidywałem, że za parę lat te spokojne wtedy strony zamienią się w piekło. Wojna zniszczyła Grozny, wywołała nową falę uchodźców i spowoduje dalszą straszną nienawiść. Rosjanom trzeba było aż III wieków na podbicie Kaukazu. Zaczęło się to już za Iwana Groźnego, stąd nazwa Grozny. Piotr Wielki próbował siłą zaanektować ziemie położone między Rosją, a Morzem Kaspijskim. Systematyczny podbój zapoczątkowała dopiero Katarzyna Wielka. Po aneksji Gruzji, Armenii i Azerbejdżanu rozpoczęto podbój Kaukazu. Przez 35 lat, od 1829 do 1864

roku, trwały tu działania wojenne mające na celu złamanie oporu górali. Na ich czele stał szekil Szamil, genialny przywódca religijny i wojskowy.

Armia rosyjska pacyfikowała wsie czeczeńskie i inguskie. Były one ośrodkami oporu. W pacyfikacjach brał udział dobrze znany Polakom z okresu Powstania Listopadowego i rusyfikacji gen. Iwan Paskiewicz. Rewolucja bolszewicka nie przyniosła zmian na lepsze, a przeciwnie, nastąpiło zaostrzenie kursu. Walczono nie tylko z odrębnością narodową, tradycją, lecz i z religią. Walki partyzanckie trwały długo. Zakończyły się dopiero w 1928 roku. Następnie w latach trzydziestych wymordowano całą ich inteligencję. Po II wojnie światowej Czeczenów i Inguszków oskarżono o kolaborację z Niemcami. To było powodem, że Stalin przesiedlił całą ludność tych kaukaskich republik do różnych odległych miejsc. Duża część trafiła wtedy do łagrów.

Nikita Chruszczow zrehabilitował naród. Mogli więc wracać, lecz nie bardzo mieli już gdzie. Ich miejsce zajęli nowi osadnicy. Dzisiaj Czeczenów jest około 1,5 miliona. Duża część żyje w rozproszeniu. Jak dalej potoczą się losy tego narodu, tego nie wiadomo. Czeczeni mają trochę podobną historię do naszej. Cały czas walczą o niezależność i końca tej walki nie widać. Jest ich za mało, by mogli coś znaczyć w politycznych rozgrywkach wielkich mocarstw. Rosja, choćby ze względu na złoża ropy naftowej, nie zgodzi się na żadne zmiany.

19.VII.–20.VIII.1975. Hiszpania

(Urlop – wycieczka autokarowa do Hiszpanii)

Po udanym wyjeździe do Włoch pragnąłem dalej poznawać Zachodnią Europę. Balem się jednak jeździć swoim samochodem. Na podróż mogłem dostać i wywieźć jedynie 100 dolarów. To niedużo, a na wypadek jakiegokolwiek awarii, tragedii. Ponadto, mój „Wartburg” był nietypowym autem. Na Zachodzie nie było do niego serwisu. Jeśli coś nawali, to co wtedy robić?

Olga Hattowska też bardzo chciała by dalej z nami podróżować. Po pierwszych wspólnych wycieczkach bardzo przypadliśmy sobie do gustu. Razem ze mną zastanawiała się, jak rozwiązać ten problem. Rozumiała moje obawy i wynikające z tego obawy. W końcu zaproponowała, bym podjął się zorganizować wycieczkę autokarową. Obiecała w tym pomoc. Wie, że jest to możliwe. Pracownicy Banku Narodowego jeździli na takie imprezy. Zapaliłem się do tego pomysłu. Na moją prośbę skontaktowała się z wi-

cedyrektorem, o ile pamiętam, Grabowskim. Miał on w tych sprawach duże doświadczenie; sam był organizatorem takich bankowych imprez. Dyrektor przyjął nas bardzo uprzejmie i o wszystkich poinformował. Mówił też o trudnościach, jakie się będą piętrzyć przed organizatorami. Przestrzegł, że najwięcej problemów stwarzają sami uczestnicy. Nie było to zachęcające, ale z Olgą postanowiliśmy spróbować.

Bogatszy w jego doświadczenie wiedziałem, że taki wyjazd musi być firmowany przez państwową instytucję. Podpisy moje czy Olgi, nic nie znaczyły. Zacząłem sondować, czy Dyrekcja Instytutu wyrazi na to zgodę. Pierwsze rozmowy wypadły niezachęcająco. Spotkałem się z odmową, a nawet z wrogim stosunkiem do powyższej inicjatywy. Widząc, że w pionie naukowym nic nie załatwię, zwróciłem się z prośbą do dyrektora administracyjnego - Romana Iwanienki. Był on najmłodszym z dyrektorów, którego, niestety, najmniej znałem. Iwanienko nie tylko wyraził zgodę, ale i ucieszył się rezerwując dla siebie 2 miejsca w przyszłej wycieczce. Bez obawy przygotowane pisma podpisał. Głównemu Księgowemu polecił również je parafować. Było to zobowiązanie finansowe. Nie bał się, że będzie musiał za nas płacić.

Najtrudniejsza rzecz była poza nami. Sprawy autokaru załatwiliśmy w PKS. O paszporty każdy musiał się starać indywidualnie. Do podań dołączane były tylko odnośne pisma. Wszystkimi sprawami finansowymi kierowała Olga. Każdego informowała, jak ma się starać o przydziały dewiz. Nabór kandydatów nie był też sprawą prostą. Nie chcieliśmy puścić tego na żywioł. Wiadomo było, że od doboru ludzi zależeć będzie sukces wyjazdu. Dlatego wszystko załatwiano się po cichu i po znajomości. Na reakcję pracowników nie trzeba było długo czekać. Domagano się informacji o powyższej imprezie, która miała jakoby być finansowana przez Instytut. To wyjaśniła Dyrekcja. Mimo tego, szereg osób miało nieuzasadnione pretensje.

Wspólnie przygotowaliśmy trasę przejazdu. Każda rzecz omawiana była w szczegółach. Wiele osób zgłaszało się do pomocy. Krzysztof Pa-procki, pracownik Politechniki i mąż naszej koleżanki z Instytutu, przygotował przewodnik. Był on pisany ręcznie, odbity w wielu egzemplarzach i oprawiony. Każdy z uczestników otrzymał taki materiał wraz z kompletem map. Wszyscy ponadto dostali plany autokaru z wyznaczonymi miejscami do siedzenia. Założenia były takie, że starsi siedzą w przodzie, a młodzież na końcu autobusu. Przygotowano listy dyżurnych. Stronę geologiczną trasy przygotował wybrany zespół. Staraliśmy się, by nie było najmniejszych niedomówień. Każdy też otrzymał informację, ile może wziąć bagażu, lecz

z tym były kłopoty. Mieliśmy też z sobą lekarza, dr Drągowskiego, i odpowiednią ilość medykamentów.

Doc. Leszek Sawicki z Wrocławia z niewielkim zespołem wydawał codzienną gazetę, dowcipnie informującą o wszystkich przygodach. Gazeta nazywała się „El Toro” (po hiszpańsku byk). Na jej łamach każdy mógł próbować swych sił. Pisana była tylko w jednym egzemplarzu. Po powrocie do Kraju była powielona i rozdana uczestnikom. Była to świetna zabawa. Wspólnego zwiedzania nie było. Każdy miał przewodnik, więc wiedział, co warto zobaczyć. Obowiązywała natomiast ostra dyscyplina. Za najmniejsze spóźnienie była straszna awantura. Dzięki temu nie było niepotrzebnych przestojów i związanych z tym pretensji. W trakcie drogi powołana została dodatkowa „rada czarnych pułkowników”. Jej celem było wsparcie kierownictwa i przeciwdziałanie ewentualnym nieporozumieniom, jakie mogły powstać w trakcie drogi. Do barwnych osób naszej imprezy należała Rena Kosmulska, Główny Geolog Wojewódzki w Lublinie. Była duszą wszystkich towarzyskich spotkań, wycieczek i zjazdów.

Ruszyliśmy spod Instytutu. Jedziemy wspaniałym nowym mercedesem z klimatyzacją. Bardzo dużo osób wyszło nas pożegnać. Dyrektor Czermiński spytał się, ilu zabieram z sobą ludzi. Odpowiedziałem, że 42 osoby. Jak wrócisz będziesz miał 41 wrogów. Te hiobowe przepowiednie, na szczęście, się nie sprawdziły. Zespół był wspaniały i bardzo zżyty. Od tamtej pory minęły lata, a my się wciąż przyjaźnimy.

Zatrzymujemy się w Luxemburgu. Twierdza, katedra i zamek książęcy. Metz nad Mozelą. Kolebka dynastii Karolingów i katedra gotycka. Verdun, forty, okopy bagnatów, cmentarze, Panteon. Podczas I. Wojny Światowej zginęło tu około 800 tysięcy ludzi.

Paryż. Zwiedzamy Luwr, Wersal, pałac Trianon - rezydencję M-me Pompadour i Marii Antoniny, Katedrę Notre Dame, Luk Triumfalny. Pola Elizejskie, Hotel Lambert - była rezydencję Czartoryskich, Pałac Inwalidów i Wieżę Eifla.

Orlean nad Loarą. Stolica Kapetyngów, miasto wyzwolone przez Joannę d'Arc. Jedziemy doliną Loary, nad którą zlokalizowanych jest 130 zamków. Zwiedzamy tylko Blois. Następnie Tours; tam znajduje się grób św. Marcina. W Barsac pod Bordeaux nocujemy na campingu. Jesteśmy proszeni do winnicy na degustację wina. Pić można za darmo, jeśli się chce wynieść - trzeba płacić.

Lourdes - sanktuarium i miejsce licznych pielgrzymek. Tam św. Bernadetta, córka młynarza, w 1858 r miała widzieć Matkę Boską. Oglądamy

Cudowną Grotę i 2 kościoły. W tej miejscowości jest cały przemysł obsługujących chorych pielgrzymów. Robi to przygnębiające wrażenie. Tu z Olgą mieliśmy kłopoty z odszukaniem autokaru. Zlekceważyłem tę niewielką miejscowość i nie zapamiętałem, gdzie był zaparkowany. Musiałem z Olgą całe miasto przelecieć w koło. Następnie jedziemy przez Bayon do Biarritz (słynny kurort).

W Hiszpanii przejazd przez San Sebastian do Zarautz nad Zatoką Biskajską. Duże przypyły morskie. Jadzia Mameczar ciągnęła prof. Oberca na nocny spacer przy księżycu, wzdłuż wybrzeża. Profesor się zerwał, a ona go szukała po krzakach. Było się z czego pośmiać. Następnie mijamy Bilbao, stolicę Baskonii. Przejazd przez Góry Kantabryjskie. Zatrzymujemy się w Burgos, stolicy Kastylii; to miasto Cyda. Wspaniała gotycka katedra z XIII w. Jedziemy na południe. Przejazd wąwozem Somosierra przez góry Sierra Guadarrama. Tam na przełęczy chóralnie została odśpiewana pieśń o Kozietulskim:

A czyż to imię rozlega się sławą,
Kto walczy za Francję z Hiszpanami krwawo?
To konnica polska, sławne szwoleżery
Zdobywają cudem wąwóz Somosierry.

Już francuska jazda cofa się w nieładzie,
Pod śmiertelnym ogniem wał trupów się kładzie.
A wtem Napoleon na Polaków skinął -
Skoczył Kozietulski, w czwórki jazdę zwinął.

Na wiarusów czele jak piorun się rzucił,
Wziął pierwszą baterię, ale już nie wrócił.
Skoczył Dziewanowski, jak piorun się rzucił,
Wziął drugą baterię - ale już nie wrócił.

Skoczył Krzyżanowski, jak piorun się rzucił,
Wziął trzecią baterię - ale już nie wrócił.
Jeszcze się została ta bateria czwarta...
Bronią jej Hiszpanie, walka wre zażarta.

Niegolewski młody spiął konia ostrogą,
- Może stracę życie, lecz sprzedam je drogo!
Jak wicher się rzucił i jak błyskawica,
A za nim, jak burza, ta polska konnica.

Już biorą armaty, już tną kanoniery,
Już wzięli Polacy wąwóz Somosierry.

Niepolewski ranny, z konika się chyli,
Napoleon z piersi orła mu przyszpili!

I rzecze ściskając rannego junaka:
Nie ma niepodobnej rzeczy dla Polaka!

(Maria Konopnicka)

Autokar nasz jest radiofonizowany; cały czas podczas jazdy z magnetofonu grana jest hiszpańska muzyka. Naszym ulubionym utworem stała się znana melodia „Que viva España”.

Madryt. Zwiedzamy zamek królewski, pomnik Cervantesa, Pałac Kortezów i Muzeum Prado. Największe wrażenie zrobił na mnie obraz Diego Velázquez - Infantka (tak namalowany, że w odbiciu w lustrze wygląda na trójwymiarowy). Z Madrytu robimy wycieczki w okolice. Wrażenie robi Segovia – z akweduktem rzymskim czynnym do dzisiaj. Katedra z XVI w., muzeum i zamek. Następnie jedziemy do Avili; miasto założone przez Rzymian. Wspaniałe mury obronne, grób i cła św. Teresy. Dalej El Escorial – jeden z największych zespołów architektonicznych świata. Wszystko w jednej bryle: zamek, kościoły, pałace i koszary. Po drodze mijamy Santa Cruz del Valle - Świąty Krzyż w Dolinie Poległych. Najwyższy krzyż świata, 150 m wysokości. Groby z okresu wojny domowej. Ma to być miejsce pojednania Frankistów i Republikanów. Generał Franko jeszcze żyje, dużo ulic jego imienia.

Po opuszczeniu Madrytu udajemy się do Toledo. Dawna stolica Wizygotów. Wspaniała gotycka katedra z cudownym ołtarzem z XIII w. Monstrancja ze złota przewieziona przez Kolumba. Obrazy Velázquez, El Greco i Rafaela. Zamek Alkazar znany z okresu wojny domowej. Republikanie złapali syna dowódcy obrony. Chcieli go zwolnić za poddanie fortecy. Syn apelował do ojca, by się nie zgodził. Wolał zginąć. Alcántara – most rzymski na Tagu, czynny do dzisiaj. Dom El Greca i stare miasto. Przejazd przez La Manchę. Fotografujemy wiatraki związane z historią Don Kichota.

Następnie Kordoba. Już w starożytności liczyła około 500 000 mieszkańców. Oglądamy dzielnice arabskie i żydowskie. Mezquita, to były meczet, w który wbudowana jest katedra chrześcijańska. Słynne portale z kolumnami. Przejedźdżamy przez pasmo górskie Sierra Morena. To tędy z Sewilli do Kordoby jechał bohater powieści Potockiego „Dzienniki znalezione w Saragossie”. Przed wyjazdem do Hiszpanii oglądałem sfilmowaną wersję tej powieści.

Prawdziwą perłą jest Sewilla, stolica Andaluzji położona nad rzeką Gwadalkiwir. Dużo jest tam do oglądania. Katedra z XV wieku z grobami Kolumba i Korteza. Giralda – dzwonnica z XII wieku, przerobiona z meczetu. Jest ona symbolem miasta. Złota Wieża – gdzie składowano złoto przywożone z nowo odkrytej Ameryki. Madonna Macarena – najpiękniejsza rzeźba płaczącej brylantowymi łzami Madonny. Alkazar z XIII w. Mieściło się tu straszne więzienie Inkwizycji.

Jedziemy na Kadyks - port nad Atlantykiem. Z tej miejscowości wyruszał Kolumb w swój odkrywczy rejs. Mijamy Trafalgar, miejsce bitwy i śmierci admirała Nelsona. Docieramy do Algeciras - Cypla Europy. Widać już Afrykę. Promem można stąd dostać się do Cełty. Stajemy na granicy z Gibraltarem; tam wjechać nie można. Między Anglią i Hiszpanią trwa o tą skalę spór.

Ruszamy wybrzeżem dalej i szukamy miejsca, gdzie można zatrzymać się na dłużej. Jesteśmy już zmęczeni ciągłą jazdą. Jest późno, a wszędzie campingi przepelnione. Nareszcie znaleźliśmy miejsce w znanym kurorcie Fuengirola. Miejscowość ta nie jest obca Polakom. To tu kapitan Młodziejowski z Legii Nadwiślańskiej rozbił desant angielski w 1808 r. Wziął do niewoli ponad 2000 jeńców. Odпочzywając i kąpiąc się spędziliśmy tam 3 dni. Nasze panie porozwieszały prania na sznurach przyczepionych z jednej strony do namiotów, a z drugiej do jakiegoś stojącego obcego autobusu. Gdy ten ruszył, to porozwalała nam całe nasze namiotowe obozowisko.

Po odpoczynku jedziemy wzdłuż Costa del Sol (Riwiera Słońca).na Malagę. Następnie przez dzikie skaliste wybrzeża Motril dojeżdżamy do jednego z najciekawszych miast w Hiszpanii - Granady. To miasto warte jest zwiedzania. Założone zostało przez Arabów w VIII wieku. Usytuowane u podnóża masywu Gór Sierra Nevada. Posiada wyjątkowo dużo pięknych zabytków. Są to: katedra z XVI w (jedna z najpiękniejszych zabytków renesansu), pomnik Kolumba, Sacromonte (dzielnicę cygańska), Alhambra – zamek - pałac ostatniego Kalifa, zdobyty przez Hiszpanów. To tu w sali ambasadorów Kolumb w 1492 r. dostaje od królowej Izabeli Katolickiej pełnomocnictwa, z którymi wyrusza na poszukiwania Nowego Świata. Pałacowy zespół pochodzi z XIII w. Najpiękniejsze dzieło architektury mauretańskiej (Mudejar – mieszanina arabskiego i hiszpańskiego). Wspaniałe arabski. Patio Lwów. Ogrody Generalite i setki innych obiektów. Część osób pojechała w góry Sierra Nevada. Norbert opowiadał, że tak brzydkich gór dotąd nie widział.

W okolicach Guadix osiedla cyganów mieszkających w wykutych pomieszczeniach pod ziemią. Mijamy Alicante, gdzie znajdują się największe lasy palmowe Europy. Przejeżdżamy Walencję i docieramy do Sagunto. Tam śpimy na plaży. Miejscowość ta była zdobyta przez Hannibala, co zapoczątkowało Wojny Punickie. Zwiedzamy Barcelonę. W porcie wierna kopia statku Kolumba – Santa Maria. Na pomniku Kolumb ręką wskazuje kierunek – Ameryka. Zwiedzamy Stare Miasto i Plac Hiszpański ze wspaniałą podświetlaną fontanną. Najważniejsza, to Sagrada Familia Gaudiego – katedra, oryginalna budowla modernistyczna, do dzisiaj niezakończona. W parku szereg niesamowicie wyglądających budowli, również tego samego sławnego architekta. W Barcelonie część osób poszła na corridę. Niektóre z nich wyszły, bo na to barbarzyństwo nie mogli patrzeć.

Dalej trasa wiedzie do Francji. Przejazd przez Perpignan. Następnie dojeżdżamy do Carcassonne. Potrójne mury miasta są wspaniałe. Jacek Hennig i młoda Sawicka chcieli na pewien czas tu zostać i znaleźć pracę w winnicy. Szczęście, że się rozmyślili. Rodzice Jacka mieliby do mnie pretensje. Był pod moją opieką. Dalej przejeżdżamy przez Awinion, słynny most i miejsce związane z papieżem. Przed nami Riwiera Francuska (Lazurowe Wybrzeże). Mijamy St. Tropez, Frejus i zatrzymujemy się na campingu w Saint-Raphaël. Straszny tłok i brak piaszczystych plaż. Nie jest to piękne miejsce. Na krótko wpadamy do Cannes związanej z festiwalami filmowymi i do Nicei (białe miasto z nadmorską promenadą).

Monaco wygląda również interesująco. Lecimy w południe do pałacu zobaczyć paradną zmianę warty. Księstwo podobno ma tylko 25 000 mieszkańców; trudno w to uwierzyć. W porcie setki jachtów. Jedziemy do kasyna w Monte Carlo. Dużo osób gra na automatach. Leon wygrał 50 franków i polecał grać w ruletkę. Naturalnie przegrał wszystko. Śmiano się z niego; jeden Norbert tylko go rozumiał. Biednego Norberta ze względu na wiek do kasyna nie wpuścili.

Śpimy na plaży w San Remo. To tu odbywają się festiwale piosenek. Przejazd wielkimi wiaduktami przez Genuę i dojeżdżamy do Mediolanu. Tam oglądamy Pałac Sforzów i słynną operę La Scala. W Santa Maria della Grazia – Ostatnią Wieczerzę Leonarda da Vinci i katedrę z XIV i XV w. Następny punkt, to Weronę. Idziemy zobaczyć balkon i grób Romeo i Julii. Dobrze zachowane Koloseum. Tam mamy już wieczór pożegnalny. Nasza przygoda zbliża się do końca. Przejazd przez Górą Adygę i przełęcz Brenner. Wtedy Europabrücke (Most Europejski) był najwyższym mostem świata.

Podziwiamy ładny Innsbruck, stolicę Tyrolu. Przez Werfen (na zamku w tej miejscowości nakręcano głośny film „Tylko dla Orłów”) dojeżdżamy do Salzburga. Miasto Mozarta. Jesteśmy na mszy Mozartowskiej. Ludzie w tyrolskich ubraniach. Kobiety w fartuszkach. Bardzo to piękne. Zwiedzamy również zamek, skąd jest wspaniały widok na miasto.

Dalej przejazd przez Linz do Wiednia. Tu znowu dużo do oglądania. Katedra św. Stefana, Hofburg – pałac cesarski, Schönbrunn – pałac letni, rezydencja Franciszka Józefa. Oglądamy Glorietę zbudowaną na cześć zwycięstwa nad Napoleonem, Belweder – barokową budowlę, gdzie odbywał się Kongres Wiedeński w 1815 r., Grinzing – dzielnicę kawiarenek z ogródkami, gmach parlamentu, Kärtnerstrasse – najelegantszą ulicę Wiednia, Prater – wesołe miasteczko i Kahlenberg. W kościółku wiele polskich pamiątek. Stąd w 1683 r. Jan III Sobieski atakował Turków.

Na granicy czesko-austriackiej niemiły incydent. Czeski celnik zaczął sprawdzać bagaże. Mówimy, że jedziemy tranzytem bez zatrzymania. Nic to nie pomogło. Gdy nasz kierowca powiedział, że to śmieszne, celnik się zdenerwował i kazał w ramach szykany rozładować cały autokar. To była duża fizyczna praca. Po sprawdzeniu, że wszystko wyjęte, dopiero nas wypuścił. Rozładować i załadować musieli tylko nasi kierowcy. Było to wyjątkowe chamstwo. Dalej już bez przeszkód przejazd przez Brno, Cieszyn i Kraków, do Warszawy. Wyjazd bardzo się udał. Wszyscy byli zadowoleni. Nie było nieporozumień i taré. Po zakończeniu wycieczki urządzaliśmy spotkania z prezentacją zdjęć. Za namową uczestników powstawały dalsze plany wspólnych autokarowych podróży.

Po tej udanej wycieczce zaczęły po Instytucie krążyć plotki. Dobrze poinformowani opowiadali o orgiach, jakie miały podobno tam miejsce. Ja osobiście się tym nie przejmowałem. Jeden z moich przyjaciół, dając posłuch tym pomówieniom, oświadczył, że nigdy swojej żonie by jechać z nami nie pozwolił. Kierowniczka Działu Publikacji - Basia Słowańska, po naszym powrocie z Hiszpanii przyleciała się dowiedzieć, kto i z kim? Śmiejąc się odpowiedziałem, że ja ze wszystkimi. Wtedy machnęła ręką i więcej nie zadawała takich głupich pytań. Życzliwi pisali też do Ani anonimy, by zwróciła na mnie uwagę. Były nawet i telefony. Raz donosiła taka osoba, że siedzę z jakąś panią w kawiarni „Krokodyl”. Ania podziękowała za wiadomość i wyraziła zadowolenie, że nie z nią tam siedzę. To wystarczyło; więcej anonimów i telefonów już nie było. Plotkarze naszymi wycieczkami przestali się nareszcie interesować.

8-15.V.1976. Wilno - W tym czasie jeszcze ZSRR

(Narada Nadbałtyckiej Komisji Stratygraficznej w Wilnie)

Wyjazd służbowy. Dostałem imienne zaproszenie od dyrektora litewskiego Instytutu Geologicznego w Wilnie, Algimantasa Grigelisa. Jadę więc chętnie. Są kłopoty z połączeniem Warszawa – Wilno. CUG proponuje, bym leciał samolotem przez Leningrad, a stamtąd pociągami na miejsce. Tak też się stało. Po przylocie do Leningradu zadzwoniłem do znajomej Nataszy, pracownicy Akademii Nauk. Bardzo się z mojej wizyty ucieszyła. Byłem u niej w domu na kolacji i odprowadziła mnie wieczorem na dworzec.

Pociągami do Wilna zjechałem rano. Na dworcu czekał na mnie samochód. Hotel był już zamówiony. Dyrektor sam oprowadził mnie po instytucie i na kolację zaprosił do swojego mieszkania.

Przez pierwszych parę dni trwały obrady. Po moim referacie było masę pytań dotyczących badań prowadzonych w Polsce i otrzymanych wyników. Następnie zostałem obwieziony po mieście, które już znałem z poprzednich przyjazdów. Zaszedłem do katedry. Mieściło się tam muzeum. Przewodniczka pokazywała obrazy jednego z największych litewskich malarzy – Smuglewiczjusa. Zapytałem się, kiedy Smuglewicz zmienił nazwisko. Jego obrazy są również w Polsce i pochowany jest na polskim cmentarzu. Tu był kłopot. Odpowiedziała, że tu na Litwie wrócono do jego pierwotnego rodzowego nazwiska. On sam nie zmieniał. Smuglewicz nawet nie przypuszczał, że kiedyś zrobią z niego Litwina. Byłem też w Ostrej Bramie. Nikogo w kościele nie było. Dzięki temu mogłem z bliska i ze statywu fotografować Cudowny Obraz.

Dyrektor sam obwoził mnie po Litwie. Pokazał średniowieczny zamek w Trokach. Wspaniale odrestaurowany i pięknie położony na wyspie. W muzeum były eksponaty z polskiej okupacji rejonu wileńskiego. To mnie trochę szokowało. W Wilnie przed wojną mieszkało tylko 4 % Litwinów. Jaka to więc była okupacja? Wystawiony był tam mundur i broń polskiego przedwojennego policjanta. Następnego dnia pojechaliśmy do Kowna, którego nie znałem. Tam byłem w muzeum M. K. Čiurlionisa. Był on malarzem, rzeźbiarzem i poetą. Jest bardzo czczonym i uważanym za Litwina. Pisał tylko po polsku, gdyż nie znał litewskiego. Z Kowna pojechaliśmy do Druskiennik. Przy drodze stało wiele ciekawych rzeźb w drzewie dla uczczenia pamięci Čiurlionisa. Pomysł był bardzo udany; robiły one wrażenie na tle pięknego, lesisto-pagórkowatego krajobrazu. Zwiedzałem dom

i muzeum, gdzie urodził się pisarz i polityk litewski Mickiewiczus Krewe. Następny wyjazd prowadził na Żmudź. Masa lasów i jezior, krajobraz typowo morenowy. Tam koło Onikszy pokazano mi święty kamień Litwinów, Puntukas. Na głazie umieszczone były rzeźby pilotów, którzy w 1933 r. przelecieli samolotem Atlanty: Darius i Girjenas, bohaterscy litewscy piloci, zginęli w drodze powrotnej.

Powrót do Kraju. Na lotnisku miałem kłopoty z celnikami. Nie zdążyłem przed niedzielą wpłacić do banku pozostałych 100 rubli z opłat hotelowych. Schowałem je do portfela. Wypełniając celne deklaracje nie mogłem napisać, że mam ruble. Wolno było wywozić tylko 20. Głupio zrobiłem, że ruble te zadeklarowałem w polskiej celnej deklaracji. Celnicy zażądali obie sprawy się wydała. Zrobiono szczegółową rewizję moich rzeczy. Wiozłem szereg drobnych pakunków od litewskich geologów dla swoich znajomych w Polsce. Celnicy mieli pretensje, że przyjąłem do przewiezienia paczki i listy, w których nie wiedziałem, co jest. Wszystko mi rozbebeszono. Prze czytano znajdującą się w paczkach korespondencję. Miałem kłopoty, by na nowo to złożyć. Sto rubli mi zabrano. Przez CUG musiałem je dopiero z dużymi trudnościami wyrywać, bym mógł się rozliczyć. Skończyło się wszystko pomyślnie, lecz na tych granicach miało się często kłopoty.

14.VIII.–11.IX.1976. Grecja

(Urlop – wycieczka autokarowa do Grecji)

Po udanej hiszpańskiej imprezie przygotowałem wspólnie z Olgą i ze sprawdzonym wcześniej zespołem następną wyprawę. Tym razem trasa prowadziła do Grecji. By dobrze poznać ten ciekawy Kraj zabraliśmy z sobą specjalistę od antyku, profesora Uniwersytetu - Łanowskiego. Tego wybitnego historyka polecił nam prof. Oberc. Jak podczas pierwszego wyjazdu, tak i teraz, wszystko było przygotowane i zapięte na ostatni guzik. Wszyscy otrzymali wydrukowane przewodniki i mapy. W trakcie drogi wydawana była gazетка „Zorba”. By nie robić sensacji w Instytucie, tym razem wyjazd nastąpił spod Pałacu Kultury. Norberta posadziłem wraz z Martą, córką prof. Oberca, na końcu autokaru. (Profesor i Marta mieszkali we Wrocławiu). Jak tylko ruszyliśmy, Marta przybiegła i skarży się ojcu: „Norbert powiedział, że we Wrocławiu mieszkają same chamy”. Siedząc blisko Profesora natychmiast zareagowałem: „Idź i mu powiedz, że w Warszawie jest ich więcej”. To rozładowało sytuację i skończyło się na śmiechu.

Z Warszawy dojechaliśmy do Krosna; tam był nocleg. Następnie była Dukla, Praszów, Koszyce, Miskolc, Debreczen, Oradea, Cluj i Braszów. Na campingu w Synai Norbert zostawił w umywalni swoją kurtkę z 20 dolarami. Przypomniał sobie już po wyjeździe. By nie tworzyć na przyszłość precedensu, nie zgodziłem się na powrót. Przez gapiostwo poniósł dotkliwą stratę. Następnie jedziemy przez Bukareszt, Russe i Warnę. W miejscowości Obzor nocleg na plaży.

Dalej trasa prowadziła przez Neseber, Burgas, Miczurin, Małko Tyrnowo, do Istambułu. W drodze prof. Łanowski prowadził wykłady o antyku. Mówił tak ciekawie, że słuchaliśmy tego z otwartymi ustami. Nie było takich, którzy mimo zmęczenia podróżą, spali na jego wykładzie. Profesor miał tu duże doświadczenie; w radiu na ten temat prowadził ciekawe pogadanki.

W Istambule stajemy na campingu w Yeşilyurt. Zwiedzamy z Olgą po raz drugi Topkapi, Aja Sofię, Meczet Błękitny, Hipodrom z antycznymi obeliskami. Blachy z nich złupili Krzyżowcy. Zaprzyjaźnionych zaprowadziliśmy do domu, gdzie zmarł Mickiewicz. Odwiedziliśmy francuską parafię, gdzie byliśmy zaproszeni na kawę przez znajomego księdza Filonowicza. Tam nasz zespół odśpiewał księdzu sto lat. Z Olgą poszliśmy również do kina. Miał być to prawie pornograficzny film. U nas, dla przedszkolaków wyświetlane są bardziej śmiałe. Olga w całym kinie była jedyną kobietą. Zwracała uwagę mężczyzn, którzy zamiast na ekran, na nią się gapiłi.

Po krótkim pobycie w Istambule wjeżdżamy na terytorium Grecji. W Porto Lagos zatrzymujemy się na campingu Fanari. Położony jest on na przeciwko wyspy Samotraka. Stamtąd pochodzi wspaniała rzeźba Wenus znajdująca się w paryskim Luwrze. Piękne widoki i plaże. Wieczorem słuchamy greckiej muzyki w wykonaniu miejscowego zespołu. Widzimy, jak Grecy tańczą. Niektórzy z naszych też próbują swoich sił. W tej pięknej scenerii, przy wspaniałej pogodzie i muzyce, czuliśmy się naprawdę szczęśliwi. Podczas całej naszej podróży, podobnie jak w Hiszpanii, towarzyszyła nam grecka muzyka z taśm. Naszym przebojem stała się Zorba.

Przejazd przez Saloniki pod Olimp. Zatrzymujemy się na campingu Zeus. Próbujemy podjechać pod sam masyw tej świętej góry. Droga kiepska, wierzchołek przykrywają chmury. Miejscami odsłania się dobrze widoczny „Tron Zeusa”. By dostać się na szczyt i powrócić, trzeba 2 dni. Na to nie mamy czasu. Nie złożymy więc Bogom wizyty, a szkoda. Może poczęstowaliby nektarem i ambrozją. Na szczyt ten kiedyś wchodził Aleksander Macedoński; chciał sam stwierdzić, czy rzeczywiście Bogowie tam

mieszkają. Gdy ich tam nie spotkał, sam ogłosił się Bogiem. Swemu koniowi o nazwie Bucefał również nakazał oddawać boską cześć.

Następny obiekt to Termopile. Zupełnie inaczej je sobie wyobrażałem. Sądziłem, że to jest wąwóz. Pomnik Leonidasa i poległych Spartan znajduje się na plaży. W pobliżu jest grób bohaterów; napis po grecku nic nam nie mówił. Tłumaczył go nam Łanowski: „Przechodniu powiedz Sparcie” itd. W Maratonie wchodziliśmy na kopiec w miejscu bitwy. Do Aten zostało około 40 km; tu ma swój początek słynny bieg maratoński.

Ateny – nie potrzeba reklamować. Mieszkamy blisko portu w Pireusie. Zwiedzamy Propyleje – monumentalną bramę na Akropol; Partenon – słynną świątynię Ateny, wzniesioną przez Peryklesa prawie na 500 lat przed Chrystusem; Erechtejon (świątynie Ateny, Posejdona i Erechteusza z kariatydami – posągi dziewcząt). Świątynię zwycięstwa Nike. Zrekonstruowany Gimnazjon. Teatr Dionizosa, gdzie do dzisiaj odbywają się specjalne przedstawienia. Dalej Agora; to tu chodził Sokrates. Na cmentarzu Keramejkos podziwiamy zachowane antyczne groby. Oglądamy Grób Nieznanego Żołnierza z wartą honorową w białych kalesonopodobnych spodniach i drewniakach. Ich musztra wygląda przekomicznie. Śmiesznie podskakują; nie jak żołnierze, a cyrkowi klauni.

Z Olgą odszukujemy na cmentarzu grób Schliemanna z jego żoną Zofią. Na pomniku rzeźby przedstawiające wojnę trojańską. Jakaś Greczynka częstowała nas słodkimi bułkami. Jest tam zwyczaj spożywania przyniesionych z sobą rzeczy na grobach bliskich. Przeżyciem było Muzeum Archeologiczne. Tam pokazane były skarby Myken i innych miejsc Grecji. Objąśniał z przejściem prof. Łanowski. Robiłem zdjęcia złotych pośmiertnych masek z grobu Agamemnona.

Z Pireusu część naszych kolegów pojechała promem na Kretę. Jechali nocą, a cały dzień mieli na Knossos. Ja wolałem zostać i jeszcze raz iść do muzeum. W Atenach spełniłem swą obietnicę. Spóźniając się panią Mościcką zostawiłem w mieście. By dojechać na camping musiała wziąć tak-sówkę. Od tej pory nie było już z nią kłopotu. Z Aten zrobiliśmy wycieczkę na Przylądek Sunion. Przejazd w pięknej scenerii i przy greckiej muzyce pozostawił niezatarte wrażenia. Wszyscy czuli pełnię radości. Tam zwiedzaliśmy na skalnym cyplu Świątynię Posejdona. To tu, według Homera, król Sparty Menelaus, wracając spod Troi pochował swego przyjaciela. Byron uważał, że jest to miejsce najpiękniejszych zachodów słońca. Widać wtedy, jak tarcza słoneczna topi się w morzu, a w tle majaczą niewielkie skaliste,

urokliwe wyspy. Byron swój pobyt upamiętnił podpisując się nazwiskiem na jednej z kolumn. Ten podpis jest chroniony.

Przejazd przez Salaminę. Zatrzymujemy się, aby popatrzeć na miejsce słynnej bitwy z Persami. Profesor z przejęciem opisywał jej przebieg i wskazywał, skąd była dowodzona. Następnie przejazd przez Kanał Koryncki. Bardzo głęboki o pionowych ścianach. Świetnie widać odsłonięty przekrój warstw. Korzysta z tego prof. Oberc objaśniając geologię. Dowiadujemy się od prof. Łanowskiego, że budowę kanału rozpoczął Neron. Sam tu przyjechał i był przy początkowych robotach. Obok kanału stało parę polskich samochodów. Jedna z osób nimi podróżujących zapytała się nas, co to jest za głęboki rów. Tak wielu naszych turystów przygotowywało się do turystyki. Większość interesował tylko handel. Korynt i Akry Korynt. Znowu ciekawy wykład. Profesor objaśniał, skąd pochodzi nazwa „Córy Koryntu” i jakiemu bóstwu oddawano tu cześć. Masę było tam rozsypanych drobnych kamyczków ze zniszczonych mozaik.

Dojeżdżamy do Myken. To miejsce interesowało mnie najbardziej. Przybliżył mi je Homer i Schliemann. Z daleka widać było potężne kamienne mury sprzed ponad 3000 lat. Już w starożytności były one ruiną. Przed zwiedzaniem prof. Łanowski, jak zwykle, zebrał całą naszą gromadę i zapoznał z legendą związaną z tym ponurym miejscem. Cytował Homera po polsku i grecku. Działo to na naszą wyobraźnię. Mykeny, jak podawał Homer, były miejscem wyklętym przez Bogów i ludzi za popełnione tu zbrodnie. Ojciec Agamemnona, Atreus, zemścił się na swoim rodzonym bracie Tiestesie. Powodem zemsty miało być uwiedzenie żony. Zaprosił więc brata na ucztę i podał wspaniale przyrządzoną pieczeń. Po spożyciu powiadomił, że to, co tak smakowało, było z mięsa jego dwóch synów. Ocalał tylko jeden syn, Ajgistos, który poprzysiągł zemstę. Zbrodnia ta wstrząsnęła światem i nie podobała się Bogom.

Agamemnon idąc pod Troję, zabrał ze sobą córkę Ifigenię. W drodze za pomyślność wyprawy złożył ją Bogom w ofierze. Matkę jej powiadomił, że córka została zabrana przez Bogów do Taurydy. Klitajmejstra, żona Agamemnona, poprzysięgła za to zemstę. Związała się z Ajgistosem, który został jej kochankiem i razem czekali okazji.

Po powrocie spod Troi podczas uczty Agamemnon i jego drużyna zostali wymordowani. Zabita została również branka Kasandra, córka króla Priama, i jej dzieci, bliźniaki. W 8 lat później przybył do Myken Orestes, syn Agamemnona. Chciał pomścić ojca. Zabił Ajgistosa i swoją matkę Klitajmestrę. Ściągnął za tą nową zbrodnię Erynie (3 siostry – wyrzuty sumie-

nia). Po strasznych udrękach uzyskał wreszcie przebaczenie Bogów i wstąpił na skrwawiony tron Atrydów.

Wrażenie robił grób Agamemnona. Wielka budowla : „Tolos” z bloków kamiennych, określanych jako cyklopie. Uważano, że były za ciężkie, by człowiek był w stanie ich poruszyć. Tym bardziej z nich budować. Nie wiem, czy do dzisiaj sprawa ta jest wyjaśniona, jak oni to robili. Wewnątrz jest świetna akustyka. Jakaś grupa zwiedzających cicho pomrukiwała. Wydawało się, że to grają organy. Obok znajdują się jeszcze częściowo zniszczone tolosy, określane jako Ajgistosa, Klitajmestry oraz 5 innych. Oglądaliśmy miejsce, gdzie Schliemann odkrył groby bogato wyposażone w złote przedmioty. Wiele z nich było podobnych do opisanych przez Homera. Uważał, że tam był pochowany Agamemnon i cały ród Atrydów. Znalezione szczątki dzieci uznane zostały za bliźniaki Kasandry. Miejsce ich spoczynku znalazł w opisie starożytnego historyka, Pauzוניusza.

Dużym przeżyciem było zwiedzanie Megaronu- reprezentacyjnej część pałacu mykeńskiego. Profesor z przejęciem pokazywał resztki zachowanej kolumnady i miejsce, gdzie stał tron Atrydów. Również pokazał wypaloną część kamiennej posadzki. Tam płonęło ognisko, wkłó którego zasiadała rada królewska. To tu, mówił, zapadały decyzje o wojnie trojańskiej. I tu gdzieś został zamordowany Agamemnon, jego drużyna, Kasandra z dziećmi i inni uczestnicy tych zająć i zbrodni. Również wrażenie robiła Lwia Brama, opisana przez Pauzוניusza. Już wtedy była częściową ruiną. To pod nią wychodzili Grecy dążący pod Troję.

Epidaurus - jedziemy zobaczyć najlepiej zachowany teatr doby hellenistycznej. Jest wielki i jak było widać, odbywają się tam i teraz przedstawienia. Świetna akustyka. Kubica i Profesor próbują swoich sił. Ja siedzę wysoko i mimo tego dobrze słyszę mowę Cyceronu do Katyliny w wykonaniu Bola. Następne obiekty, to Tyrens i Argos, miasta-fortece z epoki mykeńskiej. Oglądamy potężne kamienne mury i ślady megaronu. Mniej o nich wiemy, gdyż Homer na ich temat się nie wypowiadał. Przypuszczać należy, że historię mają również krwawą, jak pobliskie Mykeny. Nie zachowały się jednak żadne przekazy i legendy. Następnie Tripoli i przejazd przez Arkadię.

Sparta nie jest ciekawa. Nie posiada żadnych zabytków. Znamy jej historię, lecz poza przekazami, nic nie pozostało. W centrum miasta pomnik bohaterskiego króla Sparty, Leonidasa. Kupujemy skrzynkami tanie i wspaniałe brzoskwinie. Dalej jedziemy do pobliskiego Mistras. Prof. Łanowski specjalnie chciał nam pokazać spacyfikowane przez Turków miasto. Jest

całkowicie puste, a posiada świetnie zachowane zabytki. Opuszczone kościoły i kamienne domy bez dachów i okien. Przejazd przez Góry Tajget. Widać miejscowych rolników na osiołkach. Jest to bardzo malownicze.

Na krótko stajemy w Phyllos – mieście Nestora. Był on najstarszym uczestnikiem wojny trojańskiej, opisanym przez Homera. Zachowały się gruzowiska budowli okresu mykeńskiego. Zostały znalezione tam archiwa pisane na glinianych tabliczkach. Występują na nich imiona bohaterów znane z Iliady. Na campingu stajemy w Methoni. Bizantyjski zamek i port znany z okresu Wypraw Krzyżowych. Dalej, to znana Olimpia. Są tam 2 muzea, stadion, świątynia Zeusa i Hery – miejsce gdzie zapalają znicze olimpijskie. Camping Paradiso nad samym morzem. Tu chciałoby się odpoczywać. W Patra przeprawiamy się promem przez Zatokę Koryncą.

W Delfach zatrzymujemy się na wysoko położonym campingu. Z góry widać malownicze, postrzępione, z licznymi zatokami wybrzeże. W takiej scenerii obchodzę imieniny. Dostaję miły wiersz napisany przez prof. Łanowskiego. Do późna w nocy zabawiamy się wspólnie przy winie. Było wesoło, ciepło i uroczo. Następnego dnia zwiedzanie. Oglądamy świątynię Apollina, gdzie urzędowała Pytia. Cudnie usytuowana Świątynia Ateny. Stadion i skarbcze poszczególnych państw – miast. Piękny widok na Parnas. Proponujemy, by nasze panie wystąpiły w roli Bachantek. (Kobiet tańczących w cześć Bachusa). Zgadzą się pod warunkiem, że my przybierzemy postacie satyrów.

W Meteorach podziwiamy obronne klasztory położone na stromych skałach w górach. Czegoś podobnego nie widziałem. Klasztory są czynne i można je zwiedzać. Oberc i Paprocki byli wciągnięci do środka w siatce przez mnichów. Dawniej tylko tak można było się tam dostać. My wchodziliśmy po stromych schodach, zrobionych później dla turystów. Z poszczególnych eremów dochodziły cerkiewne śpiewy. Na Athos znajduje się autonomiczna republika prawosławnych mnichów. Szkoda, że nie mogliśmy tam pojechać. Kobieta by nam nie wpuściła. Wszystko, co jest żeńskiego rodzaju, ma tam zakaz wstępu. Nawet kur tam nie hodują, gdyż mogłyby grzesznie podniecać jurnych eremitów. Na campingu do namiotów Iwanienków i Reni Kosmulskiej rano wszedł bocian. Była to przestroga, że muszą uważać.

Opuszczamy Grecję i wjeżdżamy do Jugosławii. Zwiedzamy Stobi (greckie Stoboi). Miasto antyczne, kwitające w pierwszych latach naszej ery. Położone przy drodze Via Ignacja, prowadzącej z Rzymu nad Morze Czarne. Rozkwit za cesarza Justyniana. Zamieszkiwało go wtedy około 40 000

mieszkańców. Zniszczone zostało przez katastrofalne trzęsienie ziemi. Występują tu jedne z najpiękniejszych znanych mozaik. W muzeum posiadają Asklepiosa, figurki z terakoty. Zachowany jest również teatr.

Na campingu w Skopie złapała nas straszna zlewa. Dwie stale kłócące się z sobą panie, Jadzia Mamczar i Mościcka, ustawiły swój namiot w dołku. Woda zaczęła go zalewać. Przyleciały, bym je ratował. Pokazywały pod górkę rękoma, gdzie mam wodę skierować. Tłumaczę, jedyny sposób, to namiot ustawić wyżej. Nie chcą tego robić. Jestem kierownikiem i mam coś wymyślić. Objaśniam, że to jest jedyna metoda. Niestety, nic nie dociera. Prosiłem prof. Oberca, by swoim autorytetem im to wytłumaczył. Praw fizyki nie można zmienić. Jeśli nie chcą przestawić namiotu, będą musiały spać w wodzie. W Skopie zwiedzamy stare miasto z meczetami i zniszczony trzęsieniem ziemi dworzec kolejowy.

Dalej jedziemy doliną Moracy w kierunku na Czarnogórę. Była to najpiękniejsza dolina—kanion, jaką widziałem w życiu. Przejedźdźmy przez Titograd, Budwę i Kotor. Droga wąska i bardzo eksponowana.. Ostre zakręty, kierowca nie zawsze może je wziąć za jednym zamachem. Musi się cofać i jeszcze raz próbować. Niektóre panie lekko histeryzują. Siadają na podłogę, by nie widzieć mijanych przepaści. W Petrovaczu stoimy na campingu. Dalej znowu się zatrzymujemy pod Dubrownikiem. Na piechotę dochodzimy tam malowniczą drogą, Roślinność śródziemnomorska, agawy i juki. Przejazd przez Mostar i Sarajewo; miejscowości te również zwiedzamy. Następnie jedziemy płaską i nieciekawą Wojwodiną. Dalej uroczy, jak zwykle, Budapeszt. Ostatni etap, to Kraków i Warszawa.

Urlop w Grecji udał się; wszyscy byli zadowoleni. Dla mnie był on wyjątkowo ciekawy i wypoczynkowy. Nie było niespodzianek, ani przykrych incydentów. Cały czas mieliśmy wspaniałą pogodę, koleżeńską atmosferę, przepiękne widoki i ciekawą tematykę. Ze się to tak udało, zawdzięczamy głównie wiedzy profesora Łanowskiego. Potrafił on nas zainteresować i zarazić swoją pasją. Patrząc na to po latach nie wiem, czy chciałbym tam znowu wracać. Każdy następny wyjazd nie będzie powtórzeniem pierwszego. Nie da tyle wiadomości i wzruszeń, co dała nam wiedza prof. Łanowskiego. Zostały z tego okresu wspomnienia i fotografie, które przechowuję, jak prawdziwy skarb.

11-15.X.1976. NRD

(wyjazd służbowy – współpraca z ZGI w Berlinie)

Mam w ZGI omówić dalszą współpracę między naszymi Instytutami. Jedzie ze mną dr B. Hajłasz i Ania. Pragnie ona w Berlinie odwiedzić Irenę Tratfal, swoją przyjaciółkę z okresu dzieciństwa. Mamy w trójkę wykupiony wspólny przedział sypialny. Basię na dworzec odprowadza strasznie zdrowsny mąż. Jak mówi, musi sprawdzić z kim jedzie. W drodze opowiadam, że Ania chciała zrezygnować z wyjazdu. Basia się przeraziła. Co powiedziałby jej mąż? Całą noc przestałaby na korytarzu. Przecież nie mogła jechać ze mną w jednym przedziale. Wtedy się spytałem: „To po co byś mu mówiła”. Odpowiedziała, że on by i tak się dowiedział. Zawsze zadaje tyśiące podchwytliwych pytań, a ja się w końcu wygadam. Mogłem tylko pomyśleć - biedni ludzie.

W Berlinie sprawy załatwiliśmy szybko. Anią zajęła się Irena, z którą się dawno nie widziały. Ja przeprowadzałem rozmowy dotyczące współpracy Zakładów. Gospodarze postanowili niektóre sprawy omówić w terenie. W związku z tym urządzono nam wyjazd na ciekawsze odsłonięcia Turyngii i Harzu. Trasa przebiegała przez Magdeburg, Halberstadt, Blankenburg, Güntensberg (tam oglądamy olistolity – wielkie bloki różnego wieku, tkwiące w skałach dinantu). Jak to się tworzyło, do dzisiaj jest to tajemnicą. W Kyffhäuser widzimy pomnik ku czci Barbarossy i Wilhelma I. Zajechaliliśmy do Weimaru. To miasto znałem już wcześniej. Zatrzymaliśmy się w hotelu pod Elefantem. Pokazałem Basi pomnik Liszta, Dom Goethego i Schillera. Następnie pojechaliliśmy na interesujący profil rzeki Bode. Okolica bardzo piękna. Zalesione stoki i stare górnicze sztolnie - przedmiot naszych zainteresowań.

W Rudolfstadt zwiedziliśmy XVII-wieczny zamek książęcy, w którym znajduje się muzeum. Koło Saalfeld pokazano nam w górach elektrownię wodną. W nocy, gdy jest mniejsze zapotrzebowanie na prąd, tłoczy wodę do górnego zbiornika. W dzień woda spływająca z tego zbiornika obraca turbiny i wytwarza prąd. Jest to takie „perpetuum mobile”. Po raz pierwszy coś takiego widziałem. W Ranis oglądamy usytuowany na rafie cechsztyńskiej zamek z X w. Mieściło się w nim również muzeum. W okolicy stare zroby po eksploatacji miedzi i srebra. W Ziegenrück podziwiamy historyczny ratusz z herbami rodów. A w Schlaitz – kościół barokowy grafa von Reuss, zbudowany z miejscowych materiałów.

W Saalfeld mieszkaliśmy w małym wiejskim hoteliku. Będąc tam w restauracji ze zdziwieniem obserwowałem, jak wchodzący goście podchodzą do zajętych stolików i uderzają w nie pięścią. Jest to taka forma powitania. Do naszego stolika też tak podchodzili. W hotelu mojej koleżance popsuła się lampa i nie mogła czytać. Zaproponowałem, że pójde ją naprawić. Nie zgodziła się. Nie chciała też wejść z nią do mojego pokoju. Przekazała mi ją na korytarzu. Po zreperowaniu zapukałem i oddałem w drzwiach. Przeprosiła mówiąc, że nie może mnie zaprosić. Obiecała Robusiowi nie wejść do mojego pokoju i nie wpuścić do swojego. Czegoś podobnego do tej pory nie spotkałem. To nie jest już hobby, tylko zajob. Wracając do Berlina kupiła gotowe slajdy z zabytkami Weimaru. Prosiła, bym je zabrał z sobą, a w Warszawie po paru dniach oddał. Powie wtedy, że są pożyczone. Mąż nie pozwala na kupno rzeczy, które go nie interesują. Ten umiał żonę wychować.

13.VIII.–11.IX.1977. Anglia

(Urlop – wycieczka autokarowa)

Pomysłodawcą wyjazdu do Anglii był Leon Karczewski. Bardzo chciał tam jechać. Ja natomiast miałem pewne obawy. Nie jest to kraj turystyczny, jak inne położone w cieplejszej strefie klimatu. Decyzja zapadła po naradzie z Olgą i Danusią Giel. Okazało się, że możemy mieć tam wsparcie. Wuj naszej koleżanki Danusi, pan Pierścianowski, zadeklarował pomoc w zorganizowaniu tej imprezy. Był on żołnierzem generała Maczka i działaczem Polonijnym, mieszkającym stale w Anglii. Miał więc rozeznanie i możliwości. Wyjazd zorganizowany był tak, jak poprzednie. Przygotowane przewodniki i ukonstytuowana redakcja wycieczkowej gazetki „Wąż”. Naszą trasę zmodyfikowała angielska Polonia, by pokazać najciekawsze obiekty. Norbert miał w tym czasie kłopoty na Uniwersytecie z Radwańskim i stracił rok. To było powodem, czego teraz żałuję, że go z sobą nie zabrałem.

Przed wyjazdem do Anglii nie mieliśmy lekarza. Dr Długowski miał już inne plany. Ja w tym środowisku nie miałem bliskich znajomych. Pech chciał, że trafiłem do szpitala, gdzie miałem robioną operację na przepuklinę. Był to rezultat ciężkich prac terenowych. W szpitalu na Grenadierów operował mnie bardzo sympatyczny młody chirurg. Jemu zaproponowałem wyjazd z nami do Anglii. W pierwszej chwili bardzo się zapalił, lecz po rozmowie z żoną ze smutkiem musiał zrezygnować. W zastępstwie zapro-

ponował, bym zabrał jego koleżankę po fachu, młodą chirurg, Elżbietę Stachlewską. Wybór był dobry, skoro wszyscy byli zadowoleni, a pani doktor zdecydowała się na dalsze wyjazdy z nami. Mieszkaliśmy w czwórce: Olga, Mirka, Elżbieta i ja w jednym namiocie. Byliśmy jedną grupą żywieniową.

Wyjazd z Warszawy do Sulechowa, gdzie nocujemy w hotelu. Przekraczamy granicę w Świecku. Camping koło Hanoweru, nad małym jeziorkiem. Dortmund - stajemy na krótko w centrum. W Holandii zwiedzamy Arnhem - cmentarz aliancki, na którym pochowani są również polegli Polacy. Śmieją się ze mnie, że jak Cieśliński prowadzi, to zwiedzamy głównie cmentarze. Zatrzymujemy się dłużej w Amsterdamie. Oglądamy pałac królewski, Dom Rembrandta, Stare Miasto, dzielnice rozpusty i kanały. Przejazd do Hagi. Tam Madurodam (miniatury zabytków Holandii), pałac królewski i Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości. Rotterdam - jeden z największych portów świata. Zniszczony podczas wojny. Informuje o tym pomnik Zadkine'a "Rozdarte Miasto".

Breda była wyjątkowo ciekawa, dużo poloników. Główna ulica gen. Maczka. Na skwerze ołtarz (mozaika) z Matką Boską Częstochowską i odznakami polskich jednostek. Zdobywczy czołg „Tygrys”, ofiarowany przez Polaków miastu. Pomnik – na kolumnie polski orzeł dziobie przewróconego orła niemieckiego. Antwerpia – gotycka katedra z XIV w. W Brukseli zwiedzamy Stary Rynek, dom króla i ratusz. Naturalnie oglądamy Manneken Pis (ubrana rzeźba siusiącego chłopca – symbol miasta), pałac królewski, Pałac Sprawiedliwości (jedna z największych budowli Europy) i katedrę. Pod Waterloo stajemy, by zobaczyć panoramę bitwy i kopiec z figurą lwa na szczycie.

Przejazd przez Dunkierkę (to tu miała miejsce dramatyczna ewakuacja wojsk angielskich podczas wojny). W Calais wsiadamy na prom. Z Francji angielskiego brzegu nie widać. Dojeżdżając do Dover w dali ukazują się wysokie, kredowe, klifowe wybrzeża. Bardzo ładnie to wygląda. Dzwonię do pana Pierścianowskiego, którego nazywaliśmy Wujkiem. Dla nas był naprawdę dobrym i opatrnościowym człowiekiem. Otrzymuję dokładne informacje, gdzie mam jechać. Jaką trasą i jakimi numerami szos. Wiemy wszystko. Z każdego postoju mamy do niego dzwonić. Prowadzi nas jak po sznurku.

Pierwszy camping wypada w Canterbury. Wujek telefonicznie zamówił nam miejsce i nawet cenę wytargował. Jedziemy zwiedzać słynne Opactwo, siedzibę Kościoła Anglikańskiego. Tam oglądamy grób arcybiskupa Tomasza Becketa, zamordowanego w katedrze na rozkaz króla Henryka II.

Powodem był spór o przywileje kościoła. Przypomina to historię Bolesława Śmiałego. Zwiedzamy stare miasto; tam awantura o spóźnienie się jednego z nowych uczestników wycieczki. Rugałem nie tylko ja, ale pomagali mi i inni. To pomogło, więcej spóźnień już nie było.

Następnego dnia Wujek umówił się z nami na trasie. Mamy jechać autostradą, której numer podał. Przed Dartford, przy barze „Black Prince”, będzie na nas czekał z polską flagą. Już z daleka było widać jego samochód i dużą biało-czerwoną chorągiew, którą stale machał. Nastąpiło serdeczne powitanie. Wujka widzimy po raz pierwszy. Od wojny w Polsce nie był. Rena Kosmulska ze wzruszenia się popłakała. Ruszamy. Wujek jedzie swoim samochodem i prowadzi do Londynu. Nie będziemy się więc płacić w nieznanym nam mieście. Zamiast na camping, udajemy się do „Polskiego Domu Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i Młodzieży”. Tam mieści się polska szkoła. Dostajemy pomieszczenia ze wszystkimi wygodami. Przyjmuje nas kierownik, pan Klepacki. Oświadcza, że jest to dom im. Tomasza Arciszewskiego. Pyta się, czy wiemy, kto to był? Potwierdzam; wtedy dodaje - ostatni premier wolnej Polski. Informuje również, że prezydentem na uchodźstwie wybrany został dr Ostrowski. Polonia angielska rządu komunistycznego w Polsce nie uznaje. Dla nas jest to osoba bliżej nieznaną. Trochę nas to śmieszyło, ale okazaliśmy powagę.

Wujek pokazuje nam Londyn. Zwiedzamy centrum - Soho i City, Hyde Park, muzeum Madame Tussaud (galeria figur woskowych), Trafalgar Square, Piccadilly Circus i Parlament. Z zewnątrz oglądamy Buckingham Palace, pilnowany przez gwardię królewską. Jedziemy na Tower Bridge i do Tower (zamek i muzeum). Następnie British Museum, Westminster Abbey (katedra anglikańska) i Westminster Cathedral (katolicka). Idziemy do Katedry św. Pawła, wybudowanej w 1675 r. Tam znajdują się groby Wellingtona, Gordona, Nelsona i innych. Katedra zadziwia wielkością. Oglądamy siedzibę władz City, gdzie odbył się ostatni koncert Chopina. Ciekawe są koszary gwardii konnej i gmach sądów królewskich. Na prośbę Witkowskich jedziemy na grób Marksa.

W Londynie odszukałem znajomych z okresu okupacji, państwa Chelmińskich. On był oficerem i całą wojnę przesiedział w obozie jenieckim. Do Polski już nie wrócił. Razem z nimi mieszkała ich córka Helenka. Była moja rówieśnicą i towarzyszką dziecięcych zabaw. Do Anglii trafiła z matką po Powstaniu. Gdy się dowiedziała, że jedziemy do Szkocji, wyraziła zdziwienie, jak wielki mamy plan. Tam nigdy nie była. W związku z tym zaprosiłem ją do naszego autokaru. Ucieszyła się i oświadczyła, że osią-

dzie się w Edynburgu. Słyszając o jej słowności, nie bardzo w to wierzyłem. Do tej pory z naszych wycieczek nikt nie został za granicą. Co było w tym czasie nagminne. Dopiero w Londynie dowiedziałem się, że na pewien czas chce zostać u rodziny Marta Oberc. Była z ojcem, więc ja za nią nie odpowiadałem. Została, wyszła tam za mąż i już do Kraju nie wróciła.

Obowiązkowo jedziemy do Norfolk. Miejscowość położona w obrębie dużego Londynu, przy drodze do Oxfordu. Podczas wojny mieściło się tam wojskowe lotnisko, na którym stacjonowali Polacy. Wojenną pamiątką po tych zdarzeniach jest pomnik polskich lotników poległych w walkach. Składamy tam kwiatki. Duże wrażenie na nas zrobił zamek w Windsor. Siedziba królów angielskich. Budowę rozpoczął Wilhelm Zdobywca. Obecnie jest to rezydencja Królowej Elżbiety. Otoczona murem i ogrodami. Strzeże ją gwardia w galowych mundurach. Wygląda to operetkowo. Turyści, w tym młode Japonki, podchodziły do gwardzistów, by się z nimi fotografować.

Zwiedzamy Eaton koło Windsoru. Tam mieści się ekskluzywna szkoła. Oglądamy zdjęcia młodzieży chodzących we frakach i melonikach. Dalej jedziemy do Oxfordu. Miasto uniwersyteckie z XII w. Dużo gotyckich budynków. Na NW od tej miejscowości, koło Woodsrock, w Bledon, pochowany na wiejskim cmentarzu jest Churchill. Skromna kamienna płyta, tylko z nazwiskiem, datą urodzenia i śmierci. Stając nad jego grobem myślałem. Co by się stało, gdyby nie jego upór? Hitler wygrałby wojnę, a nasz los byłby straszny.

Pobyt w Londynie kończył się. Pojechaliśmy na cmentarz, gdzie stoi Pomnik Katyński. Niestety, obiekt ten właśnie zamykano. Obsługa nie zgodziła się nas wpuścić. Każą przyjść jutro. Mogliśmy oglądać go tylko z daleka. Pomnik miał stać na jakimś placu Londynu. Niestety, ambasada sowiecka złożyła protest. Zakwestionowała napis obciążający ZSRR tą straszną zbrodnią. Gdyby tam było napisane, że to dzieło Niemców, protestu by nie było. W dniu wyjazdu nowe zmartwienie. Ktoś zabrał wiszącą w szkole mapę. Przedstawiała ona Polskę z zachodnimi granicami, jakie są obecnie. Wschodnie granice przebiegały zgodnie z mapami przedwojennymi.. Był to na pewno rarytas zbieracki. Bez pytania jednak wziąć nie wypadało. Zrobiła się straszna awantura. Żądałem zwrotu. Nikt się nie przyznał. Rewidować przecież nie mogłem. Za ten przykry incydent przeprosiłem Dyrektora ośrodka i z niesmakiem ruszyliśmy dalej. To spowodowało, że nasza wycieczka nie pojechała pod pomnik Katynia. Miano do mnie o to żal.

Dalsza droga prowadziła do Cambridge – słynnego uniwersyteckiego miasta. Najstarszy St. Peter College z 1284. Dalej na północ docieramy do Newark. Tam na wojennym cmentarzu polskich lotników pochowany był gen. W. Sikorski i emigracyjni politycy, jak Raczkiewicz, Zalewski i inni. Krzysztof Paprocki tak się pogniewał za pomnik Katyński, że nie wysiadł z autokaru. Nie zwiedził tego interesującego cmentarza - polonika. Następnym punktem był Lincoln – miasto założone przez Rzymian. Katedra gotycka z XIII w., trzecia co do wielkości. Resztki rzymskich budowli. W York – pozostałości rzymskich obwarowań i najpiękniejsza w Anglii gotycka katedra z XI w. Wspaniałe trzynastowieczne witraże. Mijamy Newcastle.

Za Hacham oglądamy słynny mur Hadriana przecinający całą wyspę. Był on zabezpieczeniem przed najazdami Szkotów. Niewiele z niego zostało. Tam opuszczamy historyczną Anglię i wjeżdżamy do Szkocji. Podobno tu więcej lasów. Anglia jest za bardzo ucywilizowana. Przed nami Edinburgh - stolica Szkocji i miasto z VII w. Na campingu czekał na nas przedstawiciel miejscowej Polonii. Powiadomiony przez Wujka przyszedł, by oprowadzić nas po mieście. Chciał też urządzić spotkanie z generałem Maczkiem. Byłoby to spotkanie z żywą legendą. Niestety, mieszkający tu sędziwy, dobiegający 90 lat generał akurat zachorował. Zwiedzamy Holyrood - pałac królewski, była siedzibą Marii Stuart. Obecnie rezydencja królowej. Zamek muzeum. Tam o 12 godzinie strzela armata. Katedra z XIV w. Rano odszukała nas Helenka Chelmińska. Zabieram ją do swego namiotu. Mieszkały ze mną 3 panie, to mogą i 4. Podobno od przybytku głowa nie boli.

Przejazd przez Inverness (bazę łodzi podwodnych) i dojeżdżamy do słynnego jeziora Loch Ness. Wypatrujemy Nessi; szkoda, nie mamy szczęścia. Ja nie bardzo wiedziałem, jak traktować te wiadomości. Czy to jest fakt? Czy sprytnie spreparowane oszustwo? Jezioro głębokie i niezabudowane, brzegi dzikie. Świetnie nadaje się do takich historii. W naszym jeziorze Zegrzyńskim miała pojawić się również jakaś Paskuda. Co to było? Wydało się dopiero potem. To Urban z Siwakiem płynęli kajakiem i legenda przysła. Przejeżdżamy przez Fort Augustus i nocujemy w Invergarry. Piękne okolice i ciągnące się w nieskończoność wrzosowiska. Jeden mankament, to małe muszki. Prawie ich nie widać, a skóra swędzi; tak gryzą. Następne uroczysko jeziora, to Loch Lochy i Loch Lomond. Z Fort William obserwujemy najwyższą górę Szkocji, Ben Nevis (1343).

Dalej przejazd przez bardzo brzydkie przemysłowe miasto, Glasgow i jedziemy na granicę Anglii i Szkocji do Carlisle. W pobliżu śpimy na campingu w małej miejscowości Gretna; tam kowal udzielał ślubów. Miał po-

dobno duże powodzenie. Następnie nasza droga prowadziła przez malownicze góry kambryjskie. Cambria – to park narodowy (Szwajcara angielska), góry i jeziora. Przejazd przez Manchester i Birmingham. Zaraz za tym miastem spotykamy się w miejscu uzgodnionym z Wujkiem Pierścianowskim. Jedziemy razem do Cheltenham, gdzie mieszka i pracuje. Parę kilometrów dalej znajdują się baraki wojskowe z ostatniej wojny. Była baza komandosów. Tam zostaliśmy wygodnie ulokowani. Kierownictwo wycieczki prośzone było przez Pierścianowskich do ich domu na kolację.

Baraki, w których zostaliśmy zakwaterowani, otoczone były zasiekami z drutu kolczastego. Tablice ostrzegawcze informowały, że to teren wojskowy i wstęp jest zabroniony. Na maszcie wisiała flaga angielska. Do dyspozycji dostaliśmy wygodne łóżka i zapasowe koce. Możemy korzystać z kuchni i wojskowych zapasów żywnościowych tu składowanych. Istny raj; jesteśmy Wujkowi bardzo wdzięczni. Czujemy się jak komandosi, którzy tu dawniej mieszkali. Zadajemy sobie pytanie. Jak to jest? Tu w Anglii korzystamy z baz wrogiego paktu?

W programie była zaplanowana wycieczka do Walii. Wpadała ona w niedzielę. W miejscowości Cheltenham jest katolicki kościół. Umówiłem się, że autokarem pojedziemy o 7 godzinie na ranną angielską mszę. Po nabożeństwie jedziemy zgodnie z planem. W południe w tym samym kościele odprawiona jest także msza w języku polskim. Parę osób zwróciło się do mnie, by zrezygnować z wycieczki. Chcą w niej uczestniczyć. Ja się nie zgadzam. Kto chce niech zostanie. Przecież wieczorem tu wracamy. W Kraju mszy po polsku możemy słuchać dowolnie. Wycieczka jest tu ważniejsza. Czy ktoś z nas trafi jeszcze kiedyś do Walii? Będąca z nami Helena Chełmińska zaczęła też popierać tych, co chcą zostać. Ja dalej się nie zgadzam. Wtedy powiedziała. Teraz wiem, dlaczego jesteś kierownikiem, bo ludziom nie dajesz chodzić do kościoła. Tak mnie paskudnie podsumowała. W sumie tylko jedna osoba zdecydowała się zostać, Jurek Milewicz.

Jedziemy do Gloster. Tam zwiedzamy katedrę, w której odbywają się festiwale kościelnych chórów Anglii. Dalej do Rhossili koło Swansea. Miejscowość letniskowa nad morzem. Półwysep zwany „Głowa Robaka” jest zatapiany podczas przyływu. Wtedy staje się wyspą. Siedzimy w słońcu na malowniczym wybrzeżu. Dojazd do Cardiff, stolicy Walii. Tam oglądamy ratusz, ruiny zamku i tablicę ku czci Polaków poległych w okresie wojny. Wszędzie napisy dwujęzyczne, po angielsku (zwykle pokreślone) i po walijsku. Interesujący jest przejazd przez Newport i zatokę bristolską, po jednym z najdłuższych mostów. Następnie przez Bristol do Cheltenham.

Burton on Water ma być najpiękniejszą wsią angielską. Znajduje się tam duża makieta tej miejscowości. Obok jest wieś o nazwie Broadway – nazwa Broadway w New Yorku pochodzi od tej wsi. Jedziemy do miasta Stratford on Avon. Tam zwiedzamy teatr, dom Szekspira i jego grób. W muzeum powiedziano nam, że w Polsce znajduje się krzesło, które pochodzi z wyposażenia domu Szekspira. Bardzo ciekawy jest doskonale zachowany i do dzisiaj zamieszkały średniowieczny zamek w Warwick. Jedziemy do Coventry, znanego z ostatniej wojny. Niemcy zbombardowali te historyczne miasto mimo braku tam obiektów przemysłowych i wojskowych. Stara, nieodbudowana katedra, ma świadczyć o barbarzyństwie. W nowej katedrze była wystawa sztuki Hasióra. Między innymi wystawione były tam nieefektywne porporce. W mieście pomnik Lady Godiva siedzącej na koniu nago. Bohaterka legendy z XI w. Walcząca o zmniejszenie zbyt dużej daniny przejechała przez miasto nago, przykryta jedynie długimi włosami. Spełniła tym warunek swego męża.

Bath - rzymskie miasto i uzdrowisko z termami. Oglądamy gotycki kościół i zabudowany stary średniowieczny most. Według legendy tu miała miejsce historia opisana w opowiadaniu „Książę i żebrak”. Jednym z najbardziej ciekawych miejsc było Stonehenge. Megalityczna budowla kamienna z około 1900–1400 p.n.e. Składa się z kręgu ustawionych 30 potężnych głazów o wysokości ponad 4 m, przykrytych blokami poprzecznymi. Całość otacza kolisty rów. Przypuszczalnie było to miejsce kultu słońca. Dalej przed nami Salisbury – jedna z najpiękniejszych katedr gotyckich z XIII w. Posiada najwyższe w Anglii wieże kościelne liczące 122 m.

Portsmouth, to ostatnia angielska miejscowość, w której nocujemy przed wyjazdem z tego interesującego kraju. Tam następuje pożegnanie w Wujem Pierścianowskim, który nam w ostatnich dniach towarzyszył. Serdecznie mu dziękujemy za wspaniałą opiekę i pomoc. Bez niego pobyt nie byłby tak udany. Zapraszamy do Polski. Twierdzi, że nie przyjedzie, dopóki u władzy będą komuniści. Przy pożegnaniu każdego ściska i całuje. Nie wiem, czy wiedział, że w naszej grupie byli aktywni członkowie partii. W porcie zwiedzamy okręt admirała Nelsona, Victory. Jest to okręt muzeum, całkowicie zachowana fregata. Objaśnia kustosz w stroju marynarskim. Tak mówił, że nikt nic nie rozumiał. Wrażenia robiły tabliczki wskazujące, że tu pod Trafalgar w zwycięskiej bitwie z Francuzami w 1805 r., Nelson został śmiertelnie trafiony. Pod pokładem zaś zaznaczono miejsce, w którym skonał. Z Portsmouth, między innymi, wypływała flota inwazyjna, lądująca w 1944 r. w Normandii.

Przez kanał do Cherbourga płynęliśmy promem około 4 godzin. Była sztormowa pogoda i bujało. Profesor Oberc, korzystając z tego, że jest odpowiednie miejsce, urządził nam wykład z geologii Anglii i Francji. By na zgromadzić, ogłosił wiadomość przez głośniki znajdujące się na statku. Jedziemy oglądać na wybrzeżu Omaha Beach, miejsce lądowania Amerykanów w dniu 6.VI.1944 r. Tam chodzimy po tych historycznych plażach. Operacją „Overlord” dowodził gen. Eisenhower. Obroną kierował niemiecki feldmarszałek Rundstedt. W desancie brało udział ponad 9000 okrętów wojennych i transportowców. Zwiedzamy amerykański cmentarz wojenny, na którym pochowanych jest ponad 10 000 zabitych. Na tabliczkach jest wiele nazwisk polskich.

Przejazd do Arromanches, inwazyjny brytyjski port – Gold. Tu lądowali Anglicy i dywizja gen. Maczka. Zachowane resztki portu stworzonego podczas inwazji. Składał się on z betonowych, wyladowanych piaskiem barek. Były one następnie zatapiane tworząc sztuczny falochron. Na wybrzeżu pomnik wojenny złożony z czołgu typu Sherman. W miejscowym muzeum wyświetlano filmy z inwazji, prezentowano zdjęcia, broń i mundury. Między innymi, był tam mundur polskiego żołnierza.

Jedną z większych ciekawostek tego regionu, to Mont-Saint-Michel. Skalista wysepka na wybrzeżu. Podczas odpływu połączona z lądem. Miejsce kultu. Od początków VIII w. poświęcone Archaniołowi Michałowi. Mieściło się tam słynne opactwo benedyktyńskie ufundowane przez księcia Normandii, Ryszarda I, w 966 r. Wkoło klasztoru powstało osiedle otoczone murem. W XIX wieku mieściło się tam więzienie Teraz jest muzeum i czynny klasztor. Miejsce chętnie odwiedzane przez turystów. Szczególnie pięknie wygląda oświetlone nocą. W Chartres oglądamy jedną z najstarszych gotyckich katedr - Notre-Dame. Początki jej budowy sięgają XI w. Jest ogromna. Południowa jej wieża ma 115 m. Witraże z XII i XIII w.

Dojeżdżamy do Paryża. Tu, jak zwykle, dużo jest do zwiedzania. Ja już tu parokrotnie byłem, lecz zawsze z przyjemnością wracam. Wiele rzeczy widzę jednak po raz pierwszy. Przez parę dni pobytu oglądaliśmy, m.in., St. Severin – kościół, gdzie modlili się Mickiewicz i Towiańscy. W St. Germain pochowany jest Jan Kazimierz (płyta z płaskorzeźbą bitwy pod Beresteczkiem). Księgarnie polskie na ulicy Saint Germain i wyspie Św. Ludwika, Cepelia i Bank Polski. Duże wrażenie zrobiła na nas dzielnica Defense. To jest już XXI w. Odszukaliśmy Statuę Wolności na Sekwanie. Fotografowałem Wieżę Eifla, Trocadero i Plac Warszawski. Chodziliśmy pod pomnik Mickiewicza i wyszukiwać polskie nazwiska na łuku Triumfal-

nym. Następnie był Pałac Inwalidów z grobem Napoleona, Muzeum Rodina, Ogrody Tuileries i Luksemburskie. Katedra Notre Dame, Centrum Kultury im. Pompidou, Cmentarz na Montparnasse i Père Lachaise (z grobem Chopina). Kościoły – polski, Madeleine i Sacré-Coeur. Przedmiotem zwiedzania był też Panteon, dzielnica Montmartre z placem malarzy i Sorbona.

Koło Pontarlier przekraczamy granicę Szwajcarii. W Malbuisson śpiemy na campingu nad jeziorem. To już Góry Jura. Krajobraz bardzo ładny. Pasące się krowy chodzą z dużymi dzwonkami i słysząc je z daleka. Przejazd przez Neuchâtel do Berna. Tam zwiedzamy stare Miasto z Bramą Zegarową. Następnie jedziemy do Interlaken i zatrzymujemy się na campingu w Grindelwald. Piękna pogoda i wspaniała panorama gór z ośnieżonymi szczytami. Imponująco wyglądają ściany Eigeru, Müncha i Jungfrau. Tak tu pięknie, że szkoda odjeżdżać.

Zatrzymujemy się w Lucernie. Ciekawe są tam drewniane mosty, mury miejskie i Stare Miasto z pomnikiem lwa. Następnie to Vaduz (zamek i dużo fruujących lotni). Przejazd przez przełęcz Arlberg 1800 m. i San Anton. Postój w Innsbrucku. Miasto, jak zwykle, piękne na tle panoramy Alp. Jedziemy na Berchtesgaden. Na granicy wzmożona kontrola. Każdemu patrzą w twarz. Poszukują terrorystów z Czerwonych Brygad, którzy porwali i zabili znanego niemieckiego polityka Schleiera. To w tej okolicy Hitler miał swoją alpejską siedzibę. Nocujemy w Salzburgu i ponownie go zwiedzamy. Przed nami Wiedeń. Znowu jedziemy na Kahlenberg. Odwiedzamy już wcześniej znane nam obiekty, jak Belweder, Schönbrunn, Hofburg i katedrę św. Stefana. Następnie przez Bratysławę wracamy pełni wrażeń do Kraju. Zatrzymujemy się w Częstochowie – zwiedzanie klasztoru.

23.VI.1978–1.VIII.1979. Norwegia

(Ekspedycja polarna – Spitsbergen)

Dostałem propozycję udziału w ekspedycji polarnej na Spitsbergen. Gdy ją przyjąłem, musiałem przejść na etat Polskiej Akademii Nauk. Na czas pobytu otrzymałem bezpłatny urlop w moim Instytucie. Wyjazd ten był jednym z najciekawszych w moim życiu. Pozostanie w pamięci jako wielka przygoda. Wspomnienia z powyższego pobytu przygotowałem w dwóch osobnych opracowaniach: „W łodach dalekiej północy” i w skróconej formie dotyczącej tylko prac geologicznych „Wspomnienia z prac geologicznych na dalekiej północy (Spitsbergen)”.

6.III.1980.–29.V.1981. Mongolia

(Kontrakt w ramach Międzynarodowej Ekspedycji Geologicznej w Mongolii)

Kontrakt prowadził Polservice. Zadaniem ekspedycji było wykonanie szczegółowego zdjęcia geologicznego mało znanej wschodniej części Mongolii. Prowadzone tam prace obejmowały poszukiwanie metali, w tym i złota. W ramach tego wyjazdu otrzymaliśmy urlop i wyjazd do Kraju w dniach 13.XII.1980 – 21.I.1981 r. Szczegółowe wspomnienia z tego wyjazdu, w oparciu o prowadzone notatki, przygotowałem w osobnym opracowaniu pt. „Międzynarodowa Ekspedycja Geologiczna - Mongolia 1980 – 1981”.

Po powrocie z Mongolii otrzymaliśmy zaproszenie do Stanów Zjednoczonych. Zaprzyjaźniony z nami historyk, prof. Dawid Fajnhauz, chciał gościć Anię i mnie w Chicago. Miał być to rewanż za pomoc, jaką mu udzieliłem w okresie, kiedy starał się o „zieloną kartę”. Bez dokumentów, które tu z wielkimi trudnościami zdobyłem, nic by nie załatwił. Byłem z zaproszenia bardzo zadowolony. Miał to być urlop naszego życia. Przesłałem oficjalne dokumenty złożyłem w biurze paszportowym. Zakładałem, że pojedziemy do Montrealu (port docelowy) polskim liniowcem „Stefan Batory”. Były to ostatnie rejsy naszego luksusowego transatlantyku. Następnie przejazd autobusem do Chicago.

Nasi gospodarze planowali zorganizowanie nam wycieczki do Wielkiego Kanionu Kolorado i do Yellowstone Park. W drodze powrotnej mieliśmy zajechać do Waszyngtonu, Nowego Jorku i nad wodospad Niagary. Następnie powrót do Montrealu i statkiem do Gdyni. Plan był dobry. Nikt jednak nie przewidywał „Stanu Wojennego”. W związku z napiętą sytuacją w Polsce przysłano nam pisemne powiadomienie o wstrzymaniu wydania paszportów. Nasz plan runął. W terminie późniejszym otrzymaliśmy jeszcze raz zaproszenia do Fajnhauzów. Zapraszał nas również do Bostonu Janusz Skassa, syn naszego przyjaciela Jacka. To był też rewanż za pomoc w chorobie, jaką udzielił mi jego ojcu. Jednak z zaproszeń tych już nie skorzystaliśmy. Czas na takie wycieczki minął. Chcąc skorzystać z zaproszenia do Stanów, nie mogłem zapisać się do Solidarności. Nie dostałbym paszportu. Kierownictwo związku miało o to do mnie nieuzasadnione pretensje.

23.VIII.–16.IX.1984. Francja

(Urlop - wycieczka autokarowa)

Na zorganizowanie tego wyjazdu namówił mnie Naczelny Dyrektor Instytutu, prof. Waclaw Ryka. Brał on udział we wcześniejszych wycieczkach i chciał znowu sam spędzić aktywny urlop na zwiedzaniu Francji. Takie były jego zamysły, lecz funkcja dyrektorska nie pozwoliła planów tych zrealizować. Prosił mnie natomiast, bym zabrał do Francji jego współpracownicę Wandę Rygiel i jego syna – studenta. Chętnie na to się zgodziłem. Wanda była bardzo sympatyczną panią, którą dotychczas znałem tylko z widzenia. Ja z kolei miałem do niej prośbę. Chodziło o prowadzenie sekretariatu tej imprezy. Ktoś musiał się tym zająć, gdyż dotychczasowa towarzysząca i współorganizator wyjazdów, Olga Hattowska, nie zdecydowała się jechać. Do spraw organizacyjnych włączył się również Bolek Kubica. Miał on doświadczenie, gdyż przejął po mnie prowadzenie autokarowo-turystycznych wycieczek. Na ten wyjazd udało mi się namówić Anię, z czego byłem bardzo zadowolony. Wandzia, Bolek i syn Ryki dzielili wspólny namiot i prowadzili jedno żywieniowe gospodarstwo. Słyszając, jaką była gospodynią, można było im tylko zazdrościć.

By zaoszczędzić czasu na załatwienie różnych formalności autokar nie był wynajęty z PKS-u. Te sprawy i wizy przejęła wyspecjalizowana firma, jaką był Almatu. Tu się trochę nacięliśmy i były z tym problemy. Kłopoty rozpoczęły się z wizami. Na czas nie zostały zamówione. To spowodowało wielogodzinne opóźnienie wyjazdu. Czekając na przygotowanie wiz szwajcarskich nikt nie wracał już do domów. Obiad z Anią jedliśmy w klubie rosyjskim na Foksal. Wyjazd z Warszawy z winy Almatu nastąpił późno, bo dopiero o 17 godzinie.

Pierwszy nocleg w zamówionym Domu Studenckim wypadł w Zielonej Górze. Przyjechaliśmy tam późno w nocy. W Słubicach przekraczamy granicę. Celnicy kazali wyładować cały autokar, co było straszną pracą. Mało tego, popsuł się bendiks i można było ruszyć tylko z puchu. Czyli trzecia klasa pchać. W Słubicach nie było serwisu. Decyduję się szukać pomocy w Frankfurcie nad Odrą. Tam w miejskich zakładach autobusowych reperują nasz pojazd. Za remont płacimy 550 MD. Przejazd przez NRD już bez zatrzymania.

Granicę z RFN przekraczamy szybko i bez kłopotu. Mamy opóźnienia z winy autokaru. Na camping w Helmstedt przyjeżdżamy już po ciemku. Zaczynają się nowe kłopoty. Urszula Zientkiewicz, przyjaciółka Ani, jest

zbulwersowana. Ma spać w namiocie? Jak w psiej budzie? Protestuje; przekonana była, że sypiać będziemy po hotelach. Jest też niezadowolona ze współlokatorki, pani Lirskiej, z którą mają być razem. Tłumacząc, że wszystko wcześniej było uzgadniane i nie było zastrzeżeń i niedomówień. Wyieczka nasza jest tania i za te pieniądze o hotelach nie można nawet marzyć. Wiemy, będzie mniej wygodnie, ale za to zobaczymy dużo. Mimo moich racji, nasłuchałem się inwektywów.

Urszula ma również do mnie pretensje, że nie jest w naszej grupie żywieniowo-namiotowej. Od samego początku na to się nie zgadzałem. Z Anią chodzimy bardzo szybko i co innego nas interesuje. Staramy się zobaczyć jak najwięcej. Przyjaciółka Ani jest bardzo powolna. Lubi chodzić po sklepach, porównywać ceny, czego ja nie znoszę. Gdyby z nami zwiedzała, to niewiele byśmy podczas tego wyjazdu zobaczyli. Jeśli z panią Lirską nie wychodzi, musi sobie dobrać inną osobę, lub zespół. Tak też się w końcu stało.

Kolonia, milionowe miasto. Jedno z najstarszych w Europie. Założona przez Rzymian, odegrała dużą rolę w Hanzie. Katedra gotycka wzorowana na katedrze w Amiens. Budowę rozpoczęto w 1248 r., a zakończono dopiero w 1842. Była silnie zniszczona podczas ostatniej wojny. Mamy nowy kłopot. Nasz autokar cofając się na parkingu uszkodził samochód jakiegoś Niemca z Bonn. Kłopoty z policją; nasz kierowca nie posiadał ubezpieczenia z Almaturu. Po spisaniu protokołu i w nerwach mogliśmy jechać dalej. Początek naszej przygody nie był zachęcający.

Aachen (dawny Akwizgran), była stolica państwa Franków. Katedra z VIII wieku. Najstarsza jej część, to kaplica pałacowa Karola Wielkiego, zbudowana około 800 roku. Wzorowana była na kościele w Rawennie. Duże fragmenty starych murów miejskich. W mieście Urszula pobłądziła. Patrząc po sklepach zapomniiała, gdzie stał autokar i trzeba było ją szukać. Głównie przestała przed sklepem z kapeluszymi. Wchodziła, oglądała i wychodziła, znowu z powrotem wracała do sklepu i dalej przymierza kapelusze. Takie zwiedzanie, to nie na moje nerwy.

Waterloo – zwiedzamy miejsce bitwy z 1815 r. Tu Napoleon poniósł klęskę przegrywając z Wellingtonem i Blücherem. Kopiec z rzeźbą lwa na szczycie. Na tym miejscu została pochowana noga lorda Oxbrioka. Ja jestem tu już drugi raz. Po ciemku jedziemy do Brukseli. Długo błądzimy nie mogąc znaleźć campingu. Miasto jest perłą brabanckiego baroku. Ratusz gotycki z wieżą 89 m. Dom króla, który do króla nigdy nie należał. Dawna siedziba cechu piekarzy, a obecnie muzeum. Ładne zdobione domy miesz-

czańskie. Rynek należy do najpiękniejszych w Europie. Pokazują Manneken Pis, ma ponad 350 lat. Jest to figurka siusiącego chłopca, przebierana w różne ubiory. Dalej zwiedzamy katedrę gotycką z XIII w. i wielki Pałac Sprawiedliwości.

Amiens nad Sommą. Oglądamy katedrę Notre Dame. Należy do najwspanialszych gotyckich kościołów Europy. Wzniesiona została w XIII w. Ma wspaniałą rozetę i portale z galerią królów. Zwiedzamy Rouen nad Sekwaną. Był to niegdyś gród galijski, a potem miasto rzymskie. Stolica Księstwa Normandii. W 1419–49 w rękach Anglików. Posiada dużo zabytków, takich jak gotycka katedra Notre Dame z XIII w. z grobem króla Ryszarda Lwie Serce, uczestnika III krucjaty. Katedra należy do pięciu najwspanialszych kościołów Francji. Posiada piękne witraże z XIII i XIV w. Tu w tym mieście toczył się proces Joanny d'Arc i tu ją spalono. W gmachu, w którym zapadł wyrok, została zrehabilitowana. Budynek sądu stoi do dzisiaj.

Caen nad Orne. Posiada też liczne zabytki. Dobrze zachowany zamek. Kościoły romańskie i gotyckie. Miasto było terenem walk aliantów. Tu do walki weszły polskie jednostki pancerne pod dowództwem gen. Maczka. Bayeux – zwiedzamy kościół gotycki i muzeum. Wilhelm Zdobywca, syn Roberta Diabła, Księżę Normandii, wyruszył stąd w roku 1066 na podbój Anglii. Pod Hastings pokonał Anglików i podbił ich kraj. Jego żona, królowa Matylda, wyszyła historię tych zdarzeń. Tkanina z Bayeux ma szerokość 50 cm i 70 m długości. Jest udostępniona zwiedzającym. W mieście znajduje się również muzeum walk z okresu ostatniej wojny.

Jedziemy na Omaha Beach, miejsce lądowania Amerykanów. Pochowanych tam jest około 20 000 żołnierzy. Operacją dowodził Eisenhower, a bronił feldmarszałek Rundstedt. Ja już jestem tu po raz drugi. Dalej to malownicze Mont Saint Michel, wyspa połączona z lądem sztuczną groblą. Stare opactwo założone już w VIII w. Bardzo interesujący obiekt, wszystkim się bardzo podoba. Jedziemy do Brestu. Port wojenny, fortyfikacje i największy most zwodzony Europy. To już Bretania. W pobliżu nad morzem, kurort Conquet; tam śpimy na campingu.

Naszym miejscem docelowym miała być miejscowość Quiberon, położona na półwyspie o tej samej nazwie. Zakładałem, że będzie to cicha bretońska wieś rybacka i tam dłużej odpoczniemy. Okazuje się, że jest to modna miejscowość wypoczynkowa Francji z dużą ilością hoteli i pensjonatów. My ulokowaliśmy się jak zwykle na campingu. Tam spędziliśmy całe 4 dni na kąpielach i spacerach wzdłuż malowniczych kamienistych plaż. Słońce mnie tak spaliło, że dostałem dużej gorączki i dreszczy. Przyplływy i

odpływy morskie osiągają tam do 14 m. W pobliżu Quiberon leży Carnac. Miejscowość znana z wielkich zespołów głazów megalitycznych. Miały one charakter sakralny. Pochodzą z neolitu około 3500 lat p.n.e. Wielkie aleje głazów z Carnac należą do najbardziej znanych w Europie. Liczą 1099 menhirów (wielkich głazów). Największy ma 4 m wysokości.

Przejazd autokarem przez Nantes, stolicę Bretanii. Posiada liczne zabudunki. Zatrzymujemy się w Angers. Zwiedzamy wielki zamek z XIII w. Posiada on potężne mury i 17 wież. W fosach pasą się daniela. Piękne klomby z różnokolorowych kwiatów. Polonikiem jest Dom Króla Polski. Od października 1939 r. do czerwca 1940 roku miejscowość ta była siedzibą polskich władz emigracyjnych. Przejazd przez Tours, bazylika z XII i kościół z XIV w.

Zamki nad Loarą. Staramy się zobaczyć najbardziej znane. Jest ich tu ponad 130. Zaczynamy od Chenonceau. Jest klejnotem francuskiego renesansu z 1513 r. Zamek na wyspie; wzniesiony był przez Franciszka I. Wspaniale wnętrza. Mieszkała tu Katarzyna Medycejska, matka Henryka Walezego. Popierała starania syna o tron polski. Pod jej wpływem uciekł on do Francji rezygnując z polskiej korony. Była bezwzględna regentką i główną inspiratorką nocy Św. Bartłomieja. Stała na czele tego potwornego spisku, w którym jednej nocy zginęło tysiące ludzi. W nocy z 23 na 24 sierpnia 1572 r. dokonano masowej rzezi Hugonotów przybyłych do Paryża na wesele Henryka Nawarskiego. Ślub miał być przypieczętowany pokojem między zwaśnionymi stronami - kościołem katolickim i Hugonotami.

Amboise. Od XV wieku należał do książąt Orleańskich. Zamek obronny, w założeniach gotycki, przebudowywany w okresie renesansu. W nim zmarł Leonardo da Vinci. W mieście jest dom Leonarda. Mury zamku chodziliśmy oglądać w nocy. Pięknie były podświetlone. Na łąkach koło naszego campingu odbywały się zawody balonów na ciepłe powietrze. Bardzo malowniczo wyglądały na tle zieleni ich kolorowe powłoki.

Blois. Zamek z XV wieku. Zlepek różnych stylów gotyku, renesansu i neoklasycyzmu. Wspaniale wnętrza i schody. Należał do książąt Orleańskich. Mieszkał tu Franciszek I. Następny zwiedzany obiekt, to Chambord, największy i najpiękniejszy z zamków nad Loarą. Rezydencja Ludwików XIII i XIV. Przebywał tu Stanisław Leszczyński. Mieszkała w nim również Maria Leszczyńska, królowa Francji, żona Ludwika XV. Dalej jedziemy do Chartres. Znajduje się tam jedna z najwspanialszych gotyckich katedr - Notre Dame. Posiada wysokie wieże 115 m i przepiękne witraże z XII i XIII w.

Przed nami Paryż i w planie tydzień tam pobytu. Jedziemy przez Rambouillet, siedzibę prezydentów Francji.

Paryż – 8,5 miliona mieszkańców. Mieszkamy na campingu w Lasku Bulońskim. Miejsce byłych polowań królewskich. Do zwiedzania mamy bardzo dużo. Jeździmy do centrum autokarem lub dochodzimy piechotą do metra. Wracamy z reguły miejskim transportem. Wiele osób, w tym Ania, jest tu po raz pierwszy. Podczas naszego pobytu przedmiotem zainteresowania były następujące obiekty:

Ratusz, Katedra Notre Dame, Wyspa św. Ludwika z Hotelem Lambert (była siedziba Czartoryskich), Sorbona – Uniwersytet z początków XIII w., pałac i ogrody Luksemburskie. Panteon – klasycystyczny kościół. W czasie rewolucji zamieniony na świątynię sławy (miejsce spoczynku Woltera, Russo, E. Zoli i innych). Zwiedzamy Pałac Inwalidów z XVII w (grób Napoleona i muzeum armii). École Militaire – to szkoła wojskowa, gdzie uczył się Napoleon. Idziemy do gmachu UNESCO; przed paru laty byłem tu służbowo. Oglądamy Wieżę Eiffla wybudowaną w 1889 r.; ma ona 300 m wysokości. Plac Trocadero z budynkami dawnej wystawy światowej, gdzie obecnie mieści się muzeum. Dalej, pomnik Mickiewicza. Robimy zdjęcia Łuku Triumfalnego. Był on wzniesiony przez Napoleona i wzorowany na łuku triumfalnym Konstantyna w Rzymie. Znajduje się w centralnej części miasta, na dawnym placu Gwiazdy, obecnie przemianowanym na plac de Gaulle'a. Z placu tego promienieście wychodzi 12 alei.

Specjalnie dużo czasu poświęciliśmy na Luwr. Była to kiedyś rezydencja królewska, a teraz jedno z najwspanialszych muzeów świata. Idziemy na Plac Zgody (de la Concorde) z obeliskiem z Luksoru, pochodzącym z XIII w. p.n.e. Tu zgilotynowano Ludwika XVI i Marię Antoninę. Ciekawe są Ogrody Tuileries, założone przez Katarzynę Medycejską. Pałac Elizejski możemy podziwiać tylko z zewnątrz; obecnie mieści się tu rezydencja premiera. Kościół Madeleine zbudowany z polecenia Napoleona na wzór świątyni greckiej, ma 52 kolumny. W nim odbyły się uroczystości pogrzebowe po śmierci Chopina i Mickiewicza.

Ciekawe są: kościół polski przy rue st. Honoré. Opera paryska, która ma największą powierzchnię na świecie – 11 000 m². Plac Vendôme – z kolumną wzorowaną na kolumnie Trajana. Okładziny odlane ze zdobycznych dział pod Austerlitz. Na szczycie umieszczona statua Napoleona. Plac i pomnik Republiki. Zwiedzamy Montmartre – najwyższe wzniesienie Paryża. Miejsce spotkań artystów. Obok znajduje się Kościół Sacré-Coeur. Plac Pigalle i plac Clichy – dzielnica rozrywki. To miejsce specjalnie zwiedzali-

śmy późnym wieczorem. Dopiero wtedy ta dzielnica tętni życiem. Ania jest tam wyraźnie przestraszona. Idziemy na cmentarz Père-Lachaise (z grobami Chopina, Balzaka, Hańskiej i ścianą Komunardów). Następnie zwiedzamy Bulwar Saint Germain – z polską księgarnią. W kościele o tej samej nazwie pokazują grób Jana Kazimierza. Idziemy na Bulwar Montparnasse i na stary cmentarz. Szczególne wrażenie zrobiła na nas nowoczesna dzielnica Defense, wkraczająca już w XXI wiek. Chodzimy po Polach Elizejskich – głównej arterii z najelegantszymi sklepami Paryża. Panie jeszcze chcą zobaczyć sklepy Tatiego i galerię Lafayette.

Na campingu poznaliśmy jakieś starsze małżeństwo. Zrobiła się brzydka pogoda i zaczęło padać. Przynieśli nam dużą folię, by zabezpieczyć nasz namiot od wilgoci z dołu. Bardzo się nam to przydało. Zaprośili nas do swojego dużego wozu campingowego. Opowiadali o sobie, że mieszkają w Nowym Jorku. Ten pan jest krawcem, szyjącym najelegantsze stroje dla bogatych. Ich dom sąsiadował z domem Kiepurów, których obszywał. Dobrze znał Martę Eggerth. Gdy mówił o cenach, jakie bierze za garnitur, nie chcieliśmy wprost wierzyć. To tysiące dolarów. Jak to można było porównać z naszymi przydziałami dewiz. Byliśmy parę razy u nich wieczorami na herbatce. Byli ciekawymi ludźmi.

Wersal, to wyjątkowe miejsce. Budowa trwała 50 lat; rozpoczął ją Ludwik XIII. Pałac ma 574 okna. Znajdują się tam apartamenty Ludwika XIV, XV, XVI, Marii Antoniny i Napoleona. Ogrody mają 100 h. Pałac Petit Trianon pobudowano dla M-me Pompadour. W sali lustrzanej podpisano „Traktat Wersalski”, przywracający Polsce niepodległość. Następnie jedziemy do Fontainebleau. Pałac królewski zbudowany przez Franciszka I; rozbudowali go następcy. Napoleon wydał tu dekret o blokadzie kontynentalnej. Również tu internował Papieża Piusa VII. W pałacu tym podpisany był konkordat. W Fontainebleau miała też miejsce pierwsza abdykacja Napoleona. Miejsce wyjątkowo piękne. Cudowne wnętrza i ogrody. Ze wszystkich zabytków Francji ten nam się najbardziej podobał. W apartamentach Napoleona pokazywano niewielkie łóżko; wyglądające na dziecięce. Na nim sypiał Cesarz Bonaparte.

Jedziemy przez Dijon do Lyonu. Oglądamy katedrę i rzymski amfiteatr. Następnie jest Grenoble. Ośrodek sportów zimowych. Tu odbyła się zimowa Olimpiada w 1968 r. Z miasta widać już panoramę Alp. Na pobliskie góry można dojechać kolejką linową. Stare miasto ma liczne zabytki. Dalej jedziemy bardzo malowniczą drogą do Chamonix, stolicy Alp Francuskich. Po przyjeździe na miejsce popsuła się pogoda. Zrobiło się bardzo

zimno i padał deszcz ze śniegiem. Część osób chciała natychmiast stąd wyjechać. Urszula schowała się na poczcie, bo tam było ciepło. Ja nie bardzo chciałem się zgodzić na wcześniejszy wyjazd. Następnego dnia mieliśmy w planie oglądać panoramę najwyższych Alp. Po burzliwej dyskusji urządziliśmy głosowanie. Na szczęście mój jeden głos przeważył i zostaliśmy. Nasz lekarz, Elżbieta Stachlewska, ze względu na zimno rozdawała wszystkim aspirynę. W nocy było bardzo chłodno i wilgotno. Ja trochę zmarzłem, bo miałem letni śpiwór. Ania mój puchowy ze Spitsbergenu, to jej było ciepło. Bardzo mnie żalowała, że marznę.

Następnego dnia mieliśmy szczęście. Była wspaniała słoneczna i ciepła pogoda. Wszyscy byli szczęśliwi i zadowoleni. Cieszyli się, że zostaliśmy. Chamonix położone jest na wysokości 1035 m, u wylotu tunelu pod Mont Blanc. Posiada piękną górską panoramę. Lodowce Bassons i Mer de Glace podchodzą pod granice miasta. Większość uczestników naszej wycieczki pojechała najdłuższą kolejką Europy na Aiguille du Midi (3842 m). Nie udało mi się namówić Ani na ten szczyt. Była bardzo zestresowana. Jedyne zgodziła się pojechać na inny mniejszy masyw - Planpraz. Przejazd kolejką linową przeżyła. Gdy zjechała na dół, była bardzo zadowolona. Stamtąd był również wspaniały widok na Mont Blanc (4804 m.) i okoliczne szczyty.

Przed nami Genewa. Zwiedzamy Pałac Narodów. Podziwiamy fontannę na jeziorze wybijającą wodę ponad 100 m. Ania zachodzi do sklepu firmy Patek. Przejazd przez Lozannę. Była to rzymska warownia. Z zabytków najważniejsza jest katedra z XII w. Dojeżdżamy do Berna. Idziemy zwiedzić Stare Miasto. Wieżę zegarową z ruchomymi figurami i niedźwiedziem w herbie miasta. W Zurychu nad malowniczym jeziorem odszukaliśmy kościół z witrażami Chagalla. Przejazd przez Schaffhausen, Stuttgart, do Norymbergii. Stare miasto ma zachowane mury miejskie. Stąd gdzieś pochodziła moja rodzina ze strony mamy.

Śpimy w Pilźnie. Miasto nieciekawe. Amatorzy kupują piwo. Po wyjeździe z Zachodu kraje socjalistyczne wydają się strasznie szare i nieatrakcyjne. Zatrzymujemy się na krótko, by pochodzić po Pradze. Nasz autokar stoi nad Wełtawą. Przejście graniczne w Kudowie Ślone i przejazd do Ści-bórze nad jeziorem Otmuchowskim. Mamy zamówione tam domki. Urządzamy wieczór pożegnalny. W pobliżu mieszkał mój brat Tadeusz. Niestety, nie miałem z sobą numeru jego telefonu. Zadzwońłem więc z portierni do jakiegoś otmuchowskiego lekarza. Sądziłem, że jako kolega po fachu, zna jego telefon. Okazało się inaczej. Nie znał numeru i nie słyszał nigdy takie-

go nazwiska. Jak widać, to też jest dziwny i wrogi sobie świat. Chodziło tu pewno o konkurencję. Dopiero portier gdzieś ten numer odszukał i mogłem zadzwonić. Tadeusz zaraz przyjechał i nas zabrał do Otmuchowa. Szkoda, bo nie byliśmy na wspólnym pożegnaniu, a było udane. Następnego dnia krótki postój w Klasztorze Jasnogórskim. Z Częstochowy już bez kłopotów dojeżdżamy wieczorem do Warszawy.

17.I.1985.-11.IV.1988. Algieria

(Kontrakt z Geopolem – poszukiwanie fosforytów na Saharze)

Wyjechałem na paroletni kontrakt do Algierii, zakończony dużym sukcesem. Zostało znalezione i udokumentowane jedno z największych złóż fosforytów na świecie. Szczegółowe wspomnienia z pobytu w tym dla nas mało znanym kraju przygotowałem w 2 osobnych opracowaniach. Są to: „Na granicach Wielkiego Ergu Wschodniego 1985–1988”. Drugie, pełniejsze opracowanie, to „Sahara 1985–1988”. Powyższe opracowania dotyczą robót geologiczno-poszukiwawczych, prowadzonych na obszarze północno-wschodniej Sahary. Kontrakt był jednym z najcięższych i najtrudniejszych z moich dotychczasowych prac. Od strony geologicznej opublikowane zostały jeszcze 2 artykuły. Przygotowałem je wspólnie z Tadeuszem Wątkowskim, przebywającym ze mną na tym kontrakcie.

Pracując systemem rekuperacyjnym, często wyjeżdżałem do Kraju. Poniżej zamieszczam szczegółowe dane, dotyczące wszystkich przelotów w obie strony i dat, kiedy to miało miejsce.

I - 1	Warszawa – Algier	17.I.1985.
2	Algier - Warszawa	28.V.1985.
II - 3	Warszawa - Algier	25.VI.1985.
4	Algier – Warszawa	2. I.1986.
III - 5	Warszawa – Algier	30. I.1986.
6	Algier - Warszawa	8.V.1986.
IV - 7	Warszawa – Algier	12.VI.1986.
8	Algier – Warszawa	11.IX.1986 (przez Paryż)
V - 9	Warszawa – Algier	11.IX.1986 (przez Paryż)
10	Algier – Warszawa	22.XII.1986 (przez Paryż)
VI - 11	Warszawa – Algier	9. I. 1987 (przez Paryż)
12	Algier – Warszawa	27.IV.1987.
VII 13	Warszawa – Algier	9.VI.1987.

- | | | | |
|--------|----|-------------------|-------------------------------|
| | 14 | Algier – Warszawa | 7. IX.1987. |
| VIII - | 15 | Warszawa – Algier | 6.X. 1987 (przez Sofię) |
| | 16 | Algier – Warszawa | 30.XII.1987. |
| IX - | 17 | Warszawa – Algier | 22. I. 1988 (przez Paryż) |
| | 18 | Algier – Warszawa | 11.IV.1988 (koniec kontraktu) |

16–20.VI.1993. Ukraina

(Polsko - Ukraińska konferencja terenowa Lublin-Lwów)

Głównym tematem tego spotkania była współpraca przygraniczna między Polską a Ukrainą. Polscy organizatorzy przedstawili wyniki prowadzonych prac i demonstrowali reperowe odsłonięcia, wśród których najważniejsze były w Guzówce, Zaporzu, Tereszpolu, Hrebennem, Długim Goraju, Lubyczy Królewskiej, Szaleniku, Narolu, Hucie Różanieckiej i w Rezerwacie Szumy nad Tanwią. Baza mieściła się w Ośrodku Kolejowym w Suńcu.

W konferencji uczestniczyli z Instytutu: dr J. Rzechowski, prof. J. Malinowski, dr A. Żelichowski, dr B. Kubica i ja. W spotkaniu, oprócz pracowników UMCS z Lublina, brała udział Rena Kosmulska. Wspólnie z Rzechowskim referowaliśmy nowe dane dotyczące tektoniki wschodniego Rostocza. Prof. Malinowski i dr Żelichowski w krótkim czasie po tej konferencji zmarli. Było to ich pożegnanie z terenem.

Strona ukraińska demonstrowała wiele reperowych profili, w tym odsłonięcia w Rawie Ruskiej, Potyliczu, Niemirowie, Szkle (kopalnie siarki) i w szeregu innych punktach, których nie będę wymieniał. Baza, gdzie byliśmy zakwaterowani, mieściła się w lasach koło Iwano Frankowska (dawny Stanisławów), na wojskowym poligonie. Mieszkałem we wspólnym apartamencie z prof. Maryszczakiem z Uniwersytetu w Lublinie. Dostaliśmy pomieszczenie generalskie z 5 różnokolorowymi telefonami. Proszono, by ich nie ruszać. Cały teren był otoczony drutami kolczastymi i obstawiony wojskiem. Jadaliśmy w stołówce garnizonowej. Jedzenie było bardzo słabe, po 3 plasterki wędliny grubości opłatka, ogórek, kawałeczek masła, chleb i herbata. Na obiad wodnista zupa, trochę kartofli, bardzo mały mielony kotlet, listek sałaty i mało słodki kompot.

Na Ukrainie widać było nędzę. Widziałem, jak chłop orał ziemię pługiem, który ciągnęła kobieta, pewno jego żona. Było to niesamowite i przykre. Koniec XX wieku, a chyba gorzej, jak w średniowieczu. W autokarze zaczęto mówić o pomocy. Ktoś przykro zażartował. Powinniśmy w ramach przyjaźni dostarczyć im baty. By mogli nimi solidnie okładać baby, gdy

będą kiepsko ciągnąć. Koledzy ukraińscy bardzo starannie przygotowali trasy i dużo nam pokazali. Wieczorem zorganizowali w lesie ognisko z kielbaskami. Śpiewali ukraińskie dumki. Byli bardzo sympatyczni i gościnni. Jedyne na jednym z punktów jakaś kobieta, gdy usłyszała rozmowy po polsku, zaczęła coś pyskować. Nasi gospodarze zaraz ją uspokoiili.

W wielkim kamieniołomie w Potyliczu podszedł do mnie znany mi tylko z literatury dr Gawriliszyn. Pisaliśmy do siebie, lecz do tej pory osobiście nie było możliwości się poznać. Obie strony bardzo się ucieszyły. W imieniu Instytutu zaprosiłem go na rozmowy do Warszawy. Prowadziłem temat w strefie nadgranicznej. Tego typu kontakty były bardzo potrzebne.

Parę miesięcy później, po otrzymaniu oficjalnego zaproszenia, przyjechał do Polski. Była to jego pierwsza zagraniczna podróż w życiu. Był tym bardzo przejęty. Instytut zakwaterował go w swoich eleganckich pokojach gościnnych i zapewnił posiłki. Gość nie wiedząc, jak tu będzie z jedzeniem, przywiózł z sobą chleb i słoninę. Powiedziałem, by to wyrzucił. Ma bowiem lodówkę wypełnioną przez Instytut różnymi wędlinami. Gość, jak to zobaczył, spytał się, czy to wszystko dla niego. Potwierdziłem; Wtedy nieśmiało zwrócił się do mnie: teraz będzie jadł to, co z sobą przywiózł, a to chciałby zabrać do Lwowa. Naturalnie, może robić, jak sobie życzy. Wyjechałem z nim w teren, by pokazać interesujące go odsłonięcia. Z Lublina wracając samochodem do Warszawy, zaszedłem do pełnego słodczy sklepu Wedla. Chciałem kupić coś słodkiego na drogę. On również wszedł razem ze mną. Za chwilę opuścił sklep i czekał na dworze. Powiedział, że jest mu bardzo przykro. Na Ukrainie za 100 lat tak nie będzie. Gdy wracał do Lwowa, otrzymał ode mnie i kolegów, z którymi się tu stykał, masę różnych produktów żywnościowych: konserw i wędlin. Było mi go bardzo żal. To nie lump, tylko człowiek kulturalny, wykształcony i na stanowisku. Do czego błędna polityka może prowadzić?

Podczas tego wyjazdu oprowadzono nas i pokazano zabytki Lwowa. Byliśmy na górze Zamkowej, która jest ostatnim wzniesieniem wschodniego Roztocza. Batorz leży akurat po przeciwnej, zachodniej stronie. Na granicy w Hrebennem celnicy ukraińscy do poszukiwań narkotyków używali psa, cocker spaniela. Był identyczny, jak nasza Alba. Z poważną miną wchodził do każdego samochodu, by go obwąchać. Z Ukrainy wywieźliśmy przykre wrażenia. Brak towarów w sklepach. Zarobki bardzo małe, w przeliczeniu około 20 dolarów miesięcznie na osobę. Do tego płacą im nieregularnie, zalegając po parę miesięcy z wypłatą poborów. Wszystko strasznie szare i zaniedbane. Większość odrapanych budynków pamięta

jeszcze czasy przedwojenne i wymaga remontu. Drogi zle i trudności z benzyną. Rosjanie zakreśliли paliwowy kurek, bo nie mają czym płacić. Wieś jeszcze kołchozowa; nie wiedzą jak z tego wyjść. Ludzie nie chcą i boją się brać ziemię.

W autokarze ktoś opowiadał dowcip. Gomułka jedzie do Białegostoku i przegląda skład komitetu wojewódzkiego. Czyta nazwiska: Harasimiuk, Krawczuk, Andrejuk, Sobczuk. Przerywa czytanie i pyta się: „Czy u was w Komitecie nie ma nikogo na ski?” „Jest, - pada odpowiedź - towarzyszu Skiriluk”.

3-7.X.1994. Ukraina

(Symposium terenowe poświęcone lessom i ich korelacji)

Konferencja polsko-ukraińska, zorganizowana przez UMCS w Lublinie i Ukraiński Uniwersytet we Lwowie. Symposium odbyło się w dniach 3-7.X.1994 r. Narada i zakwaterowania były na Uniwersytecie w Lublinie. Wycieczki terenowe po stronie polskiej prowadził prof. Maruszczak. Prezentował odsłonięcia czwartorzędu w Parchatce, Zawichoście i w rejonie Sandomierza. Tematyka była bardzo interesująca i teren malowniczy. Dopisywała też pogoda, podkreślona barwami jesieni. Uczestnicy narady byli zachwyceni. Mieli jednak do organizatorów pewne zastrzeżenia. Profesor przeciwny wszelkiej turystyce nie zgodził się pokazać zabytków pobliskiego Kazimierza i równie pięknego Sandomierza. Choć wiedział, że parę osób z uczestników symposium nie znało tych miast. To było już dziwactwo. Zwykle organizatorzy rozszerzają tematykę na historię i architekturę, by uatrakcyjnić uczestnikom pobyt. Ja znając czas przeznaczony na geologię, wygoszparowałem spacer po Sandomierzu.

Granicę ukraińską przekroczyliśmy w Hrebennym. Jak zwykle, duża kolejka oczekujących. Tu niewiele się zmienia. Celnicy i straż graniczna, jak byli, tak i są bardzo nieprzyjemni. Jedziemy do Rawy Ruskiej i dalej na Belz. Jest to bardzo stare i historyczne miasto. Znanе księstwo bełskie. Polska prowadziła z nim liczne wojny. Dymitr z Goraja towarzyszył Ludwikowi węgierskiemu w wyprawie na Belz. Za pomoc udzieloną Królowi dostał nadania ziemskie, w tym i Batorz. Miało to miejsce w obozie podczas oblężenia tego miasta - księstwa. Teraz to małe, pożydowskie, drewniane, zapyziałe miasteczko, w którym czas stanął. Do granicy z Polską zaledwie parę kilometrów, a jaka kolosalna różnica. Cel naszego wyjazdu, to Bojanice. Tu koledzy z Ukrainy pokazują nam piękne odsłonięcia lessów z paroma po-

ziomami gleb kopalnych. Dobrze odsłonięta jest też tu górna kreda z belemnitami dolnego mastrychtu. Na wieczór wracamy do Lublina.

2-4.X.1997. Słowacja

(LXVIII Zjazd PTG w Zakopanym z wycieczkami na Słowację)

Był to pierwszy zjazd geologiczny, na który zdecydowała się pojechać Ania. Ciągnęła ją nie geologia, tylko Zakopane. Pojechaliśmy samochodem do Katowic. Norbert, jak zwykle gościnny, urządził nam wycieczkę, by zaprezentować swój region. Najpierw pokazał dawne osiedle górnicze w Katowicach. Tak zwane „Familioki”. Bardzo nam się podobało. Zupełnie inaczej to sobie dawniej wyobrażaliśmy. Jak się dowiedział, że mama nigdy nie była w kopalni, to zawiózł nas do Tarnowskich Gór. Zwiedziliśmy tam kopalnię cynku i ołowiu, obecnie już nieczynną i zamienioną na muzeum. Dla Ani, która ma klaustrofobię, było to wielkie przeżycie. Przejazd pod ziemią łożdżą, chodzenie chodnikami i oglądanie zrobów, zrobiło wrażenie. Bała się, lecz była bardzo z wycieczki zadowolona.

Następnego dnia przejazd przez Oświęcim i Wadowice. Zatrzymujemy się tam na krótko w rynku. Przejazd do Zakopanego. Zakwaterowują nas w Hotelu Świerk. Obok, w przejściowym pokoju, mieszkają Sylwestrzakowie. Ja pierwszego dnia siedziałem na obradach. Ania z Maryną Lefeldową i Ziutą Makowską latały po Krupówkach. Po południu pojechaliśmy kolejką na Gubałówkę, a wieczorem była ze mną na wspólnej kolacji i spotkaniu towarzyskim. Te wieczorki są bardzo ważne. Wtedy spotykają się tam znajomi i przyjaciele z różnych ośrodków Polski. Można się wiele dowiedzieć, nagadać i nażartować do woli. Na tych spotkaniach przy muzyce i tańcach, jak zwykle, prym wiodła Rena Kosmulska z Lublina.

Większość geologów spoza Instytutu, jakich znałem, to uczestnicy zjazdów PTG. Przewinęło się na tych imprezach wielu oryginałów. Do nich należał prof. Panow z Krakowa, wyglądający na bezdomnego włóczęgę. Były na tym tle śmieszne pomyłki i krążyły całe legendy. Charakterystyczną postacią tych imprez był góral, doc. Ludwik Watycha. Posługiwał się gwarą góralską i na zjazdach organizował „watrę”. Na Zjeździe w Zawoi tak okupował w tańcu Renę Kosmuską, że trzeba było fortelu, by ją oswobodzić. Odpędzał wszystkich, którzy chcieli z nią zatańczyć. Nie godził się na „odbijany”. W końcu wpadłem na pomysł, jak ją wyrwać z jego towarzystwa. Stojąc w oknie głośno krzyknąłem „meteoryt”. Ludwik partnerkę puścił i poleciał na zachmurzonym niebie zjawisko to wypatrywać. Inni z tego sko-

rzystali i Rena została poderwana. Gdy się zorientował, że to był tylko żart, siłą odebrał. Było z czego się pośmiać.

Zjazdy, jak i zababione Polskie Towarzystwo Geologiczne, były też miejscem różnych plotek. Komitet organizacyjny zjazdu w Koninie, któremu szefował doc. Edmund Rutkowski, był pomówiony o zorganizowanie orgii seksualnych z udziałem kierowniczkę Muzeum IG, mgr Zofii Fibich. Wiele pań z Instytutu zazdrościło jej urody i powodzenia u mężczyzn. Stąd wokół jej osoby narastały plotki. Po zjeździe, będąc w Zarządzie Głównym PTG w Krakowie, profesor Ślącza zapytał się: „Co tam w Koninie się działo?” Zdziwiłem się, bo nic takiego nie miało tam miejsca. „Ty nie wiesz? Mimo, że tam byłeś?” Przytaknąłem i wtedy usłyszałem: „Myśmy tam nie byli, ale wiemy lepiej”. Co było dyskutować? Żądni sensacji niech gadają co chcą. Jeśli mówią, to dobrze. Gdy przestaną, wtedy będzie źle.

Przed paroma laty podczas mojego pobytu w Zarządzie Głównym Polskiego Towarzystwa Geologicznego w Krakowie zapytano się, czy to prawda, że ich szef, profesor Rafał Unrug (przewodniczący PTG) ożenił się z Zofią Fibich. Dotarła tu taka niesprawdzona wiadomość, w którą nie chciano wierzyć. Przytaknąłem, bo rzeczywiście miało to miejsce. Zdziwiłem się, że jego pracownicy o tym nie wiedzieli. Wtedy panie zaczęły lamentować. Żalowali profesora „Taki porządny i mądry człowiek. Rzucił żonę, zostawił córkę i kogo wziął. Jakąś tam Fibich z Warszawy”. Powiedziałem: „Takie rzeczy się zdarzają”. Na to usłyszałem od sekretarki, Róży Limeckiej: „Gdyby to zrobił pan Cieśliński, to byśmy się nie dziwili, ale Unrug?” Co mogłem powiedzieć? Że tacy jak ja się nie rozwodzą?

Były i takie przypadki. Pamiętam, na zjeździe w Suwałkach spotkałem dawno niewidzianych kolegów. Pytają się, czy prędko idę na emeryturę? Ty taki czynny, co będziesz wtedy robił? Śmiejąc się odpowiedziałem „Będę miał bardzo dużo czasu i wtedy poważnie zajmę się dziewczynami”. Przechodząca obok nas pani prof. Halina Żakowa z Kielc ze złością odwróciła się i powiedziała do mnie: „Spojrzyj w lustro stary dziadu”. Mogłem się tylko uśmieć. Starzejące się koleżanki przestawały znać się na żartach. To jednak były sporadyczne przypadki.

Pierwszego dnia zajęć terenowych uczestniczyłem w wycieczce z prof. Lefeldem na Słowację. Dojechalśmy autokarem na przejście graniczne w Łysej Polanie. Następnie pieszo doliną Białej Wody doszliśmy do doliny Waksmundzkiej i pod Młynarza. Pogoda była fatalna. Padał deszcz, a wyżej w górach śnieg. Co pewien czas spod chmur ukazywały się strome zbocza i szczyty. Widoki były piękne i groźne. Podczas tej wycieczki hy-

drogeologię objaśniał syn naszej znajomej, sędzi Humnickiej. Za moim przykładem poszedł na ten kierunek studiów i po ich zakończeniu pracował na Uniwersytecie Warszawskim.

Następnego dnia przejazd autokarem pod Hyżne, gdzie przekraczamy granicę. Znow jesteśmy w Słowacji. Jest piękna, słoneczna pogoda. Jedziemy doliną Borowiecką. Dalej piechotą doliną Suchą po wschodnie zbocze Osobistej i przełęcz Umarłą. Wracamy wyjątkowo piękną doliną Juraniową. Miejscami zabezpieczenia łańcuchowe. Objaśniał prof. Lefeld i mgr Ala Staniszevska (córka prof. Ewy Roniewicz). Powrót przez Chochółów. Ania została w Zakopanem; zawsze górs bała, a szkoda.

W drodze powrotnej zabieramy z sobą Sylwestrzaków. Jedziemy zobaczyć Zalew Czorsztyński, a potem na Mszanę Dolną, Myślenice i Kraków. Buniowie jadą na Śląsk, my śpimy w pokojach gościnnych Instytutu. Następnego dnia Staszek Czarniecki oprowadza nas po Kazimierzu. Tam zwiedzaliśmy synagogi i byliśmy w żydowskiej restauracji. Wychodząc zapraszają nas do sąsiedniego, podobnego lokalu. Mówię, że już w żydowskiej byliśmy. Zapraszający zachęca: „To my jesteśmy prawdziwi, a tam to fałszywi Żydzi”. Na kolację prosi nas do siebie Staszek. Następnego dnia przez Chęciny, gdzie jemy dobrą golonkę, wracamy do Warszawy. Zjazd był udany.

5–10.V.2000. Niemcy i Austria

(Wyjazd z Norbertem)

Norbert jedzie do Niemiec w swoich sprawach służbowych. Proponuje, bym ja z nim pojechał i to na jego koszt. Powiedział: „Dawniej Ty mnie wozileś, a teraz ja ciebie chcę wozić”. Sprawił mi tym wielką przyjemność i bardzo się z tego ucieszyłem. Poza nieistniejącym już NRD, kraj ten znałem bardzo słabo i to z okien samochodów.

Wyjazd pociągiem do Katowic. Zabieramy Zuzię do dziadków pod Bielsk. Tam mają ładną daczę. Przejazd przez Skoczów, Racibórz, Głogówek, Prudnik, Nysę, do Otmuchowa. Jest już ciemno, miasto przejeżdżamy bez zatrzymania. Tadeusza nie możemy odwiedzić. Mieszka bowiem z Ireną, której na oczy nie chcę widzieć. Dalej Ząbkowice, Dzierżoniów, do Świdnicy. Tam Norbert ma współnika, Zabiera od niego pieniądze, które ma wpłacić w Niemczech. Następnie przez Jelenią Górę jedziemy do Dolnej Szklarskiej Poręby. Tam śpimy w przyzwoitym motelu.

Następnego dnia granicę przekraczamy w Zgorzelcu i jedziemy na Drezno, Erfurt, Eisenach i Giessen. Wjeżdżamy w dolinę Renu poniżej Koblencki. Zatrzymujemy się Sankt Goars. Z małego hoteliku, w którym śpiemy, okna wychodzą na Ren. Widać duży ruch barek po tej wielkiej rzece. Krajobraz przełomu przepiękny, zielone zalesione stoki, wśród których widać malownicze ruiny. Obok dobrze zachowane średniowieczne zamki Kot i Mysz (Burg Katz i Burg Maus). Robimy nocne zdjęcia oświetlonych obiektów nad rzeką. W niedzielę rano jedziemy pod skałę Lorelei. To tu według legend, czesząc swoje piękne włosy miała swoim śpiewem doprowadzać płynących po Renie do zguby. Zapatrzeni i zasłuchani w jej śpiew żeglarze wpadali i ginęli na podwodnych skałach.

Zatrzymujemy się w Kaub. Na środku Renu znajduje się wyspa, na której stoi średniowieczny zamek Obok, pomnik feldmarszałka Blüchera. To w tym miejscu przeprowadził swoją armię przez Ren, dążąc pod Waterloo. W rezultacie to on zdecydował o losie tej bitwy i klęsce Napoleona. Przemem przepływamy Ren i malowniczymi, zalesionymi wzgórzami wjeżdżamy na wysokości Brodenbach w dolinę Mozeli. Wszędzie bardzo zielono, na wysokich stokach winnice i dość dużo lasów.

Norbert w przewodniku znalazł opis średniowiecznego zamku-muzeum, który chce zwiedzić. Jest to Burg Eltz z XII w. Zachowany świetnie. Nadal jest w rękach spadkobierców, którzy tam zajmują część pomieszczeń. Zamek ulokowany jest w głębokiej, krętej dolinie. Od strony Mozeli tonie w zieleni i zupełnie jest niewidoczny. Bramy, mury i dziedzińce robią wrażenie. Pomieszczenia mieszkalne bardzo surowe. Kuchnia z pełnym starym wyposażeniem z epoki. Na ścianach wisi broń i stoją pancerze. Wnętrza odpowiadają surowym czasom średniowiecza. Nie widać późniejszych przeróbek. Wszystko robi wrażenie autentyku i pewno tak jest. Po zamku oprowadzają zawodowi przewodnicy. Bardzo jestem Norbertowi wdzięczny, że mnie tu zawiózł.

Jedziemy do Cochem nad Mozelą. Nad miastem góruje Bergkastel, imponujący średniowieczny zamek, częściowo zrekonstruowany. Samochód zostawiamy w parapiętrowym parkingu w centrum. Chodzimy po miście, oglądamy statki pływające po Mozeli. Pogoda wspaniała. Dalej to Idar Oberstein – miasto firm kamieniarskich. Tam śpiemy w hotelu. Następnego dnia idziemy do firmy, z którą Norbert współpracuje. Mieści się ona w wieżowcu giełdy diamentów. Jest tam co oglądać. Na ulicy przed firmą spotkanie znajomych ze studiów, którzy teraz mieszkają w Niemczech. Proszą nas na kawę. Następnie jedziemy do firmy Kuntzego. Mieści się ona na wsi,

około 20 km od naszego lokum. Posiada bardzo ładną ekspozycję półszlachetnych minerałów. Norbert jest bardzo zadowolony ze współpracy z niemieckimi firmami.

Teraz nasza droga wiedzie przez Krengheim; jest tam najwyższy most Europy mający 185 m wysokości. Zaczyna się psuć pogoda. Jedziemy w strugach deszczu przez Ulm, Augsburg, na Monachium. Wjeżdżamy do Austrii. Nocleg mamy w Hallein pod Salzburgiem. Przyjeżdżamy tam bardzo późno. Następnego dnia był bardzo interesujący. Zaczynamy od Bad Dürrenberg, gdzie znajdują się kopalnie soli. Teraz Norbert chce mi pokazać piękno Alp. Jedziemy trasą widokową nad Salzburgiem, powyżej 1500 m. Najwyższy szczyt w śniegu, Hoher Goll, ma 2522 m. Mamy znów szczęście, wspaniała pogoda i piękne widoki. Śnieg białymi płatami leży obok drogi. Jestem zachwycony. Nie dziwię się, że tu mnie przywiózł.

Norbert chce teraz pokazać mi w Alpach Bawarskich coś bardzo interesującego. Zaczynam się domyślać. Jedziemy drogami w pięknej górskiej scenerii do Berchtesgaden. Jest to niewielkie i ładne miasteczko, znane z historii. Dalej krętymi serpentynami, dojeżdżamy do miejsca zwanego Obersalzberg. Tu mieściła się alpejska siedziba Adolfa Hitlera. Jego ulubione miejsce, jeszcze z okresu przedwojennego. Teraz, poza dużym parkingiem i niewielkim sklepikiem, nic tu nie ma. Wszystko zostało zniszczone. Najpierw, pod sam koniec wojny rezydencję tę zbombardowali alianci. Po wojnie ruiny zostały rozebrane, a teren splantowany. Chodziło o to, by nie było to miejsce kultu.

Obok rezydencji Hitlera mieściły się domy Göringa, Bormanna i koszar oddziałów SS, strzegące cały ten eksponowany region. Nic z tego już nie zostało. Jedyna zachowana pamiątka, to restauracja na pobliskim szczycie Kehlstein. Wybudowana w 1937 r. z polecenia Bormanna jako prezent dla ukochanego wodza. Lokal utrzymany jest bez żadnych przeróbek w stylu lat trzydziestych. Prowadzi do niego „złota winda” w wykutym tunelu w skałach. Hitler bywał tu rzadko, gdyż miał chorobę wysokości. Niestety, ta eksponowana i znana z pięknych widoków restauracja była w tym czasie zamknięta. Bardzo żałowałem. Chodziłem jedynie po tym historycznym miejscu. Oglądałem widoki, jakie i on widział ze swoich okien. Tam, w tak pięknej scenerii, powstawały jego zbrodnicze pomysły.

Jedziemy do Golling. Jest to bardzo ładne tyrolskie miasteczko. Norbert koniecznie chciał, bym je zobaczył. Następnie chodzimy po Salzburgu. Pogoda nadal nam dopisuje. Oglądamy zabytki, bogate wystawy sklepowe i piękną panoramę otaczających miasto gór. Jest wspaniale. Ruszamy przez

Linz do miejscowości Melk. Znajduje się tam barokowy klasztor Benedyktynów, największy w Austrii. Jest pięknie utrzymany i odnowiony. Obchodzimy go z zewnątrz. Na szczególnie zwiedzenie nie ma czasu.

Jedziemy wzdłuż malowniczego przełomu Dunaju (Wachau) na Krems. Przypomina to trochę dolinę Renu. Spotyka się zabytkowe budowle. W miejscowości Dürnstein po drugiej stronie rzeki widać ruiny zamku. Tu miał być więziony Ryszard Lwie Serce, gdy wracał z wyprawy do Ziemi Świętej. Dalej jedziemy na Hollabrunn i przekraczamy granicę z Czechami koło Znojna. Następnie przez Brno, Olomuniec, Cieszyn, do Katowic.

Pełni wrażeń dojechaliśmy do domu późno w nocy. Następnego dnia przed wyjazdem odwiedziłem jeszcze Mierzwińskich. Zaraz po południu powrót pociągiem do Warszawy. To był bardzo ciekawy i udany wyjazd. Norbert w drodze był bardzo opiekuńczy i jako organizator wprost fantastyczny. Nie znałem go dobrze z tej strony.

24-31.X.2002. Niemcy, Austria i Włochy

(Wyjazd z Norbertem)

Mam nową interesującą propozycję. Norbert chce zabrać mnie znowu w zagraniczną podróż. Po doświadczeniach z pierwszego wyjazdu przyjąłem to z wielką radością. Jednym z celów była Międzynarodowa Giełda Mineralogiczna w Monachium oraz zapoznanie się z włoskim rynkiem alabastrów. Norbert jadąc zabierał również z sobą narty, gdyż po drodze chciał jeszcze w wysokich Alpach trochę pojeździć.

Wyjeżdżam wieczorem do Sosnowca. Tam na dworcu czeka na mnie Norbert z Zuzią. Pokazuje mi swój sklep położony w najelegantszej części miasta. Nocuję w Katowicach. Następnego dnia odwozimy Zuzię na dworzec. Jedzie z klasą na wycieczkę do Oświęcimia. My ruszamy w drogę. Na krótko zatrzymujemy się w Otmuchowie. Przed cmentarzem czeka na nas Józefa Janusz i razem z nią idziemy na grób Tadeusza. Od czasu pogrzebu tu nie byłem. Cieszę się, że ma przyzwoity kamienny pomnik. Bałem się, że tu nikt nie będzie o nim pamiętał.

Przejazd przez Kudowę do Pragi. Tu trochę błędziliśmy i trzeba było wjechać do centrum. Wieczorem jesteśmy w Erding (miasto powiatowe pod Monachium). Tam mamy zamówiony hotel. Następnego dnia jedziemy do centrum Monachium. Odbywają się tu Targi Mineralogiczne GEOFA. Ekspozycje znajdują się w wielkich salach targowych. Okazy wspaniałe. To jest tak wielkie, że nie ma możliwości przejść, by zapoznać się z całością. Wy-

stawa przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Sądziłem, że Muzeum Instytutu w Warszawie ma wielkie zbiory. Po Monachium, to bardzo skromna ekspozycja. Norbert prowadził tam rozmowy z przedstawicielami firm, a ja zwiedzałem. Byliśmy tam do wieczora.

Po wyjściu z Targów jedziemy na miasto. Syn zna je dobrze; wielokrotnie tu przyjeżdżał. Pogoda zrobiła się okropna i pada. Co robić? Mimo to chodzimy i zwiedzamy. Zaczęliśmy od starego miasta i katedry. Ma ona charakterystyczne cebulaste dachy na wieżach. Idziemy pod zamek. Tu rozpędzane były demonstracje organizowane przez NSDAP przed przejściem przez Hitlera władzy. Z zamku ogłaszano wiadomość o wybuchu I Wojny Światowej. W tłumie stał Hitler. Uwieczniony został na publikowanych fotografiach. Oglądamy ratusz, eleganckie dzielnice miasta i idziemy do piwiarni Hofbräu. Dęta orkiestra gra tam skoczne i głośnie marszowe melodie. Muzycy w ludowych bawarskich strojach. Siedzący przy stołach piją piwo, śpiewają, a nawet tańczą. Bawią się doskonale. Tu w 1939 r. była próba zamachu na Hitlera. Być może sfingowana. Po powrocie w hotelu ze zmęczenia i emocji dostałem dreszczy. Aspiryna wystarczyła i na drugi dzień byłem już zdrowy.

Następnego dnia słonecznie, lecz bardzo silny wiatr. Radio zapowiada orkan. W związku z tym Norbert zmienia plany. Udajemy się bezpośrednio do Włoch. Na narty w Alpy wpadniemy w drodze powrotnej. By drogę jak najbardziej uatrakcyjnić, nie podróżujemy autostradami. Dzięki temu poruszamy się wolniej, ale znacznie więcej można zobaczyć. Jedziemy na Brenner. Słynny most – Europabrücke, oglądamy od dołu. Piękne alpejskie panoramy zmieniają się. Jestem jak urzeczony. Jak tu pięknie. Obiad jemy w jakiejś małej miejscowości. Właściciel podszedł i chce rozmawiać. Pyta się, skąd my jesteśmy. Jak usłyszał Polska – to dobrze wie. Wspomniał, że teraz dużo różnych podróżuje, nawet Czechoł. Widząc zdziwienie powiedział, że na samochodach mają litery Cz. Tu pomylił z Czechami.

Do Włoch wjeżdżamy autostradą. Na południe od Florencji, w miejscowości Incisa, skręcamy na Figline. Mamy tam zamówiony dwupokojowy, stojący w ogródku, bungalow. Na miejscu jesteśmy późnym wieczorem. Następnego dnia jest niedziela. Jedziemy lokalnymi drogami przez Gravę do Sieny. Pogoda wspaniała, włoskie niebieskie niebo. Wkoło zieleni, niewielkie lasy i malownicze górzyste krajobrazy. Wszędzie widać winnice. Na wniesieniach posadowione są miejscowości. To jest ta urocza Toskania.

W Sienie zwiedzamy wspaniałą katedrę z XIII w. Zbudowana jest z 2 typów marmurów - białego i czarnego. Wystrój i rzeźby przypominają pol-

ski barok. Piękne mozaiki. W środku głowy papieży; część z nich o strasznie złych twarzach. Rzeźbiarz podobno specjalnie ich tak przedstawił. Oglądamy średniowieczną zabudowę miasta i piękny, równie stary ratusz w stylu zbliżonym do gotyku. Cieszymy się, że w związku z porą roku mało jest turystów. W południe ciepło, 24°C; chodzimy w koszulach. Następnie jedziemy rozejrzeć się po okolicach. Oglądamy ładne pejzaże tych stron. Norbert rozgląda się za stacją benzynową, wszystkie zamknięte. Włosi świętują. Potrzebujący mają karty i na nie mogą brać bez obsługi. My takiej nie mamy. W końcu udało się znaleźć czynną. Jest już po kłopotcie. Przejeżdżamy Colle. Tam Norbert szuka firmy zajmującej się alabastrem i bez pytania wieczorem ją znajduje.

Następnego dnia jedziemy do San Gimignano. Średniowieczne, niesamowite miasto. Telewizja w Polsce pokazywała z niego reportaże. Określane bywa średniowiecznym Manhattanem. Wśród paropiętrowej, kamienniej, starej zabudowy sterczy 13 wysokich, również kamiennych, wież. Przypomina to trochę wsie czeczeńskie, tylko w innej skali. Dawniej było ich 72. Na polecenie władców Florencji część z nich została rozebrana. Wieże te służyły do obrony skłóconych i walczących z sobą rodów. To była najpewniejsza forma zabezpieczenia przed nagłym atakiem. Tu czas od średniowiecza stanął w miejscu. Podziwiamy i fotografujemy, jednak mieszkać bym tu nie chciał. To można oglądać, lecz wolę już nowoczesność. Mamy nieprzewidzianą niespodziankę. Straż miejska za wycieraczki naszego samochodu wsadziła mandat do zapłacenia. Nie wiedząc, dlaczego, ani nie czując się winnym, Norbert go wyrzucił i spokojnie wracamy do Figline na noc.

Następnego dnia znowu piękna pogoda, od rana 22°C. Jedziemy krętymi drogami przez malownicze tokańskie Apeniny – górami Chianti na Colle, a dalej do Voltery. Tam Norbert ma adresy firm produkujących wyroby z alabastru. Zadowolony jest z prowadzonych rozmów. Ma trochę kłopotów z dogadaniem się, bo większość przedstawicieli firm zna tylko włoski. Miasto Volterra jest pięknie położone na dość wysokiej górze. Posiada średniowieczną zabudowę z zamkiem, murami obronnymi i starymi kościołami. Wracamy wieczorem do Florencji. Teraz czas na nocne zwiedzanie miasta. Samochód zostawiamy na dużym parkingu. Obok kopii rzeźby Michała Anioła - Dawida. W tej okolicy przed laty mieścił się nasz camping. Zwiedzamy nocną Florencję. Most Ponte Vectra ze sklepami złotników. Idziemy pod ratusz, by filmować pomniki Dawida i Neptuna. Chodzimy po mieście, gdzie działał i został na stosie spalony fanatyczny mnich Savonaro-

la. Była to niesamowita postać kaznodziei walczącego z wyższym duchowieństwem i nawet z papieżem. Stracił poparcie tłumów wprowadzając ciągle posty. Tym naraził się ówczesnikom. Wyrzucając z miasta prostytutki, czego nie mogła darować mu ówczesna młodzież.

Ruszamy w drogę powrotną. Przed Florencją na autostradzie korki. W związku z tym jedziemy zwykłymi drogami do Lucca. Ładne stare miasto otoczone fortyfikacjami z okresu napoleońskiego. Zwiedzamy katedrę i owalny centralny rynek, powstały po rozebranych antycznym stadionie. Chodzimy po mieście; tu dużo turystów. Norbert dla Zuzi kupuje figurkę Pinokio w sklepie z zabawkami.

Przed nami Carrara. Miasto duże i bardziej nowoczesne z wyglądu. Jedziemy do słynnych kamieniołomów. Tu od starożytności rzeźbiarze zapatrywali się w piękny biały marmur. Dojazd do tych interesujących nas punktów krętą drogą i tunelami wykutymi w skałach. Tam zwiedzający mogą obejrzeć niewielkie muzeum i zjeść coś w baraku-restauracji. Od wieków prace trwają tu bez przerwy. Nie jest to jeden kamieniołom, tylko wiele rozrzuconych w głębi zбочy stromej doliny. Wielkie samochody serpentynami zwożą bloki białego marmuru w kierunku miasta. Wracamy znowu tunelem, który Norbert cały czas filmuje. Zjeżdżając z gór obserwujemy panoramę wybrzeża Morza Liguryjskiego. To trzeba było koniecznie zobaczyć. Tu bywał Michał Anioł. Twierdził, że jego rzeźby są w środku kamiennych bloków. On musiał tylko odrzucić niepotrzebne kamienne opakowania.

Przejazd przez La Spezia (port wojenny) i dalej przez Parmę, Modenę, na Mantuę, do Werony. Norbert chciał jeszcze przejechać wzdłuż wybrzeży jeziora Garda. Niestety, na to czas nie pozwolił. Następnie przez Bolzano na przełęcz brennerską w rejon Innsbrucku. Skracamy w wysokie Alpy. Tam w Burgstall koło Mayrhofen śpimy w tyrolskim pensjonacie. Przyjechaliśmy późno, po ciemku niewiele było widać. Rano wstajemy, piękna pogoda, a wkoło wspaniałe góry. Mamy więc szczęście. Jedziemy do Hintertux na koniec głębokiej doliny. Dalej dojazd trzema linowymi kolejkami na lodowiec Hintertuxer Gletscher (3250 m). Piękne widoki Alp. Ja podziwiam góry i fotografuję, Norbert jeździ na nartach i kręci film. Po zjedzeniu w schronisku posiłku, o 13 godzinie ruszamy w dalszą drogę.

Pogoda się psuje i zaczyna padać. Teraz widzimy, jakie mieliśmy szczęście. Jedziemy autostradą w strugach deszczu na Salzburg, Linz. Granicę przejeżdżamy koło Znojna. Duża kolejka i trzeba czekać. Po czeskiej stronie jemy kolację. Obsługa chce zapłatę w euro. Norbertowi jest wszystko jedno. Jedziemy dalej na Brno, Ołomuniec i Cieszyn. O trzeciej w nocy

dojazd do Katowic. Tego dnia przejechaliśmy 900 km. Była to już nawet dla Norberta mordownia. Wyjeżdżam do Warszawy pociągiem o godzinie 15. Na kolację jestem już domu. Wyjazd był bardzo udany. Pozostaną z niego miłe wspomnienia.

29–30.VIII.2003. Czechy i Słowacja (wycieczka z Anią i Norbertem)

W dniu 28 sierpnia przejechaliśmy do Katowic z Anią i Zuzią. Przywieźliśmy Zuzię z wakacji w Batorzu. Wakacje były wyjątkowo pogodne i udane. Czas spędzaliśmy na długich wyjazdach rowerowych w rejon Gwizdowa. Wycieczkach do Łańcuta, Krzyżtoporu i Baranowa. Norbert miał sam po Zuzię przyjechać do Batorza. Zadzwoił, że ma masę pracy i prosił, byśmy ją odwieźli na Śląsk. Zuzia chciała jeszcze wpaść do Warszawy. Pragnęła iść tam do teatru. Niestety, nic z tego nie wyszło; koniec sierpnia - sezon ogórkowy. W zastępstwie byliśmy w IMAXie na „Stacji kosmicznej”. Po przyjeździe do Katowic Norbert zaproponował nam wycieczkę do Czech i Słowacji. Chciał pokazać, jak piękne są strony tak blisko położone polskiego Śląska. Propozycja ta była dla nas bardzo interesująca, gdyż stron tych prawie nie znaleźmy.

Wyjechaliśmy zaraz po dziewiątej. Demonstracja Solidarności zablokowała drogę i trzeba było zmienić trasę. Pojechaliśmy na Pszczynę i Bielsko. Granicę przejechaliśmy w Chocieborzu koło Cieszyna. Jego Opel zarejestrowany jest jako ciężarowy i nie wszystkie przejścia może przekraczać. Całkiem niezrozumiałe są te zarządzenia utrudniające życie. Jedziemy na Frydek–Mistek, a dalej na Nowy Ilcin i Zlin. Koło tej ostatniej miejscowości zwiedzamy pałac w Leśnej. Obok w pięknym stylowym parku mieści się również duże ZOO. Z takim układem do tej pory się nie spotkałem. Jedno napędza drugie; dużo zwiedzających ludzi. Zwierzęta bardzo zadbane. Lwy, duża foczarnia i masa egzotycznych ptaków. Sam pałac XIX-wieczny, w stylu zamków nad Loarą, bardzo ozdobny. Do środka nie zachodziliśmy, bo trzeba było czekać na przewodnika, a czasu nam brakowało. Zagląaliśmy tylko przez okna. Wnętrza przypominały nasz Wilanów.

W przyrodzonym zajeździe jedliśmy dobry obiad. Granicę ze Słowacją przekroczyliśmy w Uherskim Brodnie. Piękna pogoda, lecz upału nie było. Krajobraz malowniczy, górzysty. Jedziemy do miasta Trenczyn. Tam mamy zwiedzać wielki średniowieczny zamek. Już z daleka widać na górze mury potężnego zamczyska górującego nad miastem. Ze starego miasta piemy

się stromo pod górę. Ania mimo bolącego kręgosłupa szła dzielnie. Gdy dotarliśmy na miejsce okazało się, że jest późno i wnętrza zamku są już zamknięte. Wystarczył nam przegląd średniowiecznych murów i piękne widoki z góry na Trenczyn i okolice. Na starym mieście, u podnóża zamku, poszliśmy na kawę. Spod parasoli kawiarni wypędziła nas burza.

W deszczu jedziemy do Żyliny i w góry Małej Fatry. Okolica bardzo malownicza. Przestaje padać. W Terechowej pomnik Janosika. On tam działał i Słowacy uważają go za swego bohatera. Pomnik duży, lecz brzydki; postać ze srebrnego metalu. Polacy też do niego się przyznają. Nawet film o Janosiku nakręcili. Jak to jest, że zbój doczekał się takich wyróżnień? Następnie jedziemy do Wratny. Norbert chce ją pokazać. Piękna okolica. Tam zwykle jeżdżą zimą na narty. Wspaniałe stoki i wyciągi. Jest też tam znacznie taniej, niż w innych renomowanych miejscach. Również ważne, że miejscowość ta jest położona stosunkowo blisko Katowic. Ruszamy bardzo piękną, urozmaiconą drogą w kierunku na Ružomberok. Tam mamy spać. Niestety, psuje się pogoda i jest burza. Groźnie wyglądają na tle nieba i gór błyskawice.

Zaczyna się problem. Norbert chce nocować w znanym sobie górskim hotelu z pięknym widokiem na Tatry. Pech, wszystkie miejsca zajęte. Ruszamy więc w kierunku Bańskiej Bystrzycy licząc, że po drodze uda się znaleźć miejsce w jakimś turystycznym niewielkim hoteliku. Okazuje się, że burza uszkodziła trakturę elektryczną i w całej okolicy nie ma prądu. Pannują egipskie ciemności. W związku z tym decydujemy się jechać dalej. W Bańskiej Bystrzycy jest już prąd, lecz nie ma wolnych miejsc w hotelach. Jedziemy dalej na Zwoleń. Tam z hotelami podobnie. Norbert chciał następnego dnia pojechać do jakiegoś muzeum w tej okolicy, gdzie jak przeczytał w przewodniku, wystawione są minerały. Brak noclegu zmusza do odwrotu. Do przejścia granicznego z Węgrami w Schahach jest już tylko 12 km.

Pogoda w dalszym ciągu fatalna, czujemy się zmęczeni. Wracamy autostradą; nie ma na niej bramek. Opłaty za przejazd kupuje się na stacji benzynowej. Jak na złość, takich nie widać. Liczymy, że nie będzie kontroli. Tu znowu pech. Na autostradzie łapiemy gumę. Szczęście jest jakiś zajazd, gdzie można się zatrzymać. Zmiana koła w całkowitych ciemnościach i deszczu. Udało się.

Norbert decyduje się wracać do Ružomberoku i tam szukać spania w mieście. Znowu nie można nic znaleźć. Jak pech, to pech. Jest już późno, wszyscy czują się zmęczeni po silnych wrażeniach ostatniego dnia. Znowu szukamy następnego hotelu. Norbert powiedział, że jak teraz nie znajdzie-

my, wracamy wprost do Polski. Na rano będziemy już w Katowicach. Ja proponuję szukać dalej. W nocy przejechać najpiękniejszą część drogi po cieńku, to straszna szkoda. Nareszcie w dużym turystycznym hotelu pod wyciągiem narciarskim są miejsca. Dostajemy 3 łóżkowy pokój. Nareszcie możemy odpocząć.

Rano następnego dnia po śniadaniu ruszamy dalej. Jest znowu ciepła, piękna, słoneczna pogoda. W miejscowości Liptovski Mikulasz Norbert chce zreperować koło. Jest sobota. Zakłady zamknięte. Bez zapasu strach jechać. Mamy szczęście, napotykaemy jeden otwarty. Sprawdzają oponę, jest całkowicie zniszczona, poszedł protektor. Słowacy bardzo uprzejmi, wyszukali starą podobną i ją zamontowali. Jako zapas do Katowic starczy. Za robotę nie chcieli brać pieniędzy. Jedziemy dalej na Strbske Pleso, Stary Smokowiec, Tatrzańską Polankę. Tu babcia Marta przed wojną jeździła na kurację i często miejscowość tę wspominała. Są to bardzo ładne małe miejscowości i od przed wojny niewiele się pewno tu zmieniło. Chodząc spacerowymi alejkami zastanawialiśmy się, w którym pensjonacie babcia mieszkała.

Z Tatrzańskiej Łomnicy jedziemy wyciągiem w góry. Cel, to Łomnica (2633,9 m.). Dwa razy się przesiadamy. Niestety, na ostatnim odcinku kolejka nie działa. Jest jakaś awaria. Jesteśmy na Skalnate Pleso, prawie na 2 tysiącach metrów. Słońce, piękna ciepła pogoda i wspaniała widoczność. Ania jest zachwycona, a bała się tu jechać. Teraz jest bardzo zadowolona. W schronisku dużo turystów. Obserwujemy i pijemy na widokowym tarasie kawę. Niestety, wszystko co piękne, kiedyś się kończy. Trzeba wracać. Na dole zaczynają się kłopoty. Jesteśmy zablokowani. Z Tatrzańskiej Łomnicy nie możemy się ruszyć. Jest wyścig rowerowy i drogi we wszystkich kierunkach są zamknięte. Ponad godzinę trzeba było czekać. Od pilnujących policjantów niewiele można było się dowiedzieć.

Nareszcie ruszamy malowniczą drogą wokół masywu Wysokich Tatr w kierunku Polski. Granicę przekraczamy na Łysej Polanie. Opóźnienia związane z przestojem w Tatrzańskiej Łomnicy powodują zmiany planów. Nie ma już czasu jechać do Zakopanego. Po przekroczeniu granicy rzuca się w oczy zmiana stylu budownictwa. Po stronie słowackiej domy są porządne, ale architektonicznie różne. Po polskiej, aż pod Kraków, obowiązuje tylko jeden styl podhalański – witkiewiczowski. Bardzo ładnie to wygląda w porównaniu z sąsiadami. Jedziemy bezpośrednio na Nowy Targ i dalej zakończymy do Krakowa.

W Krakowie idziemy na obiad do chińskiej restauracji. Wyszukane dania, jakich do tej pory nie jadłem. Norbert, jak jest w Krakowie, tam zwykle jada. Po wyjściu z restauracji jest już ciemno. Idziemy się przejść wzdłuż Wisły. Pięknie oświetlony Wawel. Następnie prowadzi nas pod muzeum sztuki japońskiej. Już jest zamknięte. Następnie pełni wrażeń ruszamy autostradą w stronę Katowic. Po drodze obserwujemy Marsa, który obecnie znajduje się wyjątkowo blisko Ziemi. Po 21-szej jesteśmy już na miejscu. Jutro czeka nas droga do Warszawy i koniec przygody.

8–10.X.2006. Austria, Wiedeń

W związku z naszym 50-leciem ślubu, „Złotym Weselem”, które wypadło 1 września, jesteśmy przez Norbertów zaproszeni do Katowic. W programie, oprócz przyjęcia jubileuszowego w lokalu, zaplanowana jest parodiowa wycieczka do Wiednia.

W dniu 7 (czwartek) o 14 wjeżdżamy ekspresem do Katowic. Na dworcu czeka Norbert. Zabiera nas do siebie, by się ogarnąć, odpocząć po podróży. Kolacja na Brynowie w lokalu przy świeczkach. Jest z nami tylko Norbert, Basia i Zuzia, czyli najbliżsi. Norbert składa nam życzenia od rodziny. Kolacja bardzo smaczna, nikt nam nie przeszkadzał. Mieliśmy osobne pomieszczenie.

Około 21 opuszcza nas Zuzia. Jedzie z grupą kolegów do Świnoujścia. Za tydzień wraca, a potem udaje się z rodzicami na urlop do Słowenii. W nocy zaczyna padać deszcz. Nie wróży to nic dobrego. Rano się jednak rozogadza i piękna pogoda towarzyszy nam podczas całego wyjazdu.

Granicę przekraczamy w Cieszynie. Jedziemy bez zatrzymania na Frydek–Mistek, Nowy Ilcin, Ołomuniec, Brno i Mikulov. Przed granicą z Austrią jemy w lokalu obiad. Norbert zamawia dania po czesku. Widać jego kontakty z naszymi południowymi sąsiadami. Namawia, byśmy próbowali czeskiego menu. Dlatego oprócz rosołu biorę knedliki z gulaszem. Wygląda to na rozmazaną bułkę i podobnie smakuje. Stanowczo lepsze są kartofle. Z granicy do Wiednia jest już bardzo blisko. Na granicy pokazujemy tylko dowody osobiste. Paszporty są niepotrzebne. Zawdzięczamy to Unii.

Wjeżdżamy do miasta, bardzo duży ruch. Wiedeń, to stare rzymskie wojskowe osiedle, Vindobona. Szukamy hotelu. Gdy się szuka, to trudno znaleźć. Jeśli jest hotel, to nie ma parkingu. Prawie nigdzie nie można się zatrzymać. Norbert decyduje: jedziemy poza Wiedeń. Przejedźdżamy Grinzing; to tu popołudniami i w święta odpoczywają wiedeńczycy. W dzielnicy

tej znajduje się szereg niewielkich lokali, gdzie można się napić wina i posłuchać dobrej muzyki.

Jedziemy przez Wiener Wald, pasmo zalesionych wzgórz stanowiących przedgórze Alp. Jedną z kulminacji tych wzniesień jest Kahlenberg (483 m.). Stamtąd podczas bitwy o Wiedeń dowodził zjednoczonymi wojskami Jan III Sobieski. Droga kręta, prowadzi przez gęsty piękny las. To są płuca Wiednia. Zaczynamy ostro zjeżdżać w dół. Na północnej stronie piękne widoki i jest śliczna pogoda. Ania w strachu. Boi się stromizn, zasłania oczy. Po zjeździe w dół bardzo zadowolona jest z tego, co widziała. Dumna jest, że była taka dzielna.

Dojeżdżamy do miejscowości Tulln nad Dunajem, gdzie dostajemy miejsce w trzygwiazdkowym hotelu – Römerhof. Norbert bierze apartament; mamy w nim 2 wygodne pokoje i mieszkamy razem. W hotelu dużo turystów. Mogą tu wypożyczyć rowery. Wszędzie są trasy rowerowe i okolica bardzo ładna. Dużo wiedeńczyków z tego korzysta. Po krótkim wypoczynku wracamy do Wiednia. Mamy zapewnione lokum, jedziemy więc do centrum. Szukamy parkingu, którego nie możemy znaleźć. Nie widzimy nigdzie parkomatów. Wszystko jest dzięki temu zastawione. Jeździmy po Ringu i ciągle nic. Tu jest najstarsza XVIII i XIX-wieczna część Wiednia. Następną miejską obwodnicą jest „Gürtel” powstały na miejscu murów zewnętrznych. Jest już ciemno, lecz miasto pięknie oświetlone i duży ruch. Pod operą nareszcie znajdujemy podziemny parking. Są miejsca, czyli po kłopotcie.

Zaczynamy zwiedzanie od wspaniałej katedry pod wezwaniem św. Stefana. Piękny gotyk z elementami romańskimi. Budowla o wielkiej wieży widocznej z prawie każdego miejsca. Katedra ta powstawała w długim okresie od XII, XIV, do XVI wieku. Obecnie jest odnawiana. Podziwiamy sklepy na Kärtnerstrasse. Idziemy do Hofburgu – dawnego pałacu cesarskiego. Duży ruch pieszych. Ulice doskonale oświetlone, liczne pomniki; robi to miłe wrażenie.

Długą jazdą i wrażeniami czujemy się zmęczeni; trzeba wracać. To jednak nie takie proste. Najpierw trzeba odszukać drogę powrotną w gęsto zabudowanym i obcym wielkim mieście. Norbert daje sobie z tym doskonale radę. Był tu już szereg razy. Szybko więc odnajduje drogę powrotną. Po drodze wpadamy do MacDonalda, by się czegoś napić. W hotelu jesteśmy po 22.

Następnego dnia znów śliczna słoneczna pogoda. Po obfitym hotelowym śniadaniu ruszamy przez Sankt Pölten do Melk. Znajduje się tam jeden

z największych benedyktyńskich klasztorów. Fundowany był przez Karola Wielkiego w latach 791-803. Następnie rozbudowywany do gigantycznych rozmiarów. Obecnie jest to piękna budowla barokowa. Zwiędzamy wnętrza, bibliotekę, kaplicę i taras widokowy z widokami na Dunaj i odległe Alpy. Podziwiamy świeżo odnowione zabytki baroku. Podobno na renowację tego zabytkowego obiektu pieniądze dała Unia. Dalej ruszamy na przełom Dunaju – Wachau. Deniwelacje duże. Rzeka wiję się wśród wzgórz, na których widoczne są winnice. Piękna pogoda, ciepło, lecz nie upalnie.

Zatrzymujemy się w miejscowości Dürnstein. Jest to stare średnio-wieczne miasteczko otoczone kamiennym murem, nad którym wznoszą się ruiny zamku. To tutaj był przetrzymywany król angielski, Ryszard Lwie Serce (1157–1199). Wódz III Krucjaty w Ziemi Świętej. Walczył z Salady-nem. W drodze do Anglii został uwięziony i zmuszony do uznania nad sobą zwierzchnictwa cesarza. Po wypuszczeniu i powrocie do kraju pokroił bunt brata Jana. Zginął walcząc o utrzymanie angielskich posiadłości we Francji. Pochowany w Rouen. Przed laty, podczas autokarowej wycieczki we Francji, byliśmy na jego grobie.

Czas na posiłek. Jemy obiad w przyjemnej restauracyjce. Porcje wielkie, trudno je zjeść. Jest cudownie, może to sen. Norbert robi masę zdjęć cyfrowym aparatem. Mam zamiar kupić laptop i zdjęcia te przegram. Będą miłą pamiątką. Po obiedzie jedziemy dalej doliną na Krems. Przykro; kończy się malowniczy przełom Dunaju, góry znikają. Wracamy przez Tulln do Wiednia. Przy stacji metra zostawiamy samochód. Jedziemy metrem do Belwederu. To tutaj po upadku Napoleona odbył się Kongres Wiedeński. W tym miejscu zapadały decyzje w sprawie Polski. Na lata pożegnaliśmy się z niepodległością. Przed Belwederem jakieś uroczystości. Gra muzyka i tańczę charakterystyczne ludowe tańce. Tańczący wykonują jednakowe figury i co pewien czas klaszczą. Siedzimy w słońcu w ogrodach Belwederu i następnie wolno idziemy do centrum.

Następny punkt programu, to Prater. Celem jest Diabelskie Koło, jedna z wizytówek Wiednia. Urządzenie to pobudowane w 2 połowie XIX w. Do dzisiaj jest czynne i atrakcyjne. Być w Wiedniu i tym nie jechać, to wstyd. Ania przestraszona protestuje. Norbert pociesza, że wagoniki urywają się bardzo rzadko, nie częściej, jak raz do roku. Ostatni wypadek był stonkowo niedawno, więc na razie nie ma strachu. Możemy jechać bez większego ryzyka. To jednak mamy nie przekonuje.

Ja byłem ciekawy, na czym polega to znane ze zdjęć urządzenie. Koło wydaje się stale nieruchome. Sądziłem, że jednak musi się kiedyś kręcić.

Wsiadamy do wagoników po 10 osób. Z jednej strony goście wychodzą po spektaklu, a my zajmujemy ich miejsce. Koło wolno obraca się o parę metrów, by znowu stanąć, wypuścić i wziąć następnych pasażerów. Trwa to dość długo. W części wagoników widać nakryte stoły. Można więc podczas jazdy zamówić jedzenie i wino. Widać duże kielichy. Cała przyjemność tego urządzenia, to możliwość podziwiania z dużych wysokości miasta. To jest więc ruchomy punkt widokowy.

Jest już ciemno, widać tysiące światel leżącego w dole miasta. Pięknie to wygląda z dużej wysokości. Po wykonaniu jednego obrotu wielkim kołem – wsiadamy. Sądzę, że Koło wyniosło nas do góry na jakieś 35 piętro. Ania jak była wystraszona, to teraz jest pełna wrażeń i mówi, że się zupełnie nie bała. Z Prateru wracamy do metra i naszego samochodu. Powrót do hotelu i tak jak wczoraj, zatrzymujemy się w MacDonalddie.

Następnego dnia jest niedziela, ostatni dzień naszego pobytu. Jest, jak wczoraj, piękna pogoda. Po hotelowym śniadaniu wracamy do Wiednia. Samochód zostawiamy tam, gdzie wczoraj i dalej jedziemy metrem. Nasze warszawskie metro jest ładniejsze i dużo nowsze, lecz nie tak duże. Na ulicach i w metrze widzi się wielu kolorowych i lumpów. Szczególnie dużo murzynów i żółtych. Norbert nas pociesza, że i u nas też tak będzie. Zaczynamy od katedry. Jest akurat nabożeństwo. Zwiedzać można tylko tylną część kościoła. Pod katedrą duża skarbonka w kształcie katedry, pod którą stoi.

Zwiedzamy najstarszą część miasta. W miejscu, gdzie zmarł Mozart jest tylko tablica. Domu, gdzie się to działo, już nie ma. Odszukujemy zachowane fragmenty synagogi. Jedyny ślad mieszkających tu Żydów. Natrafiamy na polonik. Jest to tablica poświęcona Janowi III Sobieskiemu, naczelnemu dowódcy koalicyjnych wojsk, które uratowały Wiedeń od najazdu Turków. Następnie przechodzimy koło ładnego kościoła św. Boromeusza. Dochodzimy do kościoła Kapucynów. Tu w podziemiach tej nieciekawie wyglądającej z zewnątrz świątyni, znajdują się groby Habsburgów. Z bilecikami wchodzimy do podziemi.

Duże pomieszczenia nekropolii zapchane są sarkofagami. Wiele z nich, czytając po datach, skrywa szczątki z przed kilkuset lat. Pochowani tu są najwybitniejsi przedstawiciele tego rodu. Wszystkie sarkofagi są z metalu; część silnie spatinowana. Jeden z największych sarkofagów, to Marii Teresy, która razem spoczywa ze swym mężem Franciszkiem I. Maria Teresa (1717-1780) była jedną z inicjatorek rozbiorów Polski. Miała 16 dzieci, w tym paru cesarzy.

Szczególnie interesował mnie grób Franciszka Józefa (1830-1916). Panował 68 lat. Jest to rekord długości panowania. Był już cesarzem, gdy w Polsce wybuchło Powstanie Styczniowe. Umarł na zapalenie płuc w wieku 86 lat. Po jednej stronie trumny cesarza leży jego żona Elżbieta (Si-Si). Małżeństwo to nie było udane. Cesarz, ortodoksyjny katolik, nie zdecydował się na rozwód. Si-Si po śmierci syna Rudolfa wycofała się z życia publicznego. Od tego czasu stale podróżowała. Podczas jednej z jej wojaży, w 1808 r., została zamordowana w Genewie pilnikiem przez włoskiego anarchistę.

Z drugiej strony trumny Franciszka Józefa stoi trumna syna Rudolfa. Miał on być następcą tronu. Przez rodzinę ożeniony niefortunnie. Chciał się rozwieść. W sprawie tej bezwocnie pisał do Papieża. Rodzina również na rozwód się nie zgadzała. Nie mógł doczekać się sukcesji. To spowodowało, że się rozpił i brał narkotyki. Zmieniał kochanki i chorował wenerycznie. Stał się zakałą przynoszącą wstyd rodzinie. W 1889 roku na zamku Mayerling, Rudolf i jego kochanka, Maria Vetsera (córka austriackiego generała), popełnili samobójstwo.

W podziemiach nie ma grobu Arcyksięcia Ferdynanda (1863-1914). Był on głównodowodzącym armią i następcą tronu. Nie był lubiany przez cesarza. Mieszkał na zamku Konopiszczce, koło Prahy, gdzie zajmował się głównie polowaniem. Zginął wraz z żoną w zamachu w Sarajewie. Mordercą był Serb – Pryncyp. Zabójstwo to było powodem wybuchu I Wojny Światowej. W związku z tym, że był ożeniony nie z księżniczką krwi, nie został pochowany w krypcie Habsburgów. Jest tam tylko tablica informująca, dlaczego nie został tu pochowany.

Wracamy piechotą przez Hofburg do metra i jedziemy do Schönbrunnu. Cesarska letnia rezydencja. Niedziela, bardzo dużo ludzi. Nie decydujemy się zwiedzać wewnątrz. Chodzimy po ogrodach. Ania czeka na ławce, my z Norbertem lecimy pod górę do Gloriety. Potem powrót do metra i samochodu. Koło 16 wyjeżdżamy z Wiednia. Jedziemy przez nasz Tulln do Znojna. Tam jemy dobry obiad, już po stronie czeskiej. Dalej jedziemy na Brno. Roboty drogowe powodują, że zjeżdżamy z głównej drogi na jakieś boczne i źle oznakowane. Jest już ciemno. W końcu dojechaliśmy do głównej drogi i już bez przeszkód przekraczamy granicę w Cieszynie. Pełni wrażeń, po 22 byliśmy w Katowicach. Następnego dnia jedziemy z krótką wycieczką do teściów Norberta w Sosnowcu. O 16 ruszamy pociągiem do Warszawy. Tak zakończyła się następna piękna przygoda, za którą jesteśmy Norbertom bardzo wdzięczni.

22-28 grudnia, 2009. Słowacja – Czechy

Wyjazd połączony ze świętem Bożego Narodzenia. Ruszamy z Warszawy 21 grudnia do Krakowa. Na dworcu czekał Norbert. Najpierw pokazał nam nowy wielki dom towarowy koło dworca, gdzie wypiliśmy kawę. Następnie zawiózł nas do Muzeum Historycznego Krakowa na wystawę „Marcin Borelowski–Lelewel”. Tam kustosz i autorka wystawy, Gabriela Banach Kielanowski, oprowadziła nas po wystawie. Wiele tam prezentowanych eksponatów była ode mnie wypożyczonych. Zostaliśmy następnie zaproszeni do jej domu na kawę. Ze względu na brak czasu musieliśmy podziękować. Basia już na nas czekała, by zabrać nas samochodem do Zakopanego. Norbert musiał wrócić do Katowic po Zuzię, która właśnie wracała z Włoch.

W Zakopanem zamieszkaliśmy w pensjonacie „Start”. Tam czekali już na nas teściowie. Przyjechała również córka teściowej ze swoją córką. W Zakopanym cudowna pogoda, śnieg i słońce. Teściowa na śliskiej jedni się wywróciła i rozbiła sobie twarz. Norbert na nartach skrzył sobie nogę i nie mógł jeździć. Późnym wieczorem z Norbertem pojechaliśmy na Gubałówkę. Było pusto i mróz. Kryształy lodu błyszcząły jak drogie kamienie. Tatry oświetlone blaskiem księżyca i światła Zakopanego. Cudowny widok.

Podczas wigilii przygrywał nam zespół góralski, a potem było przedstawienie szopki góralskiej w wykonaniu młodzieżowego zespołu z Zakopanego. W drugi dzień Świąt jedziemy zobaczyć „Sanktuarium Fatimskie” na Krzeptówkach, wystawione jako wotum za uratowanie życia Janowi Pawłowi. Jedziemy do Chochołowa zobaczyć ładną góralską wieś. W Chochołowie po raz pierwszy przekraczamy już niepilnowaną granicę. Kierujemy się na Łomnicę i Stary Smokowiec. Jedziemy na Poprad, stamtąd piękne widoki na południowe Tatry. Tu Zuzia ma spędzić Sylwestra. Wracamy przez Łysą Polanę i Jaszczurówkę, gdzie oglądamy drewniany kościółek projektowany przez Witkiewicza (1908).

Wracamy ze Świąt przez Słowację, zwiedzamy zamki orawskie. Zatrzymujemy się w Orawskim Podzamku. Wspaniały obronny zabytek. Potem jedziemy do Trechova, gdzie stoi pomnik zbója Janosika, a potem Vratna, ośrodek narciarski, gdzie często przyjeżdżają Norbertowie. W Jablunkowie wjeżdżamy do Czech. Obiad jemy w miejscowości Trinec, w zajeździe napoleońskim. Granicę przekraczamy w Cieszynie, a stamtąd blisko do Katowic.



STEFAN CIEŚLIŃSKI, Instytut Geologiczny, 1970

Stefan Cieśliński, ur. 28 stycznia 1928 r. w Płocku geolog, specjalista w zakresie stratygrafii, kartografii geologicznej oraz geologii złożowej. Długoletni pracownik Państwowego Instytutu Geologicznego (1949-1999). Wieloletni Kierownik Zakładu Stratygrafii (1962-1976).

Uczestnik ekspedycji geologicznych na Spitzbergen (Norwegia), do wschodniej Mongolii i na wschodnią Saharę (Algieria). Współuczestnik odkrycia i udokumentowania największych fosforytowych złóż świata na algierskiej Saharze (1985-88).

Pasjonat o wszechstronnych zainteresowaniach, również historycznych.

Opublikował ponad 150 prac i artykułów, oprócz naukowych opracowań z różnych dziedzin geologii, napisał wiele prac historycznych i wspomnień z wypraw badawczych. Kolekcjoner militariów.

ISBN 978-83-62989-57-7